

SIECI



PREZES TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO
JULIA PRZYŁĘBSKA:
NIE LICZCIE, ŻE ATAKI ZMUSZĄ
MNIE DO REZYGNACJI

BUDZISZ:
AMERYKA BARDZO
CHCE WYGRAĆ TĘ WOJNĘ



„W UKRAINIE”
CZY JEDNAK
„NA UKRAINIE”?

KOŁODZIEJSKI:
CO ZROBIĆ
Z KALININGRADEM?



CZARNA LEGENDA
OSTATNIEGO KRÓLA
POLSKI

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 18 (492) 2022
2-8 maja 2022

CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

TUSK CZYLI KRĘTACZ DLACZEGO TAK KŁAMIE?

W SPRAWIE ROSJI, UKRAINY, NIEMIEC
I POLITYKI, KTÓRĄ PROWADZIŁ



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269205

eprasa.pl 77ced6139f

Do czytania i słuchania

e-prenumerata

SIECI

50% taniej

+3 audiobooki
GRATIS!



Zamów już dziś na

www.siecprzyjaciol.pl



ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

Wcześniejsze wybory?

Wnajnowszym badaniu pracowni Social Changes, zrealizowanym na zlecenie portalu wPolityce.pl, Zjednoczona Prawica odnotowuje najlepszy wynik od października 2020 r. – na ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego chce oddać głos 40 proc. zdecydowanych wyborców. Koalicja Obywatelska może liczyć na 25 proc. głosów, Polska 2050 na 12 proc., a Konfederacja i Lewica po 8 proc. Krok po kroku obóz rządzący odzyskuje więc wyborców, którzy albo odeszli, albo wycofali się w okresie pandemii. Co prawda wyniki, które notuje PiS, nie gwarantują samodzielnej większości, ale pozwalają już o niej realnie myśleć.

W tle jest oczywiście Ukraina. Z pewnością mamy do czynienia z „efektem flagi”, ze skupieniem się dużej części społeczeństwa wokół władzy, która w istocie toczy wojnę z rosyjskim imperializmem. Ale to nie wszystko. Rosyjska agresja przyniosła bowiem namacalną, konkretną weryfikację tego, co głośiły dwa główne obozy polityczne od 2005 r. Z jednej strony Lech i Jarosław Kaczyńscy, przestrzegający przed Rosją i sceptyczni wobec Niemiec, z drugiej Donald Tusk i jego „sojusz” – a może sojusz – z Putinem i faktyczne podporządkowanie się Berlinowi. Do tego jaskrawe różnice w sprawach energetycznych, wojskowych, polityki regionalnej. Kaczyńscy mieli rację niemal we wszystkim, Tusk mylił się w każdej istotnej sprawie. Dziś w kontekście wojny wybrzmiewa to wreszcie jasno i czytelnie. I powoli dociera do Polaków, nawet tych mniej zainteresowanych polityką.

Wojna to także rewitalizacja tych pojęć i wartości, które tradycyjnie sprzyjają prawicy. A więc poważne podejście do rzeczywistości, patriotyzm, szacunek dla poświęcenia, wysiłku, uznanie dla munduru. Te szczególne miesiące mogą okazać się ważnym, może najważniejszym, doświadczeniem całego pokolenia. Jak wpłyną na postawy społeczne i polityczne Polaków? Na pewno już wpływają, kreując klimat życzliwszy przekazowi PiS, ale czy będzie to zjawisko na tyle głębokie, by doprowadziło do

trwałego istotnego przesunięcia w układzie sił? Sądzę, że tak, choć zajmie to co najmniej kilka, kilkanaście miesięcy. Już dziś widać, jak tracą na znaczeniu lewicowe szaleństwa, w tym te związane z kwestiami genderowymi. Okazują się tym, czym w istocie były zawsze, czyli czystą hucpą.

Ale gorący konflikt to dalsza destabilizacja światowej gospodarki, już wcześniej rozchwianej skutkami pandemii. Putininflacja przynosi poczucie braku bezpieczeństwa oraz wzrost kosztów życia, a masowa imigracja wyostrzyła problemy mieszkaniowe. Państwo frontowe – a takim stała się Polska – musi liczyć się z przejściowym spadkiem inwestycji, trudnościami ze sprzedażą obligacji, niższym wzrostem gospodarczym. Dziś nasza gospodarka nadal zaskakuje odpornością na kryzysy i zagrożenia, Polacy doceniają także osłonowe działania rządu, ale frustracje ekonomiczne z pewnością się pojawią i to jeszcze przed 2023 r.

Czy w związku z tym przyspieszone wybory parlamentarne to dobry pomysł (założmy, że udałoby się do nich doprowadzić, co wcale nie jest takie proste)? Uważam, że to pomysł wart poważnego rozpatrzenia. Po pierwsze, obecna sytuacja to ogromne zagrożenia, ale i wielkie, dziejowe szanse; rząd z odnowionym mandatem i spójnym zapleczem parlamentarnym mógłby skupić się na tym, co najważniejsze, zamiast liczyć szablę w najdrobniejszej sprawie (co nie oznacza, że konstrukcja Zjednoczonej Prawicy nie powinna zostać zachowana; wręcz przeciwnie). Po drugie, czytelność wyboru, przed którym staną Polacy, będzie wręcz spektakularna i będzie premiowała obóz

patriotyczny. Opozycja z Tuskiem na czele jest dziś w istocie mocno oszołomiona po historycznym nokaucie. Po trzecie, za półtora roku krajobraz – wszelaki – może być tylko gorszy.

Warto więc myśleć i o scenariuszu przyspieszonych wyborów. Ale jest jeden warunek: wybory nie mogą zostać poprzedzone awanturą, jakąś wielotygodniową kłótnią polityczną. Tego Polacy – którzy codziennie słyszą o powadze sytuacji – mogą nie wybaczyć. Jeśli więc droga do urn miałyby być przesadnie wyboista, to lepiej poczekać na termin konstytucyjny.

Jacek Karnowski




41

**Trzaskowski
hibernatus**
Stanisław Janeczek


50

**Proces, który łamie
dogmaty #MeToo**
Goran Andrijanić


**67–
–77**

**Dodatek historyczny
231. rocznica
uchwalenia
Konstytucji 3 maja**

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 KOBIETA DRZEWO**
Krzysztof Feusette
- 9 WSTYD EUROPY**
Dorota Łosiewicz
- 12 OPOZYCJA ZAPOROWA**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 PRAWOSŁAWIE, IMPERIALIZM,
ANTYCHRYST**
Bronisław Wildstein
- 12 WALIZKA JERZEGO SZMITA**
Michał Korsun
- 14 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 15 NICOŚĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 16 RAZOM NAS BAHATO**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 KRĘTACZ**
Marek Pyza

WOJNA ROSJI Z UKRAINĄ

- 23 AMERYKA CHCE WYGRAĆ TĘ WOJNĘ**
Marek Budzisz
- 27 TWIERDZA KALININGRAD**
Konrad Kołodziejcki
- 30 ZŁAPAĆ ODDECH**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 32 „W UKRAINIE” CZY „NA UKRAINIE”?**
MÓW, JAK CZUJESZ
rozmowa Doroty Łosiewicz

KRAJ

- 36 Z JULIĄ PRZYŁĘBSKĄ**
rozmawia Jacek Karnowski
- 41 TRZASKOWSKI HIBERNATUS**
Stanisław Janeczek

ŚWIAT

- 44 PYTANIE O LOS KAMELEONA**
Jan Rokita
- 47 ZDEKLAROWANY MARKSISTA
Z HAMBURGA**
Aleksandra Rybińska

- 50 PROCES, KTÓRY ŁAMIE
DOGMATY #METOO**
Goran Andrijanić

OPINIE

- 52 Z MARCELLEM VENEZIANIM**
rozmawia Włodzimierz Rędzioch

SIECI KULTURY

- 55 DO TRZECH RAZY SZTUKA**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 57 SZTUKA NIEOCENZUROWANA**
Maciej Walaszczyk
- 59 Z JERZYM KALINĄ**
rozmawia Maciej Walaszczyk
- 62 ŚREDNIOWIECZNA ANTYGONA**
Robert Tekieli
- 63 WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli
- 64 POLECA**
Łukasz Adamski
- 66 THE ROLLING STONES
TYM RAZEM NIE W POLSCE**
Adam Ciesielski

PODRÓŻE

- 82 MOJE SZLAKI: MONIKA
ZAJĄCZKOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 83 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 84 PRAWO DO BRONI**
Wojciech Reszczyński
- 85 KOGO NIE MA**
Aleksander Nalaskowski
- 86 TRUMNY I KOŁYSKI**
Jan Pospieszalski
- 87 PROFESOR I TELEWIZOR**
Jerzy Jachowicz
- 88 WIZJA CO TYDZIEŃ**
Ryszard Makowski
- 89 TERAZ, KIEDY NAJPIĘKNIEJ...**
Leszek Długosz
- 90 LUPA I ODWRÓCONA LORNETKA**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

Nowe wydanie w kioskach!



Nieznane fakty

Relacje polsko-ukraińskie
– z Kozakami przeciw
Moskwie

Przedmurze

Polscy rycerze w obronie
wrót Europy w XVI i XVII
wieku

Ropa z morza

Witold Zglenicki
– polski nafcjarz
na dzikim Wschodzie

Zamów e-prenumeratę na cały rok 2022:

wSIECI i **wSIECI HISTORII** oraz **3 e-booki** (o wartości 94,70 zł)
w prezencie to koszt tylko 119,90 zł

Wejdź na www.SiecPrzyjaciol.pl



Sygnalista nadaaje

Były prezydent Ukrainy Wiktor Juszczenko stwierdził, że z fascynacją obserwuje nowych liderów, którzy ostatnio pojawili się w Europie. „Mam na myśli państwa, przywódców. Bardzo cieszę się, że dzisiaj, kiedy mówimy o sytuacji w Europie, na dobrą sprawę w każdej chwili widzimy Polskę i Polaków” – doprecyzował, po czym wspominał też śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, swego przyjaciela. „On prowadził właśnie Polaków do takiego wielkiego przywództwa, a dzisiaj to się dzieje – Polska stała się absolutnie fascynującym graczem”. Bardzo ważna uwaga; to Lech Kaczyński wyznaczył Polsce trajektorię, która dziś okazuje się wręcz perfekcyjna. Na każdym polu.

Na drugim biegunie Platforma. Izabela Leszczyna, w końcu jedna z ważniejszych twarzy głównej partii opozycyjnej, mówi tak: „Na początku wojny myślałam, że skoro w tym Donbasie mieszka tak wielu Rosjan, skoro ta republika jest jakaś taka zbuntowana, jak pan określił obszar Naddniestrza, to myślałam sobie OK, oddajmy to Putinowi, niech sobie to weźmie i niech ta cała Ukraina będzie bezpieczna. Dziś myślę, że nie, że ustępowanie jest drogą donikąd”. Można powiedzieć: gdzie Krym, a gdzie Tyraspol, ale tu chodzi o coś znacznie poważniejszego. O pytanie, czy ludziom z tak dramatycznie niskimi kompetencjami i tak słabym charakterem można powierzyć Polskę?

Z kolei Róża Thun, niegdyś europosłanka KO, dziś Polski 2050, z tego, co wokół nas, wyciąga takie oto wnioski: „Jesteśmy w wielu krajach

zdominowani przez egoizmy narodowe i to jest fakt. Każdy myśli, że jak zajmie się sobą samym, to jest dobrze dla niego, nie zdając sobie sprawy z tego, że to jest najgorsze, co można zrobić”. I dalej: „Jak się skupimy sami na sobie, niestety w Polsce też to ciągle słychać, to gadanie o suwerenności narodowej, jakbyśmy sobie nie zdawali z tego sprawy, że jak będziemy sami, to żadnej suwerenności nie mamy. My suwerenni jesteśmy tylko w bardzo mocnej Unii Europejskiej”. W mocnej Unii to suwerenne są Niemcy i może trochę Francja. Ale oczywiście wszystko zależy od tego, kogo rozumiemy pod słowem „my”.

„Kaczyński twierdzi, że w USA sfalszowano wybory” – oświadczył Donald Tusk w jednym z wpisów w mediach społecznościowych. To kłamstwo, z ust lidera PiS nie padło takie sformułowanie ani nawet taka sugestia. Gdy Jarosław Kaczyński zażądał przeprosin i sprostowania, w razie odmowy zapowiadając proces, Tusk postanowił uciec do przodu. „Drogi Jarosławie, ja Ciebie od lat namawiam, stań do debaty. Nie ukrywaj się tchórzliwie za swoimi służbami, ministrami, kłamstwami” – perorował w dobrze znanym stylu. W tym wypadku debata nie ma żadnego sensu. Związek Tuska z pojęciem prawdy przestał już być nawet hipotetyczny (patrz: okładowy artykuł Marka Pyzy).

Tusk wystąpił z prelekcją „Polska – Ukraina – świat. Szanse i zagrożenia” na Uniwersytecie Rzeszowskim. Odnosząc się do sformułowania, że ktoś, kto nie jest konserwatystą, chce dzisiaj silnej armii, powiedział:

„Jestem dość umiarkowanym konserwatystą o liberalnym sercu i socjaldemokratycznym sumieniu”. I dodał: „Wcale nie jestem pewien, że akurat ta konserwatywna część mojej politycznej osobowości jest najbardziej militarna”. Prawdziwy „człowiek bez właściwości”. Bo kto chce być wszystkim, jest niczym.

Artur Dziambor, poseł Konfederacji, uważany był za polityka umiarkowanego w sprawie wojny na Ukrainie. W zeszłym tygodniu wywołał jednak burzę, stwierdzając: „Nie powinniśmy się w tę wojnę mieszać w taki sposób, w jaki niektórzy politycy niestety się wypowiadają”. Poproszony o sprecyzowanie, odpowiedział: „Mam na myśli to, że to nie jest w tym momencie nasza wojna. Powinniśmy jednak robić wszystko, żeby skupić się na naszym terenie”. Dodajmy dla pełnego obrazu, że wcześniej, w odniesieniu do konkretów, poseł mówił w wielu miejscach tak jak PiS. W czym więc problem? W tym, że umiarkowane skrzydło Konfederacji próbuje robić szpagat: z jednej strony rytualnie potępia Rosję, z drugiej mruga do ludzi, którzy wyznają „kult tutejszości”. Na dłuższą metę to droga donikąd.

Rzeczniczka rosyjskiego MSZ potępiła wypowiedź wicepremiera i ministra kultury prof. Piotra Glińskiego, który wezwał, by rosyjska kultura zniknęła z polskiej przestrzeni publicznej. „Polski ministrze kultury, kim jesteś, by coś takiego mówić? Kim jesteś? Kto ci dał takie prawo? Nie starczy ci miliarda lat, by nauczyć się przedmiotu, który chcesz zlikwidować. Nie jesteś w stanie nawet wyobrazić sobie jego granic. I ty jeszcze coś takiego chcesz powiedzieć?” – mówiła Maria Zacharowa. Cóż, do niedawna można było sądzić, że tam jest jakaś głębia. Dziś wiemy, że jeśli jest, to niestety wyłącznie piekielna. A tej lepiej unikać, bo zawsze oblepi.

Aleksander Łukaszenka odleciał szczególnie spektakularnie. „Zobaczcie, co się dzieje z sąsiednimi Litwą, Łotwą, Polakami. O Ukrainie już nawet w tej sytuacji nie mówię. Tacy byli szczęśliwi, weseli, żyli w takim bogatym świecie. U nich wszystko było, u nas nic, a u nich było. I gdzie oni są dziś? Stoją wzdłuż granicy i proszą nas, by ich wpuścić na Białoruś. Żeby mogli kupić przynajmniej kaszę gryczaną. Mniejsza o kaszę. Soli nie mają. O sól nas proszą. A my, jako ludzie szlachetni, otwieramy tę granicę. W szczególności z okazji religijnego święta” – mówił dyktator do grupy wiernych w cerkwi. Szlachetne serce. Ale koniec bliski i nic nie da się już z tym zrobić. Wyroki historii są nieodwołalne.



– Solidarna Polska zwróciła się do premiera Morawieckiego o ujawnienie wszystkich dokumentów związanych z aktywnością Waldemara Pawlaka na linii Polska – Rosja – zapowiedział poseł Janusz Kowalski, oceniając, że Pawlak, odpowiadający w rządzie PO-PSL za energetykę, „przestawiał zwrotnicę z zachodu na wschód”. Odpowiedział szef ludowców Władysław Kosiniak-Kamysz: „Kierowanie takich słów wobec partii Wincentego Witosa, który obronił Polskę, Europę i świat przed bolszewikami w roku 1920, jest łajdactwem, jest zakłamywaniem, jest chamstwem, jest obłudą [...]”. Nawiązywanie do pięknych tradycji, nawet cudzych, należy pochwalić, jednak nie ma ciągłości między Witosem a Pawlakiem.

Europosłanka Zielonych Sylwia Spurek w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” o tym, czy wystartuje w wyborach prezydenckich: „Z Wałęsą też pan rozmawiał, a to właśnie on kiedyś powiedział: »Nie chcem, ale muszem«. Mam tak samo. Ale polityka, kandydowanie w wyborach, pełnienie funkcji to dla mnie narzędzia w osiąganiu celów. W perspektywie najbliższych lat moim celem jest przesuwanie granic debaty. [...] W tym kontekście kampania prezydencka wydaje się kuszącym pomysłem i być może początkiem czegoś więcej”. Za sprawą wojny debata rzeczywiście się przesuwa, ale wyraźnie w odwrotnym kierunku niż życzyłaby sobie pani Spurek.

Spurek zaatakowała znanego podróżnika i kucharza Roberta Makłowicza, który przyrządza potrawy z mięsa: „Mamy ogromny problem z bioróżnorodnością. Czy wie pan, ile ssaków na świecie to dzikie zwierzęta? Cztery procent. 70 proc. wszystkich ptaków na świecie to tzw. drób. Zabijamy naszą planetę. Dla mnie radykałem jest Robert Makłowicz. Przyjdzie taki czas, że będzie przepraszał za to, że przez lata za pieniądze przykładal do tego rękę”. Tego nie wiemy. Naszym zdaniem, jeśli Makłowicz będzie kiedyś za coś przepraszał, to raczej za swoje fatalne wybory polityczne.

Uznawany za najbogatszego człowieka na świecie miliardier Elon Musk kupił serwis społecznościowy Twitter. Zapłacił 44 mld dol. i zapowiedział zmiany: „Wolność słowa jest fundamentem funkcjonującej demokracji, a Twitter jest cyfrowym placem miejskim, gdzie debatowane są sprawy kluczowe dla przyszłości ludzkości”. Ma być mniej regulacji, a skrajna lewica i skrajna prawica mają być równie niezadowolone. Roli jednostki w historii nie sposób przecenić. Kto wie, czy ta jedna transakcja nie oznacza, że świat zawraca z drogi ku nowej tyranii i wolność przestanie się cofać? Oby.

Moje ulubione drzewo – leszczyna, leszczyna... Jak ją za mocno przygiąć w lewo, to w prawo się odgina... A jak za mocno przygiąć w prawo, to w lewo bije z wprawą... A stara sosna szumi radosna: brawo, brawo!... Piękna piosenka. Kurczę, czemu ja jej w kampanii nie wykorzystałam? Może ta najważniejsza ciągle przede mną? Z drugiej strony, jak zacznę w spocie o starej sośnie śpiewać, to mnie w tej roli obsadzą dożywotnio, a jaka ze mnie sosna, o wieku nie wspominając? Może i jestem trochę rozdartym drzewem, jak w wierszu poety, ale to jest naturalny efekt zderzenia ambicji z możliwościami. Bo co ja osiągnęłam? Radę miasta w Częstochowie? Wiceministra finansów pod hrabią Zawincen-tem? Dlatego trochę się dziwię, że Donald z tą prośbą akurat do mnie wystartował. Wychodzę z Wiejskiej, ciemno prawie, nagle ktoś mnie pod latarnią – cap za ramię. „Cześć, Iza” – mówi, a mnie od razu loki dęba stanęły i myślę: „Oho, dobrze nie jest, skoro tak się czai...”. „A co tam, Donek?” – mówię, a on tylko na boki się rozejrzał, potem na ucho cztery razy, bo trzy razy nie dosłyszałam, szepcze mi, że potrzebuje eksperta od ekonomii. „No, to dobrze trafiłeś, he he – myślę – bo ostatni raz jak liczyłam, to się prze-liczyłam, gdyż liczyłam na zwycięstwo Platformy. I już nie zliczę, ile razy”. A on pyta czy podwyżka dla budżetówki o 20 proc. będzie okej. Co ma nie być? Lepsze to niż skok na OFE. Ale gdzie by mi do głowy przyszło, że on wyjdzie przed kamery i to ogłosi? No, ludzie, bądźmy poważni i nie rzucajmy wieprzem! Zwłaszcza że szybko się okazało, że w ramach walki z inflacją my tę inflację podwyższymy. Następnego dnia Siemoniak do radia poszedł i mówi, że spoko, spoko, bo „wszystko Izabela Leszczyna oszacowała”. Myślałam, że go zabiję, ale w końcu nieważne jak mówią, byleby nazwiska nie przekreślali. A potem to już mnie nawet dziennikarka w Trójce nazwała matką chrzestną pakietu ratunkowego. Niestety, jak się jest matką chrzestną takiego okrętu, to trzeba grać z orkiestrą do końca. Szybciutko sobie narrację ułożyłam, że może i pakiet jest proinflacyjny, ale tak naprawdę jest antyinflacyjny, bo my go zaraz zdusimy inną ustawą, więc chociaż wzrośnie, to potem zmaleje. Jak w życiu. Szkoda, że nikt się nie nabrał, a jeszcze Balcerowicz dorzucił trzy grosze krytyki i znowu trzeba było się zabawiać w odwracanie uwagi. No przecież, że nie od siebie, tylko od pakietu ratunkowego. Chyba od: „Ratunku, dajcie już z tym spokój!”.

A że w polityce zbyt krótką kolderkę najlepiej przykryć inną kolderką, to powiedziałam szczerze, co niedawno myślałam o wojnie. To mianowicie, że „skoro w Donbasie mieszka tak wielu Rosjan, [...] oddajmy ten teren Putinowi, niech sobie to weźmie, ale niech cała Ukraina będzie bez-

Kobieta drzewo



KRZYSZTOF FEUSETTE

pieczna”. Ale dodałam, że „dziś myślę, że ustępowanie jest drogą donikąd i że Putin jest zbrodniarzem wojennym”. A i tak ile drwin było, ile śmiechu, aż mi się łez zrobiło, gdy Bartłomiej Sienkiewicz mnie poparł. Pięknie napisał: „Nie przejmuj się. Iza Leszczyna. Każdy, kto się naraził PiS, przechodzi taką nagonkę, a ty od dawna demaskujesz ich kłamstwa i złodziejstwo.

Taka u nas karma. Ale wiemy, po której stronie jesteśmy i nigdy nie jesteśmy w tym sami”. Tak mnie wzruszył tą liczbą mnogą, że aż mi oczko poszło. Szkoda, że nie wiedział, po której jest stronie, jak do sali plenarnej wparował po spożywczym. Refleksja mnie wtedy naszała, że skoro mnie już takie ofiary nagonki – oczywiście, że nie losu – muszą bronić, to czy ja politycznie bardziej dziś usycham czy rosnę?

I nagle – światło w mroku, wspaniała wiadomość. Co się okazuje, wybory odbyły się we Francji i nasz wygrał, ten mały, no, Mikron... Makaron...

Makron! On jest nasz, bo jemu Putin pieniędzy nie pożyczał, tylko za broń mu płacił, choć był zakaz sprzedaży. Ostatecznie to nie Putina wina, że w embargu była furtka tzw. klauzuli dziadka, mówiąca o tym, że starych kontraktów się nie rusza.

Było, minęło. Pośpiewaliśmy „Marsz sylvanek”, posączyliśmy rosyjskiego szampana, wróciłam do domu. Patrzę w telewizor, a tam mówią, że nie tylko we Francji zwyciężyliśmy, ale też na Słowacji albo na Słowenii. I facet, który przegrał, to jest ten sam, który z Kaczyńskim i Morawieckim do Kijowa pojechał. Czyli brawo my! Od razu w internecie napisałam, że to jest świetna wiadomość, bo kończą się rządy nacjonalistycznych populistów (ja tak zawsze mówię, jak się z kimś nie zgadzam) i że „PiS może sobie tylko nucić »Gdzie są moi przyjaciele..., zawsze było ich niewielu, teraz jestem sam...«”. W sumie głupio z tymi przyjaciółmi wyszło, bo się okazało, że ten cały Janša, który przegrał, to jest akurat nasz przyjaciel i to z Europejskiej Partii Ludowej.

Ale ja już wtedy przestałam się przejmować. Co ma być, to będzie. Mówiłam już w czasie kampanii prezydenckiej, że Polacy „nie są gotowi na polityka zupełnie uczciwego i takiego, który nie kalkuluje, nie kombinuje, tylko po prostu mówi, jak jest”. Więc na mnie raczej są. Zresztą, łaski bez, nie będę nikogo pytała. Trzeba działać, bo już niedługo będzie się żyło gorzej niż za rządów PO! O nie, kolejny raz to pomyślałam. Byłabym tylko znowu tak nie palnęła. Obudź się, kobieto, bo zamiast happy birthday będziesz miała „farewell, miss Iza”. Halo? Tak, oczywiście, jestem matką chrzestną. Jak to czego? A co się pan tak dopytuje? Panie, czy ja panu stopy wacham? Jakież? To co mi pan nie mówi, że procentowe?! To ja muszę iść sprawdzić! I oszacować!

Wstyd Europy

„Daily Telegraph”: „Wojna na Ukrainie rozwiała złudzenia co do niemieckich elit politycznych i biznesowych, które okazały się aroganckie, niekompetentne i skorumpowane”

W Polsce mało kto ma jeszcze złudzenia odnośnie do intencji kanclerza Olafa Scholza. Wygląda na to, że niemieckim władzom nie zależy na zwycięstwie Ukrainy, a co za tym idzie, na demokracji, praworządności i prawach człowieka. Niemcy woleliby szybkie zwycięstwo Rosji i powrót do dawnych interesów, co jasno wyraził ostatnio były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder w wypowiedzi dla „New York Timesa”. Świat przeciera oczy ze zdumienia, ale i otrząsa się z szoku. Podobnie zresztą jak część niemieckiego społeczeństwa.

Złudzeń co do błędnej i katastrofalnej w skutkach dla Europy polityki SPD nie ma już nawet polska lewica, której teoretycznie ideologicznie powinno być z niemieckimi socjaldemokratami po drodze. Już miesiąc temu politycy Nowej Lewicy apelowali w liście do kanclerza Scholza o zmianę strategii wobec Ukrainy. „Apelujemy do niemieckiego rządu o poparcie propozycji zmierzających do okresowego wstrzymania importu ropy naftowej i gazu ziemnego przez państwa Unii Europejskiej, w przypadku odrzucenia przez Rosję apeli społeczności międzynarodowej o powstrzymanie rozlewu krwi” – pisali w liście do kanclerza Niemiec Włodzimierz Czarzasty i Robert Biedroń. „Mając na uwadze dekadę doświadczeń współpracy we wspólnej socjaldemokratycznej rodzinie oraz wyjątkowość relacji pomiędzy Polską i Niemcami, wierzymy, że SPD zrozumie swoją historyczną odpowiedzialność za przyszłość Ukrainy oraz pokoju w Europie” – czytamy w liście.

Złudzeń co do intencji części niemieckiej elity politycznej i intelektualnej nie mają także dziennikarze brytyjscy. Tym bardziej że niedawno niemieccy intelektualiści apelowali do Scholza o wstrzymanie dostaw broni dla Ukrainy oraz zachęcali Kijów do zakończenia oporu militarnego. „Wojna na Ukrainie rozwiała wszelkie złudzenia co do niemieckich elit politycznych i biznesowych, które okazały się aroganckie, niekompetentne i skorumpowane” – napisał na łamach „Daily Telegraph” publicysta i były korespondent tej gazety w Niemczech Daniel Johnson. „Jest jeszcze za wcześnie, aby powiedzieć, kto wygra wojnę na Ukrainie, ale jeden naród już poniósł

katastrofalną stratę w prestiżu: Niemcy. Liderzy polityczni i biznesowi największej gospodarki Europy nie tylko nie zdołali udzielić Ukrainie pomocy, której ci tak rozpaczliwie potrzebują, ale w swoich kontaktach z Rosją zostali zdemaskowani jako w najlepszym razie naiwni, a w najgorszym – współwinni” – uważa Johnson.

I trudno się z nim nie zgodzić. Tym bardziej że równoległe do tych słów wyszedł na jaw kolejny już skandal, o którym informuje m.in. Polska Agencja Prasowa. Stowarzyszenie Partnerstwo Niemiecko-Rosyjskie w Schwerinie (Meklemburgia-Pomorze Przednie) otrzymywało fundusze od spółki Nord Stream 2 AG. Sprawę potwierdziła stacja NDR dyrektorka zarządzająca stowa-

rzyszenia. Organizacja miała m.in. promować zrozumienie dla Rosji w Niemczech. „Stowarzyszenie otrzymywało od spółki Nord Stream 2 AG dotacje w wysokości 20 tys. euro rocznie”

– wyjaśnia Madeleine Block, dyrektorka wykonawcza Partnerstwa Niemiecko-Rosyjskiego (DRP). DERP zostało założone w 2018 r. przez byłego premiera landu Erwina Selleringa. W zarządzie stowarzyszenia zasiadał także przedstawiciel spółki Nord Stream 2 AG oraz były przedstawiciel kraju związkowego Meklemburgia-Pomorze Przednie ds. Rosji. Jak twierdzi dyrektor Partnerstwa Niemiecko-Rosyjskiego, obaj nie tylko zrezygnowali z funkcji, ale także opuścili stowarzyszenie.

Nikomu nie trzeba też chyba przypominać biznesowej kariery Gerharda Schrödera, największego dziś adwokata Rosji i Władimira Putina, który pod koniec swojego urzędowania na stanowisku kanclerza podpisał z Rosją umowę o budowie Gazuociągu Północnego pod dnem Bałtyku, a gdy odszedł z urzędu, dostał angaż w radzie nadzorczej kontrolowanego przez Rosjan konsorcjum odpowiedzialnego za budowę Nord Stream. W październiku 2016 r. stanął na czele zarządu spółki Nord Stream 2, a po 12 miesiącach zajął intratne stanowisko w zarządzie Rosnieftu – kontrolowanego przez Kreml giganta naftowego.

Dobrze, że świat już wie, z kim ma do czynienia. Szkoda, że do błędów nie chcą się przyznać polskie elity spod znaku Platformy Obywatelskiej, które latami budowały polskie bezpieczeństwo na ścisłym sojuszu z Niemcami.

Dorota Łosiewicz





**Jan
Pietrzak**

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Opozycja zaporowa

Oczekiwania kontrolerów ruchu są zaporowe – przeczytałem i zasmuciłem się niestety. Znaczy to bowiem, że owo środowisko nie czuje odpowiedzialności za polskie sprawy. Oni polskie problemy i społeczeństwo mają w d... Są specjalistami, żądają większej kasy, a poza tym nic ich nie obchodzi. Że epidemia spowodowała spadek wpływów branży lotniczej. Że przyjęliśmy trzy miliony uciekinierów z Ukrainy. Że kryzys energetyczny wywołany sztucznie przez Rosję i Brukselę psuje giełdowe notowania... Kontrolerów to nie interesuje, bo im się należy więcej i już.

Mamy z podobnym zjawiskiem do czynienia w wielu różnych miejscach. TSUE nakazujący zamknąć region przemysłowy z dnia na dzień, oczywiście wie, że tego nie da się zrobić, ale nie waha się postawić Polski w trudnej sytuacji. Komisja Europejska bezprawnie zatrzymująca należne nam finanse na życzenie zdegenerowanej kasty sądowej, której nie podoba się dyscyplinowanie sędziów. „Parszywa dwudziestka” w Parlamencie Europejskim natrętnie opluwająca swój (?) kraj.

Ludzie, środowiska, instytucje stawiające świadomie warunki zaporowe, powinni być traktowani jak wrogowie. Chcą szkodzić, chcą nas niszczyć za to, że kochamy Polskę, a nie „błogosławione” niemieckie rządy, jak przekonuje Tusk. Skądinąd ideolog totalnej opozycji, dziś można powiedzieć: opozycji zaporowej. W każdej ważnej sprawie ich żądania są zaporowe, takie by rząd nie mógł ich przyjąć.

Wychodząc poza nasze podwórko, widzimy sąsiadów, którym agresor Putin postawił dwa miesiące temu tak zaporowe żądania, że bezwzględnie musieli podjąć walkę. Ten styl prowadzenia polityki nie ma nic wspólnego z racjonalnym myśleniem, pomija sensowną dyplomację. Uznaje tylko szantaż, przemoc, ekstremalne traktowanie przeciwnika. Nie zostawia furtki do zbliżenia stanowisk, wypracowania kompromisu.

Czyżby taki był duch nadchodzących czasów? Ponowne zdziczenie? Sądząc po barbarzyńskim bestialstwie moskiewskiej ordy – na to się zanosi. Przypomnę rodakom odwieczne pytanie: – Z kim najpierw walczyć, jeżeli wkroczą Niemcy i Rosjanie? – Najpierw w Niemcami. – Dlaczego? – Bo najpierw obowiązek, potem przyjemność.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Kim byłby Franciszek?

Ania, moja wspaniała wieloletnia znajoma, której od dawna kłarowałem, że z tym Franciszkiem będą same kłopoty, nareszcie mi przyznała: – Miałeś rację.

No i co z tego, że miałeś rację? Co z tego, że w parę minut po jego pierwszym wystąpieniu na placu św. Piotra powiedziałem do kolegów w redakcji, że nadchodzą kłopoty? Głupio mieć rację w sytuacji, gdy nowy papież – następca takich intelektualnych i religijnych tytanów jak Benedykt XVI i Jan Paweł II – okazuje się oderwanym od rzeczywistości kosmitą? Naiwniakiem? Marzycielem? Może wręcz prostakiem?

Jak napisał w „Tygodniku TVP” bardzo mądry Krzysztof Zwoliński, to nie JP2 okazał się papieżem z dalekiego kraju, ale tym Ojcem Świętym z dalekiego kraju, a konkretnie z dalekiej planety, w kompletnym odlocie, w oderwaniu od rzeczywistości – okazuje się Franciszek.

Polacy wiele razy w historii doświadczali zdrady papieżstwa, ale też czasem byli przepraszani przez Stolicę Apostolską za jej błędną ocenę sytuacji. Dziś nie ma mowy o błędnej ocenie. Watykan ma swoje służby, może korzystać z informacji agend państw Zachodu (tak już było w latach 80., za czasów JP2, który miał wiedzę pochodzącą od CIA). Jeśli Zachodowi nie wierzy, to może skorzystać z danych Kremla – i czasem można

mieć wrażenie, że tak czyni. Pytanie brzmi: czy to niezbędna dla chrześcijańskiego przywódcy naiwność, czy zła wola? Niestety, biorąc pod uwagę wysokie kompetencje wieloletniej dyplomacji Stolicy Apostolskiej, nie uwierzę w naiwność. Porzucam też teorię, że mamy do czynienia z kolejnym ruskim agentem. To niemożliwe (tak wiem, w Argentynie Sowietci werbowali agentów wśród zwolenników teologii wyzwolenia na potęgę, ale Bergoglio???, no dajcie spokój).

Ks. abp Stanisław Gądecki, przewodniczący polskiego episkopatu, który ostatnio miał zaszczyt porozmawiania z papieżem, utrzymuje, że niedawne wypowiedzi Franciszka to tylko odzwierciedlenie prorosyjskiej atmosfery w Włoch i Francji. Ja sądzę jednak, że obecny papież po prostu stawia na silnego katechona Włodzimierza, zamiast na słabych, choć gorliwych katolików z Zachodu. Chrześcijanie zachodniej Europy wymierają, słabną. Nie mają wsparcia swoich rządów, wręcz przeciwnie.

Wiem, nie mam racji, bredzę. Bo gdybym miał rację, to (aż się boję napisać) kim byłby Franciszek?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Prawosławie, imperializm, antychryst

Antykomunistyczne środowiska Rosji dzielą spór, który wyrastał jeszcze z przedrewolucyjnej epoki. Była to kontynuacja konfliktu między słowianofilami i zapadnikami. O ile pierwotnie dotyczył on kierunku rozwoju kraju – czy powinien być oryginalny i wręcz przeciwny temu, co działo się w Europie, czy odwrotnie, powinien naśladować jej rozwiązania – o tyle w okresie ZSRR próbował znaleźć odpowiedzialnego za tragedię rewolucji. Słowianofile uznawali ją za rodzaj kolonizacji, znieprawienia ducha Rosji przez Zachód, natomiast zapadnicy przyjmowali, że komunistyczna Rosja to kolejne wcielenie moskiewskiego samodzierżawia. Trudno odmówić pewnych racji obu stronom. Marksizm był do Rosji importowany, ale samodzielnie nie zwyciężył w żadnym z krajów Zachodu.

Po krótkim etapie Jelcynowskiej smuty do władzy doszedł dawny oficer KGB Władimir Putin, który zaskakująco łatwo zintegrował bolszewicką praktykę z carską tradycją. Oficjalna ideologia odwołuje się do tej drugiej, jakkolwiek również bolszewickie imperium wysławia jako wcielenie moskiewskiego poprzednika.

Putin pasuje do figury antychrysta. Rosyjskiemu prawosławiu przywrócił status religii państwowej, za co rewanżuje się ono pełnym poparciem nawet dla jego najbardziej zbrodniczych przedsięwzięć. Prezydent Rosji występuje jako obrońca tradycyjnego ładu, rzecznik klasycznych cnót: religii, patriotyzmu i rodziny. Wypychany z przestrzeni publicznej nie tylko europejskim konserwatystom jawi się często jako jedyna polityczna siła, która może bronić ich racji. Im dalej od Rosji, tym łatwiej. Problem w tym, że wprawdzie znaczącą część krytyki współczesnego Zachodu, którą prezentuje Putin, uznać można za uzasadnioną, chociaż wykoślawioną, ale jego kuracja jest bez porównania gorsza niż choroba. Antychryst piętnuje autentyczne grzechy i dewiacje, ale występując przeciw nim, odwołuje się do rozwiązań opacznych i perwersyjnych, a zamiast Boga podsuwa zewnętrznemu przypominającą Go figurę szatana, przed którą ostrzegał Chrystus.

Tradycja moskiewskiej Cerkwi, zwłaszcza dla Polaków, zawsze była co najmniej dwuznaczna. Podporządkowana państwu od czasów Iwana Groźnego stała się ideowym rzecznikiem imperialistycznej polityki caratu. Nienawistni religii bolszewicy wypowiedzieli wojnę także Cerkwi. Jej duchowni zostali zamęczeni i uwięzieni, a na ich miejsce powołano przebranych w szaty liturgiczne funkcjonariuszy

śłużb specjalnych. Po upadku komunizmu nadal rządzą oni Cerkwią. Również obecny patriarcha Cyryl I był, jak wszyscy wyżsi duchowni w ZSRR, agentem KGB.

Okazuje się, że dawni funkcjonariusze tej instytucji zdumiewająco łatwo potrafią odnaleźć się w rosyjskiej tradycji. „Rosja, Ukraina i Białoruś to Święta Ruś. Święta Ruś to ideał miłości, dobra i prawdy. Święta Ruś to piękno, Święta Ruś to siła i my razem z wami stanowimy jedną Świętą Ruś” – ogłosił Cyryl, kiedy Moskwa rozpoczęła krwawą wojnę przeciw Ukrainie. Zgodnie z zasadą, że jeśli Ukraina nie podporządkuje się „roskiemu mirowi”, to zostanie do tego zmuszona, a ci, którzy tego nie zaakceptują, zostaną wytepieni.

Moskiewska Cerkiew nie jest już taką potęgą, jak była przed rewolucją. Większość chrześcijan Ukraińców stanowi niezależny od Moskwy, autokefaliczny Kościół Prawosławny Ukrainy. Istnieje jeszcze Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Moskiewskiego, ale coraz bardziej dystansuje się on do Rosji, a liczba jego wiernych ciągle się zmniejsza. Od początku agresji Rosji większość z nich opowiadała się za tym, by oderwać się od Moskwy. Secesja Ukrainy, gdzie w Kijowie ochrzczona została Ruś i gdzie znajdują się najważniejsze święte miejsca prawosławia, zasadniczo może zakwestionować rolę moskiewskiego patriarchatu.

To nie koniec jego kłopotów. „[...] odrzucamy herezję »rosyjskiego świata« (pyckopo mira) i haniebne działania władz rosyjskich – podjęte z przyzwolenia Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego – w celu usprawiedliwienia wszczęcia wojny przeciwko Ukrainie. Wojnę tę umożliwiło podle i nikczemne nauczanie, niemające żadnego uzasadnienia, głęboko nieortodoksyjne, niechrześcijańskie i wrogie ludzkości, która jest powołana, aby być »odkupioną, oświeconą i obmytą w Imię Pana naszego Jezusa Chrystusa i Ducha Bożego« (z liturgii sakramentu chrztu)” – oto fragment „Deklaracji teologów prawosławnych w sprawie wojny na Ukrainie” podpisanej przez 342 uznanych teologów z całego świata.

Religia to fundament każdej kultury. Czy może więc konsekwencją porażki rosyjskiej agresji na Ukrainę, bo z taką czy inną porażką, jeśli nie klęską, mamy do czynienia, skoro najeźdźcy nie zrealizowali swojego celu, jakim był podbój Ukrainy, czy więc wojna ta nie zachwieje nie tylko gospodarczo-militarnym potencjałem Moskwy, ale i jej religijno-kulturowym fundamentem? 



Walizka Jerzego Szmita

polityka, inżyniera, publicysta,
prezesa olsztyńskiego okręgu PiS

Wdalsze podróże wyruszyłem, kiedy zacząłem pełnić funkcje publiczne. Szczególnie w czasie pracy w Ministerstwie Infrastruktury i Budownictwa jako podsekretarz stanu. Najbardziej zapamiętałem wyjazdy do Rosji i rozmowy o zezwoleniach na przejazdy tirów. To były brutalne, rosyjskie lekcje negocjacji. Trudno zapomnieć też rok 2004, kiedy byłem międzynarodowym obserwatorem w czasie wyborów prezydenckich na Ukrainie. Od kilkunastu lat żyję między małą a wielką ojczyzną, czyli między Warmią a Warszawą, gdzie zapadają decyzje dotyczące całego kraju. Ze swoich stron przywożę znakomite ryby, wędliny przygotowywane po domowemu przez lokalne małe firmy. Na Warmii i Mazurach mamy też winnice, które z roku na rok wypuszczają coraz lepsze wina. Wracamy do lokalnych tradycji, lokalnych wyrobów, jest co pokazać, jest co zjeść, jest się czym pochwalić.

TELEFON

Bez telefonu nie wyobrażam sobie funkcjonowania. Kilka razy go gubiłem i wtedy paraliżował mnie strach, co to będzie, gdy te wszystkie kontakty przepadną. Słyszałem kiedyś takie powiedzenie, że „można zrobić film bez kamery, ale bez telefonu nie da rady”.



MATKA BOSKA OSTROBRAMSKA

Moja Mama pochodzi z Wilna, tam się urodziła i chodziła do szkoły tuż obok Ostrej Bramy. Mam sentyment do tych stron. Mama po wojnie wraz z rodziną przyjechała do Olsztyna. W tym roku skończy 90 lat.

MATKA BOSKA GIETRZWAŁDZKA

Opiekunka Warmii. Gietrzwałd jest jednym z kilku uznawanych na świecie objawień Matki Boskiej. Wydarzenie miało miejsce w 1887 r., w czasie Hakaty, gdy Polski nie było na mapie. Matka Boska rozmawiała z gietrzwałdzkimi dziećmi po polsku w gwarze warmińskiej i to w czasach, kiedy Polaków spotykały bardzo silne represje ze strony zaborców. Objawienie było mocnym impulsem do walki o odzyskanie niepodległości.



SZABLA

Przez życie idę, wojując na miarę swoich możliwości. Nie mam aspiracji dorównania Wołodyjowskiemu, ale jej obecność dodaje sił.





STOMIL OLSZTYN

Od prawie 50 lat jestem związany z tym klubem. Początkowo jako zawodnik, potem jako działacz, przez kilka miesięcy byłem nawet prezesem klubu. Jednak zerwane ścięgno Achillesa wykluczyło mnie nawet z amatorskiego kopania piłki. Teraz jako kibic wspierający klub regularnie zjawiam się na trybunach stadionu przy Piłsudskiego.

KASK BUDOWLANY

Bez kasku nie można się pojawić na budowie. Kiedy byłem wiceministrem towarzyszył mi wszędzie – od Szczecina po Rzeszów. Byłem na początku prac przy Via Carpatii, przy S6 na Wybrzeżu czy „siódemce” łączącej Warszawę z Olsztynem i dalej z Gdańskiem. Z efektów wielkiej pracy, którą wykonuje branża drogowa, już korzystamy.



KOLEJ

Od kilku lat jestem z nią związany. Podobnie jak do budowlanców, także do ludzi polskiej kolei mam wielki szacunek. Zresztą nie widziałem amerykańskiego filmu, w którym choćby przez sekundę nie byłoby jakiegoś pociągu.



WINO

Warmia to chłodniejszy region Polski, jednak powstają tu winnice, które produkują ciekawe wina. To akurat pochodzi z Barkwedy, z winnicy mojego przyjaciela dr. Tomka Kardacza.



KOZIOŁEK MATOLEK

Lektura, która towarzyszy mi od dziecka. Ponadczasowa, pełna genialnych skojarzeń, humoru, ale także pokory i dystansu wobec świata. Jej autor, Kornel Makuszyński, mimo wielkich sukcesów przed wojną w komunie miał zakaz druku i dosłownie głodował.



„MIĘDZY WIELKĄ A MAŁĄ OJCZYZNĄ”

Książkę pisałem blisko 20 lat temu z przesłaniem, że Warmia i Mazury nie mogą być prowincjonalnym skansenem Polski żyjącym jedynie przez kilka wakacyjnych tygodni. Nam potrzeba przemysłu, silnego uniwersytetu, dobrych dróg, połączeń kolejowych, poważnego potencjału Wojska Polskiego i rozwoju. Zawsze przestrzegałem przed angażowaniem się we współpracę z obwodem kaliningradzkim, z której zresztą niewiele wychodziło. Mam wielką satysfakcję, że dobrze odczytałem ówczesne zagrożenia. Dlatego często powtarzam, że program Prawa i Sprawiedliwości jest skrojony na potrzeby Warmii i Mazur.

POLSKIE KRESY

Z racji moich korzeni bardzo mnie one interesują. Jeszcze przed rewolucją bolszewicką 90 proc. majątków ziemskich na Ukrainie należało do Polaków, w Kijowie polska inteligencja liczyła 50 tys. osób.



PIOSENKI JACKA KACZMARSKIEGO

Wydanie z czasów podziemia i walki z komuną na początku lat 80., kiedy było najostrzej. Pozostały mi z tego okresu wspomnienia i wielu prawdziwych przyjaciół. W dobrym towarzystwie i w sprzyjających okolicznościach chętnie śpiewam, szczególnie pieśni patriotyczne.

ZIELONA HERBATA

Bez niej ciężko żyć i pić jej ogromne ilości.



Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

OGNIEM NA WPROST

Muzealny sprzęt na froncie



Podczas oczyszczania wyzwoleńców osiedli obwodu kijowskiego ukraińscy funkcjonariusze znaleźli m.in. telefony wojskowe z czasów sowieckich. Opowiedział o tym ukraińskim kanałem telewizyjnym szef policji rejonu Kijowa gen. Andrij Nebytow. „Znaleźliśmy model telefonu TA-57. Abyście zrozumieli, to jest model z 1957 r. i oni go używali”. Według nomenklatury sowieckiej połowy telefon wabił się „tapik”. Pamiętam jeszcze zajęcia w liceum z przedmiotu zwanego przysposobieniem obronnym z połowy lat 60., na których prowadzący pokazywał nam ten cud sowieckiej techniki analogowej. Ale dziś, w dobie technologii cyfrowej, to czysto muzealny sprzęt używany tylko przez rekonstruktorów. Z kolei na innych frontach walki z orkami ukraińskim żołnierzom udało się zdobyć jeszcze inne muzealne artefakty: wyprodukowane pół wieku temu maski przeciwgazowe, przeterminowane herbatniki czy stalowe hełmy SSh-40, 60 i 68 – takie, jakie Rosjanie nosili jeszcze w Afganistanie. Absolutnym kuriozum były zdobyte na milicjantach z Donbasu wspierających rosyjską armię trzyliniowe karabiny Mosin wzór (sic!) z roku 1891. Broń ta była wykorzystywana jeszcze podczas wojny rosyjsko-japońskiej 1905 r., a jej wersje rozwojowe były podstawowym uzbrojeniem żołnierzy armii imperium rosyjskiego i Armii Czerwonej w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r. oraz podczas II wojny światowej. Nawet były członek GRU, minister obrony donieckiej republiki ludowej Igor Girkin skarżył się, że „przeklęty Ukraińiec walczy dronami prawie na poziomie plutonu, a »milicje Donbasu« są rzucanie do bitew z trzyliniowymi karabinami pamiętającymi rewoltę październikową”.

Mirosław Różański to generał broni rezerwy Wojska Polskiego, a także doktor nauk o obronności, obecnie ekspert związanego z Szymonem Hołownią Instytutu Strategii 2050. Warto przypomnieć jego wypowiedzi do mediów. W wywiadzie dla „Polityki” w 2018 r. powiedział o UE i NATO: „Unia jest ważniejsza, niż wiele osób myśli, i daje nam coś więcej niż NATO. [...] Niestety, w kwestii europejskiej armii Polska jest już poza głównym nurtem wydarzeń. Zresztą na własne życzenie, rezygnując ze statusu państwa ramowego w Eurokorpusie w Strasburgu. O Wojskach Obrony Terytorialnej: „WOT to nic więcej niż propagandowy chwyt ministra Macierewicza. Bardziej fikcyjny twór niż realna siła bojowa. [...] WOT zasysa najlepszą kadrę z jednostek liniowych. Zabiera pieniądze z budżetu MON. Ta formacja wykrwawia polską armię. Proszę mi wierzyć, że w razie wojny nie będzie z nich wielkiego pożytku”. Gen. Różański miał również poważne wątpliwości w sprawie utworzenia stałych baz amerykańskich na terenie naszego kraju. „Utworzenie stałej bazy USA w Polsce, przywołując porozumienia NATO-Rosja z Paryża (1997) w aspekcie przełamania jego zapisów, w moim przekonaniu zwolni Rosję z przestrzegania przedmiotowego dokumentu, a to już potęguje zagrożenie naszego bezpieczeństwa” – napisał na Twitterze w 2018 r. Te i inne bzdury w wykonaniu byłego dowódcy generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych RP można przeczytać w książce „Dlaczego przegramy wojnę z Rosją” autorstwa Juliusza Cwielucha i Mirosława Różańskiego. Dlaczego o tym piszę? Ponieważ facet nadal robi w mediach za autorytet razem z drugim

podobnym gen. Stanisławem Koziejem. Teraz oczywiście „eksperci” nagle zmienili zdanie. Ale jak to ujął Adam Bielan: „Cieszę się, że agenci wpływu Rosji już nie funkcjonują w polskiej armii”.

Polscy kierowcy, którzy w kraju mają problemy ze zdaniem egzaminu na prawo jazdy kategorii B, mogą spróbować na Ukrainie. Podczas stanu wojennego tamtejsze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych znacznie uprościło procedury egzaminacyjne. Jak poinformował przedstawiciel resortu Jewhen Moiseenko, aby przywrócić lub wymienić prawo jazdy, nie potrzeba teraz zaświadczenia lekarskiego. Wystarczy skontaktować się z dowolnym centrum serwisowym tylko poprzez dostarczenie paszportu i kodu identyfikacyjnego. Uproszczona została również procedura zdawania egzaminów praktycznych. „Kierowcom samochodów osobowych (kategoria B) teraz wystarczy pomyślnie zdać egzamin na drogach publicznych” – powiedział Moiseenko. W centrach serwisowych ukraińskiego MSW wznowiono zdawanie egzaminów teoretycznych i praktycznych dla wszystkich kategorii kierowców, znacznie je upraszczając. „Rozumiejąc trudną sytuację na drogach i obecność blokad drogowych, zmieniliśmy trasy zdawania egzaminów praktycznych, uzgadniając te trasy z administracją wojskową. Ogólnie rzecz biorąc, egzamin odbywa się w 19 regionach i mieście Kijów” – dodał Moiseenko. Do Lwowa niedaleko, a powróć już z prawem jazdy. Chyba że ktoś chce spróbować swych umiejętności w donbaskim off-roadzie, to jest jeszcze miejsce w Legionie Cudzoziemskim. **Andrzej Rafał Potocki**

Nicość



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Zgodnie z art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej UE opiera się na wartościach poszanowania godności osoby ludzkiej, wolności, demokracji, równości, państwa prawnego, jak również poszanowania praw człowieka, w tym praw osób należących do mniejszości. Od dwóch miesięcy Rosja prowadzi na Ukrainie „operację specjalną” polegającą na popełnianiu zbrodni wojennych, ludobójstwa i gwałtów. Zdaje się jednak, że wśród wielu osób identyfikujących się z elitami Europy Zachodniej panuje przekonanie, że zasadniczym celem powinno być najszybsze przywrócenie relacji międzynarodowych do stanu sprzed 24 lutego br. Przedstawiciele niemieckiej kultury, nauki, polityki i mediów wzywali w liście rząd Niemiec do wstrzymania dostaw broni na Ukrainę i wskazywali, że dalszy opór militarny wywołuje jedynie „niekontrolowaną eskalację wojny z nieprzewidywalnymi konsekwencjami dla całego świata”. Sygnatariuszem listu jest m.in. muzyk Konstantin Wecker, który w jednym ze swych utworów śpiewa: „Gdy nasi bracia przychodzą z bombami i bronią, to chcemy ich przytulić, to nie chcemy się bronić”. Kogo zatem chcą bronić niemieckie elity? Gdzie poszanowanie dla europejskich wartości?

Zainicjowana przez premiera Mateusza Morawieckiego akcja bilbordowa #stoprussianow ma dotrzeć z informacjami o rosyjskich zbrodniach do zachodnich społeczeństw, by unaocznić im skalę okrucieństwa wymierzoną w suwerennych Ukraińców oraz realność zagrożenia, z którym solidarnie powinny się mierzyć wszystkie państwa europejskie. Na mobilnych banerach fotografie wojenne z Ukrainy zostały zestawione ze zdjęciami ukazującymi spokojną codzienność mieszkańców krajów Zachodu. Te obrazy nie mogą pozostawić nikogo obojętnym i mają skłonić polityków do wprowadzenia bardziej skutecznych sankcji i udzielania Ukrainie realnej pomocy.

W 2005 r. Marek Edelman w wystąpieniu na uroczystej sesji otwierającej polską prezydencję Task Force for International Cooperation on Holocaust Education, Remembrance and Research, powiedział: „[...] Za mną jest nicość. Nicość, w którą odeszły setki tysięcy ludzi, których odprowadzałem do wagonów. Nie mam prawa mówić w ich imieniu, bo nie wiem, czy ginęli z nienawiścią, czy katom przebaczała, i już się tego nikt nie dowie. Ale mam obowiązek, żeby pamięć o nich nie zaginęła. Wiem, że potrzebna jest pamięć o tych kobietach, dzieciach, ludziach starych i młodych, którzy odeszli w nicość, zostali zamordowani bez sensu i bez powodu”. Pamięć o zaplanowanym przez Niemców mordzie na narodzie żydowskim, Polakach i innych ofiarach II wojny światowej jest kultywowana przez szacunek do ludzi, których życie zostało w okrutny sposób przerwane, a także po to, by w przyszłości takie zbrodnie nie miały miejsca, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się zła. Oto dzisiaj, patrząc na zdjęcia udreńczonych Ukraińców, nie mamy złudzeń, że historia zaczyna się powtarzać.

Wojna na Ukrainie, nazywana „operacją denazyfikacji”, służy eksterminacji narodu, który według Rosjan nie ma prawa do samo-

dzielnej egzystencji. Współczesna Federacja Rosyjska to państwo w istocie będące organizmem o charakterze totalitarnym. Uznawana za jedną z najważniejszych politycznych myślicielek XX w. Hannah Arendt wskazywała, że istotą totalitaryzmu jest destrukcja tożsamości jednostek, pozbawienie ich duchowej siły w wyniku funkcjonowania aparatu represji skierowanego wobec arbitralnie wybranych grup społecznych, istnienia rozbudowanego systemu terroru i samokontroli jednostek oraz mechanizmów niwelowania możliwości buntu – które prowadzą do obojętności, biernego przyzwolenia i społecznej atomizacji. Jak wskazywała, obywatel

państwa totalitarnego nie potrafi samodzielnie myśleć i zazwyczaj jest ateistą. Ateizm sprzyja zakwestionowaniu zarówno tożsamości człowieka, którego pozbawia ostatecznej racji istnienia i rozwoju, jak również tożsamości społeczeństwa, w którym usprawiedliwia wszelkie eksperymenty ideologiczne kwestionujące autonomię jednostki i tworzonych przez nią społeczność.

Czy elity zachodnie, sugerując Ukraińcom poddanie się, zgadzają się na zbrodniczą ekspansję terytorialną państwa działającego na podstawie powyższych zasad?

REKLAMA

"Słowem dotykam świata"
ks. Marek Chrzanowski
i Weronika Ostrowska,
sobota, godz. 18.30

"Radość miłości"
Paweł Zuchniewicz
piątek, godz. 22.00

Radio Warszawa 106,2 FM i www.radiowarszawa.com.pl

570422/F

Razom nas bahato

Słabością naszej polityki wschodniej do 2015 r. była słabość wobec Rosji. Wynikała ona z mylnego przekonania, że Polska musi mieć jakiegoś patrona, a najlepszym dla nas będą silne Niemcy, więc skoro one żądają uległości wobec Rosji, to naszym zadaniem, a wręcz „racją stanu”, jest to poddaństwo realizować. W najlepszym przypadku motywem były głupota i naiwność albo fałszywie rozumiana potrzeba bezpieczeństwa i strach, a w najgorszym – zdrada.

Symbolicznym znakiem tego poddańczego myślenia jest okładka „Newsweeka”, czyli tygodnika dla lemingów, na której znalazło się zdjęcie kanclerz Angeli Merkel i hasło „Nasz ostatni sojusznik”, a pod nim wymowny podpis, że od Niemiec „zależy miejsce Polski w UE”. Ten niewolniczy sposób myślenia, który dotąd był wlewany niczym jad do naszych głów i serc, który był naszą narodową klątwą, ma szansę odejść do lamusa. Polacy odkryli, że po pierwsze, Rosji nie trzeba, a nawet nie można się bać. Niemcy nie mają żadnego moralnego prawa do rządzenia w Europie, a już na pewno nie do dyktowania polskiej polityki zagranicz-



**Samuel
Pereira**

nej. Na naszych oczach oprócz rzeczy okropnych, których dopuszcza się Rosja na Ukrainie, dzieją się rzeczy dobre.

Jedną z nich jest powstająca nowa architektura geopolityczna, gdzie w centrum zamiast Niemiec jest Polska, a wokół niej kraje naszego regionu, niegdyś razem zamieszkujące obszar I Rzeczypospolitej. I nie mam tu na myśli rewizji granic, lecz szansę na powstanie dużego bloku państw europejskich (może kiedyś w przyszłości również z Białorusią), które będą narzucać agendę i wskazywać kierunki Unii Europejskiej. Oś ciężkości przesunęłaby się na wschód, dając naszej części kontynentu dużo więcej siły i bezpieczeństwa niż dotychczas. „Razem nas bahato, nas ne podolały” – jak mówi refren hymnu pomarańczowej rewolucji. To oczywiście nie jest zadanie łatwe, pierwsze do torpedowania takiej koncepcji będą Niemcy, ale warto spróbować. To dla Polski historyczna szansa, która szybko się nie powtórzy. Żeby miała szansę powodzenia, musimy zacząć nad tym pracować już teraz.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Oryginalność i charyzma

**Z Cleo, piosenkarką, trenerką „The Voice Kids”,
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna**

Ma pani jakiś tajny sposób na kreowanie zwycięzców?

Cleo: To nie tylko moja zasługa, ale całej ekipy. I oczywiście Mateusza. Mimo rywalizacji program „The Voice Kids” to azyl, miejsce spokoju i rodzinnej atmosfery, w której uczestnicy mogą rozpościerać swoje skrzydła.

Trzy tysiące zgłoszeń do piątej edycji i tylko jeden zwycięzca, 13-letni Mateusz Krzykała z pani drużyny. Co w nim takiego jest?

Oryginalność i charyzma. We współczesnym świecie, gdzie cały czas kogoś naśladujemy, kreujemy się na czyjś wzór, Mateusz pozostał sobą. To jego wygrana.

Za chwilę Eurowizja, konkurs, od którego na dobre zaczęła się pani kariera...

Dla mnie to masa cudownych wspomnień – występem w 2014 r. pokazaliśmy, jak mamy wspaniałą folkową aurę, ale też chwytny nu-

mer „My Słowianie” sprawił, że zostaliśmy zauważeni. Zdobyliśmy piąte miejsce w rankingu publiczności [14. w głównej rywalizacji – przyp. red.], co było dla nas ogromnym wyróżnieniem. Oczywiście przy każdej kolejnej edycji gorąco kibicuję naszym reprezentantom.

Krystian Ochman z utworem „River” podbije, pani zdaniem, europejską publiczność?

Tu przede wszystkim siłą jest wspaniały głos. Do tego dochodzi wrażliwość. Mamy wielkie szanse na wygraną. Trzymam mocno kciuki.

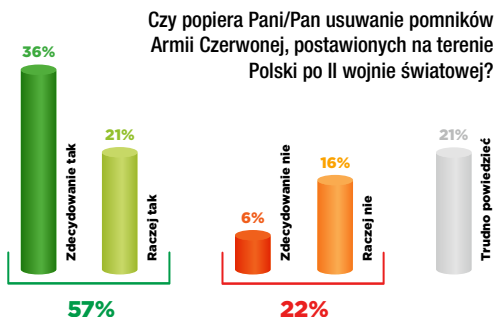
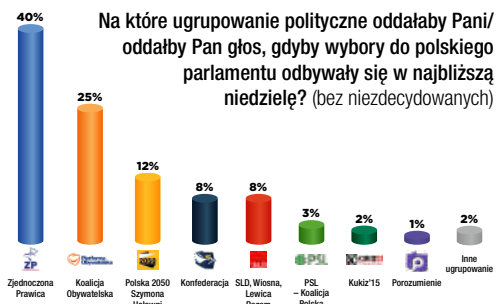
A co u pani w najbliższym czasie?

20 maja ukaże się płyta w klimacie oldskulowym „VinyLOVA”. Zaczynamy też nową trasę koncertową. Cały czas coś się dzieje.

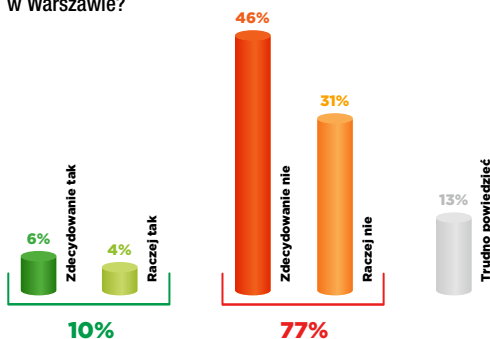




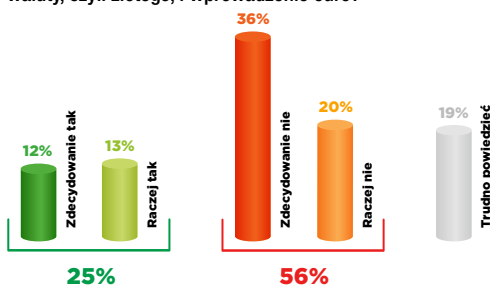
pracownia Social Changes dla wPolityce.pl



Czy popiera Pani/Pan wyburzenie Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie?



Czy popiera Pani/Pan rezygnację przez Polskę z własnej waluty, czyli złotego, i wprowadzenie euro?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1090.

Zakres czasowy badania 22-25 kwietnia 2022 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARŃOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTYBUCJA: MARIOLA BARCİKOWSKA,
MARIOLA.BARCİKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABECKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL
OBROBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PREENUMERATY NA STRONIE
WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSŁĘKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARŃOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI,
MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI,
JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ
POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA
RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIEŹLIK,
BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT,
ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KAKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOŹNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).
REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST
ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, JACEK DOMINIK, REPORTER, WOŁODYMYR TAPASOW/
EASTNEWS, ZAMEK KROKIELEWSKI W WARSZAWIE

Donald Tusk jeździ tej wiosny po Polsce w ramach tournée pt. „Rozmowy z Polakami”.

Co ludzie słyszą od lidera PO? M.in. to, że PIS prowadzi prorosyjską politykę, a on nie ma sobie nic w tej mierze do zarzucenia

Kretacz

Nie ma większego kuglarza w polskiej polityce od Donalda Tuska. Spektakl hipokryzji, z którym objeżdża kraj w ostatnich tygodniach, jest przeznaczony dla widzów najmniej wymagających – żądnych pisowskiej krwi i cierpiących na zaawansowaną amnezję. Tylko oni są w stanie uwierzyć, że przewodniczący PO w czasach premierowania był nieugięty wobec Rosji i Niemiec. Przypominamy, jak było naprawdę



MAREK PYZA

Inwazja Rosji na Ukrainę i reakcja na nią Donalda Tuska pokazały zasadniczy problem z tą postacią. Jest nim uprawianie polityki za pomocą mało wy-

szukanych narzędzi – kłamstwa, tanich bon motów, prymitywnych emocji. Nie przeszkadza mu w tym to, że na masową skalę zaprzecza samemu sobie. Jego retoryczne wygibasy – na pozór może niedostrzegalne – skonfrontowane z dziejowymi wydarzeniami za naszą wschodnią granicą po prostu rozkładają go na łopatki.

Dziś mówi o sobie, że miał w Brukseli opinię rusofoba. W wywiadzie dla postkomunistycznej „Polityki” zawistował tak: „Tam się za głowę łapali, nazywali

mnie monomaniakiem, że ja wciąż tylko o Ukrainie i o zagrożeniu rosyjskim”. Kto by pomyślał? Od tej strony go nie znaliśmy. Spójrzmy zatem, jak w rzeczywistości wyglądała ta jego rusofobia.

POKŁON POWITALNY

Platforma przejmuje władzę w listopadzie 2007 r. 11 dni po zaprzysiężeniu rządu Donald Tusk ogłasza, że Polska przestaje blokować członkostwo Rosji w Organizacji Współpracy Gospodarczej



i Rozwoju (OECD). Tym samym bardzo szybko, bo raptem po czterech dniach, wprowadził w życie zapowiedź ze swojego exposé: „Chcemy dialogu z Rosją taką, jaką ona jest”.

Jako pierwszą odwiedzaną stolicę spoza UE Tusk wybiera Moskwę. Jest tam 8 lutego. Dopiero półtora miesiąca później pojedzie na Ukrainę. Przed wyjazdem do Rosji Tusk mówił tamtejszym mediom, że Polska nie ma w planach rozmieszczania na swoim terytorium baz NATO, a niepokojąca Rosjan kwestia amerykańskiej tarczy antyrakietowej wcale nie jest jeszcze dogadana (polskim słuchaczom będzie później nawijał na uszy makaron, jakoby tarcza służyła wyłącznie bezpieczeństwu USA, a dla nas stanowiła zagrożenie). Ta potulna wypowiedź była niejako odpowiedzią na słowa ówczesnego stałego przedstawiciela Rosji przy NATO Dmitrija Rogozina, który groził: „Chciałbym przypomnieć polskim kolegom ich niedawną historię, która dowodzi, że próby sytuowania Polski na linii konfrontacji zawsze doprowadzały do tragedii. W ten sposób Polska podczas II wojny światowej utraciła prawie jedną trzecią ludności”. Ten sam Rogozin dziś jest szefem rosyjskiej agencji kosmicznej Roskosmos. Po marcowej wizycie w Kijowie polskiego premiera i wicepremiera zwracał się do Jarosława Kaczyńskiego: „Przyjdź do Smoleńska. Porozmawiamy”.

Dwa dni przed podróżą na Kreml ukazuje się wywiad z premierem w zaprzyjaźnionej z nim „Polityce”. Czytamy w nim: „Polska osłabia swoją pozycję tak długo, jak jest awangardą niechęci do Rosji. Kaczyńscy byli przekonani, że wystarczy mówić: Ukraina musi być w Europie. Rosja stanowi wyłącznie zagrożenie. Ale to już na nikim nie robi wrażenia”. Dwa tygodnie wcześniej mówi „Przekroju” i: „Czasami mam wrażenie, że przez nadgorliwość czy zapalczywość polskich polityków, szczególnie w ostatnich dwóch latach, doszło do sytuacji dla nas niebezpiecznej. Polska wzięła na siebie obowiązek surowego krytyka, który ciągle napomina Rosję. Dzięki temu Europa miała czyste sumienie i mogła z nią handlować, a my nie”. I jeszcze jeden cytat z 30 stycznia 2008 r. w czasie

wystąpienia w KPRM: „Chcemy, aby Rosja była ważnym – więcej: aby stała się ważniejszym niż do tej pory – partnerem Polski zarówno w kontekście gospodarczym, ale także politycznym i bezpieczeństwa”.

Jeśli więc dziś ktoś powiada, że Polska od dawna ostrzegała przed Rosją, to należy być precyzyjnym i dodać, że ostrzegał przede wszystkim obóz Prawa i Sprawiedliwości. A partia Tuska ostentacyjnie stawała na skrajnie odmiennej pozycji. Za wszelką cenę chciała dołączyć do grona europejskich krajów robiących z Moskwą interesy, przy zamkniętych oczach na zbrodnie i neoimperialną politykę Kremla.

Dziś Tusk mówi o sobie, że miał w Brukseli opinię rusofoba. Jak w rzeczywistości wyglądała ta jego rusofobia? Już 11 dni po zaprzysiężeniu rządu Tusk ogłasza, że Polska przestaje blokować członkostwo Rosji w Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju, a jako pierwszą odwiedzaną stolicę spoza UE wybiera Moskwę

W marcu 2008 r. w Departamencie Wschodnim MSZ powstaje dokument „Tezy o polityce RP wobec Rosji i Ukrainy”. Pismo już na wstępie stanowi, że „zwłaszcza podczas rządów PiS, wskutek niepogłębionych analiz i ocen, a także nierzadko demagogicznych sądów” utarł się nieprawidłowy „kanon postrzegania i przedstawiania Rosji i Ukrainy oraz celów polskiej polityki w odniesieniu do obu tych krajów”. Kanon ów szyderczo nazywa się „poprawnością patriotyczną”. Podważa się tezę, iż Rosja jest odwiecznym wrogiem Polski, państwem nieobliczalnym i odbudowującym imperializm: „Niektórzy zwolennicy tego poglądu (np. przywódcy PiS) idą tak daleko, iż

twierdzą, że w swej obecnej polityce Rosja dąży do ponownego włączenia Polski do swojej strefy wpływów. Toteż prowadzenie jakiegokolwiek aktywnej i bepośredniej polityki z Rosją nie ma sensu, bowiem naraża Polskę na mataczenie i oszustwa Moskwy, w krańcowej zaś postaci na jej szantaż i groźby, a w rezultacie – politykę polską na nieuniknione porażki”.

To bezcenne cytaty. Pokazują, że to, co wykpiwała dyplomacja Tuska, było w pełni słuszną diagnozą obozu PiS. Kolejne lata pokażą, jak profetyczne były przestrogi, z których śmiali się urzędnicy rządu PO-PSL.

Wspomniany dokument pełen jest stwierdzeń o „słabości Rosji”, jej „ograniczonych możliwościach ekspansji” i „orientowaniu się ku Zachodowi”. Na pierwszej stronie pisma Radosław Sikorski dopisał odręcznie: „B. dobry materiał. Akceptuję postulat narady. Proszę o wersję w formie notatki dla KPRM”. Szefowi swojego gabinetu politycznego prof. Bronisławowi Misztalowi polecił zaś wykorzystanie dokumentu do przygotowywanego pierwszego exposé szefa MSZ. I rzeczywiście dwa miesiące później Sikorski w Sejmie mówił o Rosji w takim właśnie duchu.

PUTIN SONDUJE

Tak się to wszystko zaczęło. Mówimy o samym początku rządów formacji, której lidera rosyjskie gazety nazywały – i słusznie – „swoim człowiekiem w Warszawie”.

Z dzisiejszej perspektywy jako arcyważny jawi się inny wątek z czasów pierwszego rządu Tuska. Jak dowiedzieliśmy się kilka lat później od Sikorskiego, Putin sondował polskiego premiera w sprawie wspólnego rozbioru Ukrainy. Tusk na tę propozycję nie zareagował. Jednak nie zmienił też swojej narracji na temat stosunków z Rosją. Wciąż przekonywał, że to poważny partner, w zasadzie taki sam jak każdy inny. I na każdym kroku powtarzał, że w interesie Polski jest utrzymywanie dobrych relacji z Moskwą. W zasadzie za wszelką cenę.

Dlaczego nic nie zrobił z wiedzą – i to z pierwszej ręki! – że Putin ma w planach agresję na naszego sąsiada? Czy już wtedy

liczył na europejską karierę? Aby ziszczyć to marzenie, nie wolno było krytykować Rosji, bo puściło to interesy najważniejszym graczom Unii – zwłaszcza Berlinowi i Paryżowi. Tusk drepiał więc do Brukseli potulnie, coraz wygodniej czując się w tym samym kostiumie, który przywdziali Angela Merkel czy Nicolas Sarkozy. W kostiumie pacyнки Putina.

Jak można było na poważnie twierdzić, że rosyjskich pieniędzy nic nie różni od tych z państw demokratycznych? 28 marca 2011 r. tak Tusk tłumaczył możliwość sprzedania Lotosu Rosjanom: „Nie ma żadnej ideologicznej przesłanki, aby mówić kategorycznie »nie« inwestorom z jakiegokolwiek kraju, także z Rosji. Na pewno nie będzie jakichś takich ideologicznych zakazów na robienie wspólnych interesów, bo nasi sąsiedzi są także od tego, abyśmy robili z nimi wspólne interesy”. Nie, tych słów nie wypowiedział Gerhard Schröder...

OPOWIEŚCI DLA CIEMNEGO LUDU

Gdy w zeszłym tygodniu Putin skreślił nam kurek z gazem, w najjaśniejszych barwach zobaczyliśmy, jak gigantyczne zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski stanowiła polityka energetyczna rządów PO-PSL. Platforma w poplochu zaczęła więc domalowywać sobie zasługi, kompletnie wykrzywiając fakty.

Na partyjnym profilu twitterowym (a politycy PO na wyścigi zaczęli te grafiki kolportować) z dumą ogłoszono: „W czasie rządów Donalda Tuska zadbaliliśmy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków”. I wymieniono zasługi, m.in. zwiększenie pojemności magazynów gazu czy zbudowanie kopalni ropy i gazu w Lubiatowie. Problem w tym, że obie te inwestycje zostały podjęte i zaplanowane przez rząd PiS.

Na czele listy rzekomych zasług PO znajduje się oczywiście budowa gazoportu w Świnoujściu (choć Borys Budka parę dni temu twierdził, że obiekt znajduje się w... Szczecinie). Tu kłamstwo jest dużo większe, więc warto poświęcić mu dłuższą chwilę.

Nieraz mogliśmy usłyszeć, że terminal LNG jest wyłączną zasługą Platformy,

a PiS jedynie nadał mu imię (śp. Lecha Kaczyńskiego). To zwyczajne draństwo. Oto fakty.

Już na początku rządów PiS oraz Lecha Kaczyńskiego, 3 stycznia 2006 r., gabinet Kazimierza Marcinkiewicza przyjął uchwałę zobowiązującą do budowy gazoportu na polskim Wybrzeżu. 22 maja 2006 r. prezydent zwołał posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego poświęcone importowi gazu. W efekcie po tygodniu rząd przyjął uchwałę zobowiązującą ministra gospodarki do ustalenia warunków inwestycji, lokalizacji gazoportu i zawarcia kontraktów na dostawę gazu. Do grudnia 2006 r. powstało studium wykonalności, a 15 grudnia zarząd PGNiG zdecydował o lokalizacji terminala w Świnoujściu. 22 marca 2007 r. rząd

Jak dowiedzieliśmy się kilka lat później od Radosława Sikorskiego, Putin sondował polskiego premiera w sprawie wspólnego rozbioru Ukrainy. Tusk na tę propozycję nie zareagował. Jednak nie zmienił też swojej narracji na temat stosunków z Rosją

Jarosława Kaczyńskiego przyjął „Politykę dla przemysłu gazu ziemnego w Polsce”. Dokument zakładał, że jednym z kluczowych warunków zapewnienia Polsce bezpieczeństwa energetycznego jest budowa gazoportu. Pomiędzy styczniem a kwietniem 2007 r. rząd prowadził już rozmowy o dostawach gazu LNG z rządami Algierii, Kataru i Jemenu. W marcu do budowy i obsługi terminala w Świnoujściu powstała spółka celowa Polskie LNG. W czerwcu ogłoszony został przetarg na projekt gazoportu. W tym samym czasie minister gospodarki opracował listę barier prawnych w realizacji inwestycji infrastrukturalnych sektorów, w tym dotyczących gazu ziemnego. Wszystko

było na dobrej drodze, by terminal został wybudowany do 2012 r.

W październiku odbyły się jednak przedterminowe wybory. I cała operacja stanęła. Donald Tusk z Waldemarem Pawlakiem skupili się na zakupie rosyjskiego gazu i wydłużeniu (wg pierwotnych planów aż do 2037 r.!) kontraktu jamalskiego. Gazoport był ich zdaniem niepotrzebny. Kto nie wierzy, niech sprawdzi, co mówił posłom i dziennikarzom 7 lutego 2008 r. ówczesny szef PSL i pierwszy wicepremier u Tuska. A przekonywał m.in., że „normalna, biznesowa współpraca możliwa jest w przypadku długookresowych umów między poważnymi firmami, także rosyjskimi”. Natomiast brak entuzjazmu do gazoportu i rurociągu Baltic Pipe uzasadniał koniecznością inwestowania w... krajowe wydobywanie.

„Do roku 2009 nie podjęto prac legislacyjnych niezbędnych do usunięcia barier przeszkadzających w realizacji inwestycji. Była to jedna z szeregu przyczyn prowadzących do opóźnień w budowie gazoportu w Świnoujściu” – napisze w 2015 r. Najwyższa Izba Kontroli w raporcie poświęconym tej inwestycji. Zarzuci też spółkom budującym terminal „nieprawidłową realizację zadań”, ministrom Tuska „niewystarczający nadzór”. Ekipa PO-PSL w końcu zabrała się do budowy, ale nie była w stanie dotrzymać założonych przez siebie terminów. Kilkakrotnie przesuwano ukończenie prac. Ostatecznie z czerwca 2014 r. zrobił się grudzień 2015 r. Nie prze-

szkodziło to jednak premierowi Ewie Kopacz już w październiku przeciąć wstęgę. Tylko dlatego, że zbliżały się wybory parlamentarne.

Można więc powiedzieć, że gazoport wcale nie powstał dzięki rządowi PO-PSL, lecz pomimo ich.

Ale już rurociąg Baltic Pipe udało im się utracić. „Mamy ważne kontrakty rosyjskie, to wiadomo, że my tego norweskiego gazu za dużo nie potrzebujemy. I w związku z tym polski rynek jest za mały dla Norwegii” – mówił Tusk.

A jeszcze w styczniu br. Pawlak przekonywał, że to projekt zupełnie Polsce niepotrzebny. Czyżby wciąż działał na niego czar Moskwy, który w 2009 r.



8 lutego 2008 r. – premier Tusk z oficjalną wizytą w Moskwie.
Cel spotkania: „przerwać atmosferę chłodu” we wzajemnych relacjach Polski i Rosji

spowodował, że w czasie negocjacji gazowych dawał Rosjanom więcej, niż oni sami oczekiwali?

Za pół roku, gdy Baltic Pipe ruszy, poczujemy dobitnie jego wagę, nie przejmując się ani nadchodzącą zimą, ani Rosją.

GWIAZDKA Z NIEBA

Wróćmy do rzekomej rusofobii szefa Platformy.

1 września 2009 r. na uroczystości 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej do Polski przyjeżdża Putin. Na konferencji prasowej obraża Polaków, twierdząc, że nasz kraj podpisywał z III Rzeszą analogiczne umowy jak pakt Ribbentrop–Molotow. Stojący obok Tusk jakby nie zauważał tych słów. Sam przyznał za to: „Rozmawialiśmy także o naszej współpracy energetycznej, w tym o czekającym na sfinalizowanie kontrakcie gazowym. Jeszcze raz potwierdziliśmy sobie, że gaz w relacjach polsko-rosyjskich nie może być, i nie powinien być, przedmiotem polityki, a wyłącznie dobrze pojętego wspólnego interesu”. Przyznają państwo, że takie potwierdzenie od samego Putina musiało oznaczać zielone światło dla dalszego uzależniania się Polski od surowców z Rosji.

Kolejny przykład. 19 stycznia 2011 r., tydzień po publikacji kłamliwego raportu MAK na temat katastrofy smoleńskiej, Donald Tusk relacjonuje posłom (ale też

obecnym w Sejmie rodzinom ofiar) działania rządu w tej sprawie: „Ja nie jestem oficerem śledczym. Jestem premierem polskiego rządu, więc przez te kilka miesięcy moim zadaniem było także dbać o wszystkie, kompletne interesy państwa polskiego. A do tych naczelnych interesów polskiego państwa zaliczam także – co zrozumiałe – bezpieczeństwo wynikające z poprawnych relacji z sąsiadami”. Wiele osób przy Wiejskiej nie dowierzało wówczas temu, co słyszało. Tusk bowiem godził się, by poprawność relacji z Rosją oznaczała strach przed postawieniem się Putinowi nawet w tak zasadniczej sprawie jak tajemnicza śmierć polskiego prezydenta na rosyjskiej ziemi i utrudnianie śledztwa przez Moskwę. To już nawet w czasach Związku Sowieckiego relacje Warszawy z Moskwą bywały mniej poprawne...

Prawda jest taka, że Tusk był dla naszych dwóch największych sąsiadów niczym gwiazdka z nieba. Niemcom nie przeciwstawił się nigdy w żadnej sprawie, jeśli mógł naruszyć ich interesy, nawet gdy w ich wyniku cierpiała polska racja stanu. Dopiero dziś stroi się w piórka herosa. W niedawnym wywiadzie dla „Polityki” wypalił: „To, że ja nie jestem politykiem agresywnym w retoryce, nie oznacza, że Polska za rządów PO nie była surowym krytykiem niemieckiej polityki energetycznej. Były kanclerz Schröder zaczął ten w sumie dość parszywy, pod-

szyty korupcją manewr. Niemcy dały się skorumpować rosyjskim gazem – to obciąża także rządy Merkel, bez dwóch zdań”.

Tusk był gorącym krytykiem gazu Nord Stream? Jakoś nie wspomniał o tym w maju 2012 r. na szczycie Rady Państw Morza Bałtyckiego w Stralsundzie, w obecności liderów 10 innych krajów, w tym Angeli Merkel. Dlaczego nie zająknął się ani słowem o stanowisku Warszawy? Może po prostu „für Deutschland”?

Sekretariat szczytu RPMB ujawnił później, że Tusk miał podkreślić, iż „konieczny jest wzajemny szacunek dla narodowej specyfiki planów dotyczących bezpieczeństwa energetycznego”. Pani kanclerz zaś zakomunikowała: „Poruszyliśmy także temat projektu Nord Stream. Nie był on tu kwestionowany. Gdy przypominam sobie dyskusję w tej sprawie, jakie toczyliśmy przed pięciu czy sześciu laty, ile było wtedy zastrzeżeń, to myślę, że sytuacja się uspokoiła”.

I znów to odetchnięcie z ulgą, że w Polsce nie rządzi już PiS, które przeszkadzało w interesach z Rosją... Dziś, gdy cały świat patrzy z przerażeniem na Ukrainę i widzi, do czego doprowadziło rozzuchwalanie Putina, Merkel wybrała lepszą taktykę obrony przed wypominaniem jej grzechów kardynalnych. Po prostu milczy. Odmawia wszelkich komentarzy. Tusk mógłby wziąć z niej przykład.

TUSKÓW DWÓCH

Zamiast tego próbuje przekonać Polaków, że to Morawiecki z Kaczyńskim działają na rzecz Putina.

8 kwietnia zorganizował konferencję prasową przy terminalu kolejowym Braniewo-Mamonowo koło Terespoła, gdzie przeładowywany był węgiel importowany z Rosji. Grzmiał tam: „Nie mówimy o tym, że Polska ma nałożyć europejskie embargo na import rosyjskiego węgla, tylko polski rząd, premier Morawiecki mają w ręku możliwość podjęcia natychmiastowej, z dnia na dzień, decyzji – różnych decyzji – które mogą zatrzymać zakup przez Polskę, przez spółki skarbu państwa tego węgla [...] Odrobinę odwagi i przyzwoitości! To wszystko pokazuje nieczyste intencje i taką złą wolę rządu pisowskiego, także w kwestii sankcji”.

Jak wiadomo, polski rząd to zrobił. Dosłownie dzień wcześniej Sejm przyjął ustawę w tej sprawie. „Odwagi i przyzwoitości” brakowało zaś samemu Tuskowi, gdy był premierem.

27 sierpnia 2014 r. Tusk przemawiał w Sejmie: „[...] Alternatywą dla tego zachowania [niewychodzenia przed międzynarodowy szereg w sprawie sankcji – przyp. red.] jest taka romantyczna samodzielność polegająca na przykład na tym, aby Polska, jak przed chwilą tutaj jeden z posłów zaproponował, samodzielnie nałożyła embargo na rosyjski węgiel. To brzmi tak fajnie w pierwszej chwili, gdy się o tym słucha. Oczywiście fajnie o tym podyskutować, kiedy ma się albo małą wyobraźnię, albo małą wiedzę”.

2 marca 2014 r. wił się przed mikrofonami dziennikarzy, gdy ci pytali go o sankcje na Rosję po aneksji Krymu: „Ciężka praca w obrębie całej Wspólnoty, a nie jakieś samotne wyprawy. [...] Polska nie może narażać na szwank swojego interesu. Polska musi działać racjonalnie, ostrożnie”.

18 marca 2014 r. w radiu Tok FM klarał: „Wyobraźmy sobie, gdyby w Polsce rządził Jarosław Kaczyński, który usiłowałby wymusić na państwach regionu, takich jak np. Węgrzy czy Słowacy, radykalnie antyrosyjską postawę. Gdyby

Polska szarżowała, tak jak to proponował Jarosław Kaczyński, tym bardziej straciłibyśmy szansę wpływania na wspólne zachowania, takie solidarne zachowania całej Unii Europejskiej. [...] dzisiaj większość państw nie chce żadnej awantury z Rosją”.

Tusk też jej nie chciał. Skłonny był bronić interesów energetycznych, wojskowych, chemicznych Berlina i Moskwy i się nie wychylać. Zgodnie z tym, co powiedział dwa miesiące później w TVN24: „Póki ja będę o tym współdecydował, Polska nie będzie krajem jakiejś agresywnej koncepcji antyrosyjskiej”.

Dzisiaj mamy sytuację diametralnie inną. W obliczu rosyjskiej wojny na Ukrainie Niemcy najpierw przekonywali Ukraińców, że nie ma sensu im pomagać, bo

Gdy w zeszłym tygodniu Putin zakręcił nam kurek z gazem, zobaczyliśmy, jak gigantyczne zagrożenie dla bezpieczeństwa Polski stanowiła polityka energetyczna rządów PO-PSL. Platforma w popłochu zaczęła więc domalowywać sobie zasługi, kompletnie wykrzywiając fakty

nie mają oni żadnych szans. Szarżę, jak mówił Tusk, podjęli polski rząd z premierem Morawieckim i wicepremierem Kaczyńskim na czele, a także prezydent Duda. I to polskie władze są podziwiane i stawiane przez inne państwa jako godny naśladowania przykład odwagi i rozumności wobec agresji Kremla. To ta „szarża” (oczywiście przy aktywnej postawie Wielkiej Brytanii i USA, które również w 2014 r. domagały się ostrzejszego potraktowania Rosji) Polski zmusiła do reakcji europejskich hegemonów. Na naszych oczach zmienia się układ sił na Starym Kontynencie, rośnie pozycja na-

szego kraju. Stajemy się realnym liderem upominającym się o wolność i broniącym naszej cywilizacji. Donald Tusk zaś najpierw przez wiele dni siedział cicho, a gdy już zaczął się odzywać, to tylko po to, by niezliczonymi kłamstwami zamazywać swoją haniebną postawę sprzed lat.

25 kwietnia na konferencji w Korczynie wyzłościł się na rząd, że pozwala rosyjskim samolotom wozić paliwo nuklearne na Węgry. Tymczasem 5 maja 2014 r. gościł w Warszawie Viktora Orbána, świeżo po jego wyborczym zwycięstwie. Komplementował go, nazywając „przyjacielem”, mówiąc o „świetnej współpracy między rządami”, o „zwykłej wartości” (PO i Fideszu). Padło wówczas wiele słów, o których dziś Tusk wolałby zapomnieć: „Jestem przekonany, że nasza współpraca gazowa, także z Rosją, będzie jeszcze przez wiele lat kwitła. [...] Ja bardzo otwarcie powiedziałem premierowi Orbánowi, że Polska nie widzi żadnego problemu we współpracy energetycznej dotyczącej rozbudowy elektrowni jądrowej, przy pomocy rosyjskiej, na Węgrzech. Mamy do tego neutralny stosunek i rozumiemy, że każde z naszych państw ma pewne potrzeby. To nie jest komfortowa sytuacja w dzisiejszym kontekście, ale przecież my też jesteśmy importerami na dużą skalę gazu rosyjskiego. My też współpracujemy energetycznie z Rosją. Samo w sobie to nie jest grzechem”.

Niewykluczone, że rozliczyć tego blagiera może już tylko historia oraz ponownie wyborcy w dniu głosowania. Ale nic nie zwalnia nas z obowiązku przypominania czytelnikom, jak Tusk kręci w sprawie swoich relacji z Moskwą. Ten człowiek w celu powrotu do władzy wykorzystuje tragedię Ukraińców, prowadzi kampanię oszczerstw wobec rządu i wybielania samego siebie. I obraża tych, którzy konfrontują mądrości Tuska A.D. 2022 z działaniami Tuska jako premiera.

Rozumiemy, że to nic przyjemnego. Ale skoro przez lata kłapało się o „braniu odpowiedzialności na klatę”, można by to w końcu raz zrobić. Jeden jedyny. W obliczu wojny, śmierci oraz wielkiej roli, jaką odgrywa dziś nasz kraj. I po prostu się schować.

Ameryka chce wygrać tę wojnę

Niedawna podróż do Kijowa szefa Departamentu Stanu Antony'ego Blinkena i kierującego Pentagonem Lloyda Austina, złożone przez nich deklaracje i podjęte równolegle przez Waszyngton działania potwierdzają, że Ameryka chce wygrać wojnę na Ukrainie i uważa, że zwycięstwo jest scenariuszem realnym



MAREK BUDZISZ

USA chcą wygrać wojnę nie tylko dlatego, że w rosyjskiej narracji publicznej i wypowiedziach samego Putina brzmią deklaracje, w myśl których Rosja, atakując Ukrainę, uderzyła w cały blok Zachodu i ewentualne zwycięstwo jest tylko pierwszym krokiem na drodze do zaprowadzenia rosyjskich porządków w Europie. Równie istotne jest to, o czym otwarcie mówił w Kijowie Lloyd Austin, że opór Ukrainy pokazał sceptykom w Waszyngtonie, iż Rosja może tę wojnę przegrać. Wyjdzie więc z niej na tyle osłabiona, że nie tylko nie będzie w stanie przez długie lata wznowić swoich planów imperialnych, lecz również jej porażka wpłynie na siłę duetu rosyjsko-chińskiego. A to oznacza, że pojawiła się historyczna szansa przesunięcia relacji sił w batalii o prymat w świecie na stronę Stanów Zjednoczonych. I dlatego Ameryka wraca do gry.

NOWA AMBASADOR I DOSTAWY BRONI

Symbolicznym potwierdzeniem tej zmiany nastawienia były zarówno deklaracje na temat powrotu amerykańskich dyplomatów do Kijowa, jak i obsadzenie wakującej od 2019 r. funkcji amerykańskiego ambasadora. Teraz placówkę w Kijowie obejmie Bridget Brink, kierująca obecnie ambasadą USA w Bratysławie. Można zaryzykować hipotezę, że większe niż można było oczekiwać, zwłaszcza wobec oporu prawicowej opozycji, z którą w tej kwestii połączyła swe wysiłki partia byłego premiera Fico, zaangażowanie Słowacji w wojskowe wspieranie Kijowa jest zasługą pani ambasador, co oznacza, że jej nominację można uznać za część planu wojskowo-politycznego Ameryki wobec Ukrainy.

Istotne decyzje podjęto w kwestii dostaw sprzętu wojskowego. Przy okazji wizyty dwóch amerykańskich ministrów w Kijowie pojawiły się w mediach ważne deklaracje na temat przyspieszenia tempa dostaw dla Ukrainy ciężkiego uzbrojenia, przede wszystkim haubic o dużym zasięgu. Szwedzi zapowiedzieli dostawy systemów FH77 BW Archer, czyli samobieżnych haubic 155 mm, podobne mają wysłać Włosi, Duńczycy, Kanadyjczycy, Belgowie, Brytyjczycy i Francuzi. Przy okazji wizyty Austina ukraińscy dziennikarze informowali też, że część zapowiedzianego niedawno pakietu pomocy, który obejmował m.in. dostawy cięż-

Biały Dom uznał, iż strona ukraińska jest w stanie nie tylko się obronić, lecz również przejść do kontrofensywy i odbić utracone w 2014 r. tereny Donbasu. Stąd zwiększenie skali pomocy wojskowej oraz udzielenie Ukrainie dostępu do danych zwiadu i rozpoznania

kiej artylerii, już dotarła na miejsce przeznaczenia. Oznacza to, że kanały zaopatrzeniowe są drożne, mimo że Rosjanie zaczęli silnie ostrzeliwać raketami węzły kolejowe na zachodniej i środkowej Ukrainie.

Dlaczego dostawa ciężkiego sprzętu artyleryjskiego dla ukraińskich sił zbrojnych jest obecnie tak ważna? Mówił o tym w interesującym wywiadzie dla ukraińskiego portalu NV azerski ekspert wojskowy Agił Rustamzade. Otóż jego zdaniem dzisiaj sytuacja na froncie w Donbasie wygląda następująco: Rosjanie, mimo że już miesiąc temu oficjalnie poinformowali o wycofaniu wojsk spod Kijowa i koncen-

trowaniu się na południu, nie osiągnęli żadnego wojskowego celu o charakterze strategiczno-operacyjnym. Przede wszystkim dlatego, że ich siły uderzeniowe, szacowane przez Rustamzadego na ok. 100 tys. żołnierzy, są zbyt słabe, aby przełamać dobrze przygotowaną, eszelonowaną obronę ukraińską, a na dodatek rozproszyły się na sześciu głównych kierunkach operacyjnych. Mogą oczywiście odnieść lokalne sukcesy o charakterze taktycznym, ale strategicznego przełamania nie są w stanie osiągnąć. Przede wszystkim dlatego, że ukształtowała się na linii frontu szczególnie rodzaju równowaga sił. Strona ukraińska zaopatrzona przez Zachód

w przenośne systemy przeciwpancerne i przeciwlotnicze dysponuje przewagą na dystansie do 5 km, co oznacza, że rosyjskie siły pancerne mają problem z przełamaniem ukraińskiej obrony. Natomiast jeśli chodzi o systemy ogniowe o większym zasięgu, to zdecydowanie w tym obszarze dominują Rosjanie. Ta sytuacja może się zmienić, gdy Ukraińcy dostaną z Zachodu haubice, które, jak w przypadku amerykańskich M777, mogą razić cele nawet na dystansie do 60 km. Oczywiście jeśli Ukraina otrzyma pociski Excalibur, które mogą być naprowadzane przez drony, co znakomicie zwiększa skuteczność prowadzonego ognia. Pojawienie się tego rodzaju systemów na wyposażeniu ukraińskiej artylerii spowoduje, że Ukraińcy, w opinii azerskiego eksperta, osiągną zdolności ofensywne.

Jego zdaniem w perspektywie dwóch tygodni możemy się spodziewać kontrataku ukraińskich sił zbrojnych. Nie można więc wykluczyć, że będziemy mieli do czynienia z próbą otoczenia i zniszczenia rosyjskiego zgromadzenia w okolicach Iziumu, próbą odbicia Chersonia czy przebicia się do Mariupola. Gen. Mark Milley, który towarzyszył Austinowi w podróży do Kijowa, będąc już w amerykańskiej bazie w Ramstein, powiedział, że „następne dwa tygodnie będą przełomowe” w bitwie o Donbas, choć nie uściślił, co miał na myśli. Nieco światła w tej kwestii rzuciły niedawne wypowiedzi Blinkena,



24 kwietnia br. amerykańscy sekretarze obrony Lloyd Austin i stanu Antony Blinken spotkali się w Kijowie z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim

który rozmawiając już po wizycie w Kijowie z kongresmenami, powiedział, że Ukraina nie tylko ma prawo do obrony swego terytorium, lecz również broniąc się, może atakować obszary Federacji Rosyjskiej.

PEŁNE DANE WYWIADOWCZE

Przy okazji pozostając pod presją Niemcy, oskarżane o blokowanie wsparcia dla Kijowa, zaczęły zmieniać swoją politykę. Minister Christine Lambrecht zapowiedziała dostarczenie Ukrainie 30 ciężkich samobieżnych systemów przeciwlotniczych Gepard, przeznaczonych do zwalczania śmigłowców i dronów. Jest to bezpośredni efekt zorganizowanej przez Amerykanów w ich bazie w Ramstein konferencji państw, w której uczestniczyli przedstawiciele 40 rządów chcących dostarczać Ukrainie broń i amunicję. W związku z niemieckimi planami wysłania gepardów odbyło się jeszcze jedno ważne wydarzenie. Otóż Niemcy nie mieli wystarczających zapasów amunicji do tych szybkostrzelnych systemów, posiadane

zapasy pozwoliłyby, jak napisali dziennikarze Agencji Bloomberg, na prowadzenie 20-minutowego ognia, co wiele mówi o stanie Bundeswehry, ale Brazylia zgodziła się na sprzedaż niezbędnej liczby pocisków. Jest to decyzja ważna również z politycznego punktu widzenia, bo Moskwa liczyła, że takie państwa jak Brazylia, RPA i Indie, nie przyłączą się do zachodniego bloku wsparcia dla Kijowa, co da jej wystarczające możliwości manewrowania i unikania sankcji.

Już po wizycie Blinkena i Austina w Kijowie dyrektor Wywiadu Narodowego Avril Haines powiedziała w Kongresie, że Waszyngton zniósł właśnie istniejące w pierwszych dniach wojny ograniczenia i obecnie udostępnia stronie ukraińskiej, w czasie rzeczywistym, wszystkie informacje na temat Rosjan, obejmujące również Donbas. Zaraz po rozpoczęciu wojny strona amerykańska dostarczała dane wywiadowcze umożliwiające Ukrainie zorganizowanie skutecznej obrony. W świetle informacji zdobytych przez dziennikarzy stacji telewizyjnej NBC Amerykanie informowali Kijów zarówno o tym, skąd wystrzeliwane są rosyjskie

rakiety, jak i, co znacznie ważniejsze, jakie cele mają razić. Te precyzyjne koordynaty umożliwiły Ukraincom np. rozśrodkowanie ich lotnictwa i obrony przeciwlotniczej, których Rosjanie nie byli w stanie zniszczyć. W efekcie zaczęli ponosić duże straty w powietrzu, nie zdobyli dominacji, nawet lokalnej, w tej domenie, a ich uderzenia lądowe pozbawione były wsparcia samolotów szturmowych i myśliwców bojowych, które rosyjska armia traktuje w kategoriach latającej artylerii.

Teraz Amerykanie poszli krok dalej i strona ukraińska wie wszystko na temat ruchów wojsk, składów i magazynów, kierunków przemieszczania się rosyjskich oddziałów i kierunków przyszłych ataków. Te informacje są nie mniej, a może nawet bardziej istotne, choć ich udostępnienie nie przykuwa takiej uwagi jak dostawy broni. Jak powiedział dziennikarzom jeden z anonimowych urzędników, ta zmiana nastawienia administracji Joego Bidena wynika z tego, że Amerykanie uznali, iż strona ukraińska jest w stanie nie tylko się obronić, lecz również przejść

do kontrofensywy i odbić utracone w 2014 r. tereny Donbasu.

Ale podjęcie decyzji zarówno co do zwiększenia skali pomocy wojskowej, jak i danych zwiadu i rozpoznania ujawnia również mechanikę procesu politycznego w Stanach Zjednoczonych, która działa na korzyść Ukrainy. Początkowo ostrożna i sceptyczna, jeśli chodzi o ocenę szans Kijowa na zwycięstwo, administracja Bidena znalazła się pod narastającą presją Kongresu i opinii publicznej domagającej się zwiększenia pomocy wojskowej. W tej konkretnej sprawie – udostępnienia danych zwiadu elektronicznego – listy do Białego Domu skierowali senator Marco Rubio, republikanin z Florydy, i wywodzący się z tej samej partii Mark Turner, kongresmen z Ohio, obaj wysoko postawieni członkowie komisji ds. służb specjalnych. Przed listopadowymi wyborami uzupełniającymi, które zdaniem obserwatorów są kluczowe, jeśli demokraci chcą utrzymać większość w Senacie, Białe Dobre nie może dopuścić, aby republikanie przechwycili publiczną narrację w sprawie pomocy Ukrainie i zostali przez opinię publiczną uznani jako gwarantami amerykańskich interesów. Obecna administracja musiała stanąć na czele wznoszącej fali społecznego poparcia dla walczących i podziwianych Ukraińców zaatakowanych przez Gołiata. A to oznacza, że Biden, jeśli chce utrzymać większość w Senacie i myśleć o reelekcji, o czym zaczął mówić, musi wojnę z Rosją wygrać.

ROPA, GAZ – KONIEC Z SZANTAŻEM

Ale zmiany następują również w innych obszarach. Po tym jak rosyjski Gazprom oficjalnie poinformował o zaprzestaniu dostaw gazu dla Polski i Bułgarii, co jest nie tylko próbą szantażu i presji na kraje wspierające wojskowo Ukrainę, w Europie przyspieszeniu uległy działania mające doprowadzić do zerwania relacji energetycznych z Rosją. Robert Habeck, niemiecki wicepremier i minister gospodarki, zawarł z Polską umowę umożliwiającą dostawę ropy naftowej

do naszego gazoportu, która potem dostarczać będzie ropociągami Przyjaźń do niemieckich rafinerii uzależnionych dotychczas od rosyjskich dostaw. Oznacza to, że Berlin może w perspektywie kilkunastu dni, a nie miesięcy, przestać kupować od Rosjan ropę, co dla finansów Moskwy będzie kolejnym bolesnym uderzeniem.

To, jak się wydaje, dopiero początek zmian. Liz Truss, brytyjska minister spraw zagranicznych, powiedziała w minionym tygodniu, że agresja rosyjska wobec Ukrainy nie tylko świadczy o załamaniu się dotychczasowego systemu

Uwagde obserwatorów nie umknęło, że na konferencji w sprawie wojny na Ukrainie w amerykańskiej bazie wojskowej w Niemczech byli przedstawiciele Kataru i Tunezji, dwóch krajów, od których może zależeć uniezależnienie się Europy od rosyjskiego gazu, a także Japonii, Kenii oraz Izraela

bezpieczeństwa i pokoju w Europie, lecz również skłania państwa bloku zachodniego do przewartościowania swego podejścia do geopolityki. Jej zdaniem należy powrócić do geopolitycznej siły gospodarki, co oznacza, że w przyszłości nie przywiązanie do wolności handlu i wymiany międzynarodowej będzie czynnikiem decydującym o kontraktach i inwestycjach, lecz twarde militarne i ekonomiczne bezpieczeństwo. Jak powiedziała, czyniąc wyraźną aluzję do wieloletniej polityki Niemiec, „wzrost budowany na tanim gazie i pieniądzach wysysanych od kleptokratów to wzrost zbudowany na piasku”. W podobnym duchu wypowiadał się w bazie Ramstein Lloyd Austin. W jego opinii opór

Ukrainy „dał inspirację wolnemu światu i jeszcze większą determinację NATO”. Dodał, że Władimir Putin „nigdy nie wyobrażał sobie, że świat opowie się za Ukrainą tak szybko i tak pewnie”.

Uwagde obserwatorów nie umknęło też, że na konferencji w sprawie wojny na Ukrainie w amerykańskiej bazie wojskowej w Niemczech byli przedstawiciele Kataru i Tunezji, dwóch krajów, od których może zależeć uniezależnienie się Europy od rosyjskiego gazu, a także Japonii, Kenii oraz Izraela. Szczególnie uderzające jest w tym kontekście to, że Izrael, od lat starający się utrzymać dobre, a nawet serdeczne stosunki z Moskwą, zdecydował się na przysłanie swych reprezentantów. Trudno na tej podstawie przesądzać, czy premier Bennett zdecyduje się na rezygnację z polityki niedostarczania broni Ukrainie, ale zmian w tym zakresie nie można wykluczyć. Tym bardziej że korzystając z tego, iż Rosja okazała się słabsza, niż wszyscy oczekiwali, Ankara, uderzając na północny Irak, zamierza metodą faktów dokonanych, kosztem Rosji, odbudować tam swoje wpływy. Prezydent Erdoğan wydał zresztą niedawno – po to by uniemożliwić przewożenie najemników z Syrii – zakaz używania tureckiej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie samoloty wojskowe. Izrael też na tym skorzysta, bo możliwości syryjskiego reżimu ulegną w efekcie znacznemu osłabieniu.

Moskwę najbardziej w ostatnich dniach rozwścieczyło jednak co innego. Otóż władze Kazachstanu poinformowały, że kontrolowany przez państwo fundusz inwestycyjny Samruk-Kazyna, dysponujący niemalymi środkami, bo do niego wpływają nadwyżki z eksportu węgłowodorów, nie będzie w związku z sankcjami inwestował w ruble. Rosjanie uważają to za niewdzięczność, po tym jak w styczniu „uratowali”, jak sądzą, władzę Kasyma-Żomarta Tokajewa, ale muszą się pogodzić, zgrzytając zębami, z tym, iż takie kroki będą podejmowały również inne kraje. Wszyscy widzą, że Rosja słabnie, Zachód chce wygrać tę wojnę, a z przegrywającymi nikt nie chce wiązać swego losu. 

Twierdza Kaliningrad



W Kaliningradzie jak w soczewce odbija się cała putinowska Rosja z jej fobiami i schizofrenią. Podupadający gospodarczo, silnie zmilitaryzowany region, który stanowi zagrożenie dla sąsiadów, uważa się za oblężoną przez wroga twierdzę i ofiarę cudzej napaści. Dopóki więc nic się nie zmieni w Moskwie, będziemy mieli z Kaliningradem poważny problem

Najbardziej wysunięta na zachód część Rosji, jaką jest obwód kaliningradzki, od chwili swojego powstania w 1945 r. pełniła niemal wyłącznie funkcje militarne. Według statystyk co trzeci mieszkaniec enklawy ma jakieś związki z armią: albo sam w niej służy, albo służy ktoś z jego rodziny. To właśnie tutaj znajdują się bazy Floty Bałtyckiej oraz podległych jej jednostek wojskowych: lotnictwa, artylerii, wojsk pancernych i zmotoryzowanych oraz piechoty morskiej.



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Po upadku III Rzeszy przyszłość Prus Wschodnich została w zasadzie rozstrzygnięta, wiadomo było, że zostaną podzielone, aby – jak wtedy mówiono – raz na zawsze skończyć ze źródłem pruskiego

militaryzmu zagrażającego Europie Środkowo-Wschodniej. Południowa część Prus trafiła więc do Polski, a północna do ZSRR, choć przynależność Królewca nie była początkowo jasna. Stalin chciał mieć jednak zapewniony dostęp do niezamarzającego portu nad Bałtykiem, co ostatecznie przesądziło o losach miasta. W 1946 r. władze sowieckie zamknęły symbolicznie niemiecką kartę w historii Królewca, nadając mu imię Michaiła Kalinina, zmarłego wówczas przewodniczącego sowieckiego parlamentu i zarazem

zbrodniarza współodpowiedzialnego za mord katyński.

Początkowo podobno rozważano w Moskwie włączenie miasta i obwodu w skład sowieckiej Litwy, ostatecznie jednak stworzono tu eksklawę rosyjską, co po upadku ZSRR w 1991 r. zaowocowało wspólną granicą polsko-rosyjską i stało się przyczyną obecnych problemów. Bo podobnie jak przez całe stulecia wcześniej, gdy istniały Prusy Wschodnie, obszar ten znów jest źródłem zagrożenia militarnego dla całego regionu.

NIEUDANY HONGKONG

W okresie sowieckim obwód kaliningradzki był zamkniętą twierdzą wojskową, z której próbowano zachować Bałtyk i gdzie znajdowały się wysunięte na zachód lotniska oraz bazy desantowe, z których stosunkowo szybko można było zaatakować NATO.

Na fali odwilży po upadku ZSRR pojawiła się zupełnie inna koncepcja, obwód miał stać się rodzajem pomostu łączącego Rosję z Zachodem, czymś w rodzaju – jak to wówczas określano – rosyjskiego Hongkongu. Region został otwarty dla cudzoziemców, wprowadzono wtedy mały ruch graniczny z Polską i Litwą, co zaowocowało gwałtownym rozwojem drobnego handlu. Próbowano też przyciągać zachodnie inwestycje, choć raczej z marnym skutkiem, jeśli nie liczyć dobrze rozwiniętego przemysłu motoryzacyjnego. Tutejsze montownie takich marek jak BMW, Hyundai czy Kia zapewniały do niedawna aż 40 proc. wpływów podatkowych obwodu. Inwestycje nie wpływały jednak znacząco na zamożność regionu, bo po pierwsze było ich zbyt mało, a po drugie te bardziej dochodowe szybko przeszły pod kontrolę kremlofskich oligarchów, takich jak szef koncernu zbrojeniowego Rostech Siergiej Czemiezow, którego firma przejęła kaliningradzki Kombinat Bursztynowy posiadający aż 90 proc. światowych złóż tego surowca. Również działające do wybuchu wojny na Ukrainie montownie samochodów, formalnie należące do firmy Avtotor miejscowego przedsiębiorcy Władimira Szczerbakowa, w rzeczywistości kontrolowane

były – jak się powszechnie podejrzewa – przez wpływowych ludzi z Moskwy.

Szansą dla obwodu miał być mundial 2018. Jedną z aren mistrzostw był kaliningradzki stadion, zbudowany kosztem 18 mld rubli. Jak się łatwo domyśleć, wokół tej inwestycji natychmiast pojawiło się wiele zarzutów korupcyjnych, za które m.in. trafił za kratki powiązany z Dmitriem Miedwiediewem wpływowy biznesmen z Dagestanu Zijawudin Magomedow. Jeśli więc pojawiały się tutaj czasem jakieś większe pieniądze, to zazwyczaj miejscowi nie mieli z nich żadnych korzyści.

W obwodzie kaliningradzkim rozlokowano pociski raketowe średniego zasięgu, które mogą stanowić zagrożenie nie tylko dla okolicznych państw, ale także dla bezpieczeństwa całej Europy

Mieszkańcy obwodu żyli więc głównie z przygranicznego handlu oraz ze stacjonującego tu wojska. W rezultacie – jak się oblicza – ogólny poziom życia nie był zbyt wysoki. Regionalny produkt brutto wynosił 80 proc. rosyjskiej średniej, niższe od średniej były także zarobki. Kaliningrad przez wiele lat był zaniedbany, nigdy nie odbudowano też pięknej niemieckiej portowej starówki, a w samym środku miasta, gdzie przed II wojną światową stały rzędy bogatych kamienic, straszyl ugór z nigdy nieukończonym betonowym gmachem Domu Sowietów.

Drugiego Hongkongu nie udało się zbudować. Zresztą priorytety szybko się na Kremlu zmieniały. Obwód kaliningradzki znów miał stać się wielką wysuniętą na zachód bazą wojskową, rodzajem twierdzy, z której można będzie ostrzeliwać rakietami okoliczne państwa.

BAZA WYPADOWA

Ostatnie miesiące przed wybuchem wojny na Ukrainie upłynęły w obwodzie

kaliningradzkim głównie na manewrach wojskowych oraz na konsekwentnym wzmacnianiu i modernizowaniu rozlokowanego tu uzbrojenia. Rozpoczęto m.in. formowanie nowej 18. Dywizji Zmotoryzowanej, w której skład wchodzi dwa pułki zmechanizowane i pułk pancerny. W związku z tym do obwodu przerzucono sporą liczbę czołgów, w większości znanych z wojny na Ukrainie zmodyfikowanych wersji T-72, a także jednostki artylerii raketowej oraz wiele innego wyspecjalizowanego uzbrojenia. Tutejsze lotnictwo Floty Bałtyckiej otrzymało

najnowsze wersje samolotów wielozadaniowych Su-30, a także myśliwce Su-35. Samoloty regularnie ćwiczyły ataki bombowe z małej wysokości oraz patrolowały Bałtyk, wykonując niekiedy agresywne manewry wokół okrętów i morskich obiektów państw NATO.

Miejscowe oddziały piechoty morskiej wzmocniono za to posiłkami ściągniętymi z Floty Północnej, a następnie ćwiczone w desantowaniu na wrogie wybrzeże i atakach na infrastrukturę przeciwnika. Zdaniem wielu ekspertów zarówno rodzaj uzbrojenia, jak i specyfika manewrów mogą wskazywać, że wojska stacjonujące w obwodzie były ćwiczone przede wszystkim w działaniach ofensywnych. Zrekonstruowane plany ćwiczeń zakładały m.in. uderzenie na Polskę, przede wszystkim na przesmyk suwalski, oraz od północnej strony na Litwę. To do pewnego stopnia nowość, wcześniej bowiem obwód traktowany był raczej jako twierdza, a nie jako baza wypadowa do ataku na sąsiadów. Inna rzecz, że rosyjska armia, tak jak podczas wojny na Ukrainie, nie ma w obwodzie wystarczającej liczby wykwalifikowanej kadry do prowadzenia skutecznych działań zaczepnych. W takiej sytuacji Rosjanie uciekają się zwykle do działań artyleryjskich i raketowych. Intensywny ostrzał z dystansu, który ma rozbić i sterroryzować przeciwnika, zanim zagrozi on własnym pozycjom, jest taktyką od dawna stosowaną przez rosyjską armię.

Z tego powodu w obwodzie kaliningradzkim rozlokowano w ostatnich latach pociski raketowe średniego zasięgu, które mogą stanowić poważne zagrożenie nie tylko dla okolicznych państw, ale

także dla bezpieczeństwa w całej Europie. Pociski 9M723 kompleksu Iskander-M rozmieszczone w 2018 r. m.in. w Czerniachowsku mogą razić cele w niemal całej Polsce i to nawet przy założeniu, że ich zasięg – według oficjalnych zapewnień Rosji – nie przekracza dozwolonych 500 km. Jednak zdaniem ekspertów zasięg tych pocisków jest większy i wynosi co najmniej 700 km.

Równie dużym zagrożeniem są rakiety balistyczne przystosowane do wystrzeliwania z wyrzutni kompleksu Iskander. Choć oficjalnie ich zasięg również wynosi 500 km, wszystko wskazuje na to, że ich możliwości są znacznie większe. Podobnie rzecz się ma z pociskami 9M729 (Iskander-K), które w 2019 r. stały się jedną z głównych przyczyn wycofania się Stanów Zjednoczonych z układu INF (traktat o całkowitej likwidacji pocisków raketowych pośredniego zasięgu z 1987 r.). Gdyby wystrzelić je z obwodu kaliningradzkiego, to zdolają one dotrzeć nad dowolne miasto w Niemczech, Francji, Włoszech czy Wielkiej Brytanii.

W przypadku Polski zagrożenie jest dwójakiego rodzaju. Cała Polska jest dziś w zasięgu pocisków 9M723 rozmieszczonych w obwodzie kaliningradzkim. Oznacza to nie tylko, że każde polskie miasto może stać się celem uderzenia, ale że zaatakowane mogą zostać również jednostki NATO na naszym terytorium – zarówno te, które byłyby rozmieszczone w stałych bazach, jak i te, które będą zmierzać z odsieczą na wypadek wybuchu konfliktu. Inaczej mówiąc, obwód kaliningradzki stanowi coś w rodzaju twierdzy artyleryjskiej, z której można ostrzeliwać zaplecze NATO. Granicząca z obwodem Polska jest potencjalnie narażona na najcięższe uderzenia. Można się domyślać, że Rosjanie przewidują przekształcenie naszego kraju w strefę śmierci, która ma oddzielać ich od pozostałych państw NATO i zniechęcać do podjęcia kontrofensywy.

PUNKT ZAPALNY

Nic więc dziwnego, że sytuacja w obwodzie kaliningradzkim jest przedmiotem szczególnego zainteresowania NATO. Wokół eksklawy niemal każdego dnia

krążą natowskie samoloty zwiadowcze prowadzące nasłuch elektroniczny, co wykorzystywane jest przez propagandę rosyjską straszącą mieszkańców obwodu rychłym atakiem ze strony Zachodu.

Na razie nie ma informacji o istotnym wzroście zagrożenia z drugiej strony granicy, ale jasne jest, że po niedawnym rozlokowaniu wojsk rosyjskich na Białorusi będą one chciały – w przypadku wybuchu konfliktu zbrojnego – przedrzeć się do obwodu kaliningradzkiego w okolicy Suwałk i odciąć tym samym państwa bałtyckie od Polski i reszty krajów NATO. Sam obwód jest też potencjalną bazą wypadową do ataku na nasz kraj. Z tego powodu staje się poważnym wyzwaniem dla bezpieczeństwa naszego regionu. Naturalną odpowiedzią na to wyzwanie musi stać się znaczące militarne wzmocnienie przesmyku suwalskiego oraz państw

Z powodu sankcji obwód jest w znacznym stopniu odcięty od reszty Rosji. Tranzyt przez Litwę został ograniczony, więc transport towarów odbywa się drogą morską na pokładzie promów

bałtyckich przez siły NATO. Ważne jest także uszczelnienie obrony przeciwlotniczej i przeciwraketowej oraz szersza obecność marynarki wojennej państw NATO na Bałtyku. Rosjanie w obwodzie kaliningradzkim powinni mieć nieustanną świadomość, że nie mogą sobie bezkarnie pozwolić na żaden agresywny ruch.

Oczywiście jest pytanie, czy na terenie obwodu kaliningradzkiego znajduje się broń jądrowa. Rosjanie oficjalnie zaprzeczają temu, jeśli jednak byłoby inaczej, niż mówią, należałoby zastanowić się poważnie nad postulatem rozlokowania w odpowiedzi takiej broni na wschodniej flance NATO.

Co ciekawe, mieszkańcy obwodu – podobnie zresztą jak większość Rosjan – są przekonani, że to oni są ofiarą agresywnych działań NATO, przy czym ich strach przed rzekomym atakiem ze strony Zachodu, podgrzewany jeszcze przez telewizyjną propagandę, zaczął ostatnio przeradzać się w panikę. Gubernator obwodu Anton Alichanow, uchodzący zresztą za wschodzącą gwiazdę kremlowskiej polityki, musiał uspokajać miejscową ludność, że w przypadku napaści Rosja odpowie asymetrycznie (czyli ze zwielokrotnioną siłą), zatem nie ma powodu do hysterii. Przekonywał też, że obwód jest samowystarczalny żywnościowo, bo władze przekażą mieszkańcom obwodu działki rolne pod uprawy na własne potrzeby, oraz że ma zapewnione bezpieczeństwo energetyczne dzięki pływającemu terminalowi gazu LNG.

Jednak niepokój całkiem nie zgasił. Z powodu sankcji eksklawa jest w znacznym stopniu odcięta od świata i reszty Rosji. Samoloty latają dookoła, nad Bałtykiem i Petersburgiem. Tranzyt przez terytorium Litwy został ograniczony, więc transport towarów odbywa się na pokładzie promów kursujących z Petersburga. Na razie obwód ma do dyspozycji trzy takie promy, wkrótce ma do nich dołączyć czwarty. Jest to jednak kropla w morzu potrzeb, tym bardziej że transport drogą morską jest drogi i czasochłonny. W rezultacie ceny w sklepach mocno skoczyły w górę, co dla i tak niezbyt dotąd zamożnej

ludności obwodu oznacza gwałtowne pogorszenie warunków życia. Większość nie łączy tego jednak z awanturniczą polityką Kremla i ponownym przekształceniem Kaliningradu w jedną wielką bazę wojskową, przeciwnie – to Zachód ma ponosić całą winę za blokadę obwodu.

W Kaliningradzie jak w soczewce odbija się cała putinowska Rosja z jej fobiami i schizofrenią. Podupadający gospodarczo, silnie zmilitaryzowany region, który stanowi zagrożenie dla sąsiadów, uważa się za obłożoną przez wroga twierdzę i ofiarę cudzej napaści. Dopóki więc nic się nie zmieni w Moskwie, będziemy mieli z Kaliningradem poważny problem.

Przez dwa miesiące od wybuchu wojny życie codzienne znowu zmieniło się na Ukrainie. Zachód odżył i udaje normalność, ale im dalej na wschód, tym bardziej odczuwa się bliskość wojennego piekła



Relacja z Ukrainy

Złapać oddech



**JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI**

Z każdą setką kilometrów na wschód ogromnej Ukrainy zmienia się krajobraz codziennej rzeczywistości. Od ulic kipiących życiem, przez nieśmiało otwieranie sklepów i kawiarni, po ponure osiedla obsadzone zbrojnymi posterunkami i przechodniami o skupionych i smutnych twarzach.

We Lwowie ludzie na Prospekcie Swobody jak w nadmorskim kurorcie: młodzież znów w modnych spodniach, ekstrawaganckich kolczykach, restauracje może nie wypełnione po brzegi, ale z muzyką na żywo i – po miesiącu zakazu – z alkoholem na sprzedaż.

Jednak nawet tutaj widać ślady wojny. Ledwie 2 km od polskiej granicy stoi posterunek obrony terytorialnej utworzony z betonowych bloków i opon przykrytych siatką maskującą. Ot, 15 minut temu zostało się żyjącą w pokoju i dobrobycie Polskę, by nagle znaleźć się w kraju bombardowanym przez Rosjan. Ale i te tłumy we Lwowie mają swoje uzasadnienie – wielu

ludzi to uchodźcy ze wschodu, którzy nie chcieli opuścić kraju. Teraz przybyła tu nowa fala – z Donbasu i Charkowa przyjechali Ukraińcy tym razem uderzeni skalą ostrzału rakietowego. – A będzie jeszcze gorzej, orkowie boją się sprawdzić w boju, więc robią to, co jeszcze umieją: wciskają przyciski na wyrzutniach – mówi tygodnikowi „Sieci” oficer Sił Zbrojnych Ukrainy. W mieszkaniach lwowian śpi trzy, cztery razy więcej ludzi niż zwykle. Dziennikarz radiowy Marian Radkowski częściej przebywa u znajomych niż w swojej stylowej kawalerce. Tam u niego, a to sześcioposobowa rodzina ściska się na noc w drodze do Polski, a to kilka osób chce ochłonąć po ucieczce z Charkowa.

Dziwnie teraz patrzy się na wojnę na Bałkanach sprzed ćwierćwiecza, wydawało się to takie odległe, specyficzne dla byłej Jugosławii, niemożliwe dla terenów w sąsiedztwie Polski.

OBJAZDY, TRANSPORTY, ROZMOWY

Trasa z Żytomierza do Kijowa byłaby spokojna, gdyby nie uderzający widok w połowie drogi. Pod Makarowem rozebrano uszkodzony wiadukt, a jego spalone kawałki rozrzucone są w promieniu 100 m. Na bok już odciągnięto żółty autobus i kilka samochodów, których kierowcy

i pasażerowie nie mieli szczęścia – pocisk „raszystów” zdmuchnął pojazdy jak zabawki. Infrastruktura nie przewidywała takiego zniszczenia, więc zorganizowano prowizoryczny objazd, korek na 2 km posuwa się metr po metrze po świeżo ubitej drodze gruntowej, wijącej się łukiem wokół tego odcinka drogi. Trzeba też skrócić na północ, by mostem pontonowym przejechać obok Irpienia. Tego, gdzie działy się dantejskie sceny podobne do tych w Buczy.

A i Kijów jest inny niż zachodnie miasta Ukrainy. Obwarowany gęsto posterunkami i patrolami pilnuje swoich obrzeży. Zmienił się jednak od początku wojny, gdy zamaryły ulice i opustoszały domy. Mer Kijowa Witalij Kliczko poinformował, że w mieście jest już 80 proc. mieszkańców sprzed pełnoskalowej inwazji.

Miasto odżywa wolniej niż Lwów – ponad połowa sklepów jest otwarta, bary wracają do pracy nieśmiało, bo i produkty nie są jeszcze w pełni dostępne. Zniesiono większość ulicznych posterunków, których w połowie marca było około tysiąca. A jednak gdyby zajrzeć za kiosk czy wiadukt, do przejścia podziemnego czy między drzewa w parku, łatwo można zobaczyć stopy gotowych worków z piaskiem, betonowe bloki i opony – coś jak składany posterunek, który będzie można z powrotem ustawić w ciągu godziny. Kijów od-



Fot. Jakub Augustyn Maciejewski

robił lekcję z 24 lutego, gdy dywersanci i desant chciały obezwładnić stolicę.

A jednak ten oddech w mieście nie jest zupełny. Sznurowanie wagonów jadą na wschód, na zachód, a w nich nie siedzą turyści czy cywile jadący na urlop.

Mieszkańcy żyją wojną, każdy ma członka rodziny czy przyjaciela gdzieś w szeregach mundurowych. Sami kijowianie po pracy, bo wiele zakładów też już się pootwierało, przebiegają się w strój roboczy i idą oddawać wojenny wolontariat: pomoc humanitarna, przeladunki, patrole, szpitale. Wracają świeże wspomnienia. Ledwie obroniony Czernihów powstrzymał natarcie na Kijów i ta świadomość, że śmierć i zniszczenia masowo pokrywające miasto na północy mogły spotkać stolicę. Nie wszyscy też wrócili do Buczy czy Irpienia.

Przyjaciół opowiadał drżącym głosem o tych, którzy przeżyli rosyjską okupację. Teraz siedzą całymi dniami nieruchomo, patrzą w sufit, w ścianę, nie chcą żyć, nie mają energii, by wyjść na spacer czy do sklepu. Może lepiej, że milczą? Gdy czasem opowiadają o leżących na ulicach ciałach, których Rosjanie nie pozwolili pochować, gdy między blokami pojawiały się lisy, objadające twarze umarłych – wszyscy płaczą. Wojna zostaje w ludziach nawet wtedy, gdy wróg już się oddalił.

W STRONĘ DONBASU

Dalej już każde kolejne miasteczko ma dodatkowe znamię wojennego napięcia. A to wjazd pilnuje tuzin uzbrojonych mężczyzn, a to ciężki sprzęt widać na ulicach, a to miejscami jakś mniej zaludnione. W obwodzie dniepropietrowskim nawet po twarzach widać inny świat – nie ma

pogawędek przed sklepami, spacerów dla przyjemności, mężczyźni często z bronią. W wiadomościach w telefonie informacje o wybuchach na południu. Dalej, w miejscowości Dniepr, wybuchy słychać często. Trochę to ukraińska artyleria, trochę rosyjska, miejscowi potrafią już rozróżniać rodzaje pocisków po samym odgłosie. To już raczej złudzenie, a może popołudniowa pora, czy przez te chmury, które zaszyły na niebie, ale przechodnie zdają się ciemniej ubrani, bardziej się spieszą, mniej jest też dzieci, które matki pewnie dawno zabrały na Zachód.

Kijów odżywa wolniej niż Lwów – ponad połowa sklepów jest otwarta, bary wracają do pracy nieśmiało, bo i produktów jeszcze nie ma w pełnym wymiarze. Zniesiono większość ulicznych posterunków, których w połowie marca było około tysiąca

Trzy karetki, jedna po drugiej, jadą ze wschodu w stronę szpitala – bez sygnałów, żeby nie oświadczać wszem wobec, że jednak kolejnych rannych przywożą z frontu.

Rosjanie nie przesuwają frontu za szybko, ale ukraińscy oficerowie mówią, że najgorsze dopiero nastąpi. – Walą pociskami cały czas, tam jest naprawdę piekło. Idea jest taka, że zrównują wioskę do spalonej ziemi i wchodzi, potem następną i wchodzi – tłumaczy. Idzie to powoli, jest też kosztowne, przy coraz bardziej niewydolnej produkcji militarnej w Rosji, ale świat już zobaczył, że Moskwa nie liczy strat ani w sprzęcie, ani w ludziach. Przypomina się mądrość sta-

rego Kozaka z Zaporozża, który młodemu Józefowi Łobodowskiemu, późniejszemu pisarzowi, miał powiedzieć: „Ale cóż tam w Rosji – narodu więcej niż karaluchów, jedno ukropem wyparzysz, inne leżą. Carskim generałem wszystko jedno: dwa pulki zniszczą, cztery nowe na ich miejsce przychodzą”. Słowa te padły w pierwszych latach rządów bolszewików, choć stary wojak odniósł się do wcześniejszej epoki, ale i współczesność nam pasuje do refleksji ze starej Kozaczyzny.

PO CO ROSJANOM SPALONA ZIEMIA?

Wielu ludzi nie posłuchało wezwań gubernatorów obwodowych, by opuścić Donbas. „Od losu nie uciekniesz” – mówi tu starsi, smutni ludzie. Z takich mieszkańców nie będzie dla Rosjan pożytku. A z takiej ziemi? Domy bez dachów, ze ścianami postrzępionymi jak połamane grzebienie, gospodarstwa z jamami w ogródkach, zniszczone warsztaty, maszyny, samochody. Ale złu wystarczy takie królestwo – pustka i zniszczenie wyglądają na mapie w telewizorze tak samo jak kwitnące tereny. Jednak i tego prezydent Putin raczej nie podaruje swoim orkom na defiladę 9 maja. Mimo pożogi Ukraińcy trwają i nawet za bardzo nie załamują rąk. Rosjanie odsłaniają swoje słabe punkty, wywiad donosi o niesnaskach i strachu wśród federalistów, rakietami można zdobyć tę czy tamtą wioskę, ale nie da się jej obronić. Dowództwo ukraińskie jest optymistycznie spokojne.

WITAMY W ROKU 2022

Myślał ktoś z czytelników, że dożyje bitwy nieomal pancерnej w sąsiednim kraju? Zgadnął ktoś, że gwałty i morderstwa Rosjan będą takie same jak w roku 1944, 1939 albo 1917? Wyobrażał sobie ktoś, że setki tysięcy mężczyzn chwycą tutaj za broń, choćby za stare karabiny, i będą stawiać za barykadą z worków z piaskiem, by ostrzeliwać się przed kolumną rosyjskich czołgów?

Witamy w roku 2022, w epoce w niczym nie lepszej od każdych innych czasów.



„W Ukrainie” czy „na Ukrainie”? Mów, jak czujesz

Konstrukcje jechać „na Ukrainę” oraz być „na Ukrainie” są stosunkowo świeże, rozszerzyły zakres swojego występowania w drugiej połowie XIX w. Do końca XVIII w. częściej mówiliśmy „w Ukrainie”, „w Litwie”, a nawet „w Węgrzech”. Jednak zwyczaj językowy nie jest absolutny i się zmienia

Z dr. hab. Henrykiem Dudą, profesorem Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, polonistą i slawistą, historykiem języka polskiego, znawcą polsko-ukraińskich kontaktów językowych, rozmawia Dorota Łosiewicz

Które wyrażenie jest poprawne: „w Ukrainie” czy „na Ukrainie”?

Henryk Duda: To pytanie zakłada, że jedno z tych wyrażen jest poprawne, a drugie nie. Tymczasem polszczyzna jest bogata i dopuszcza różne formy czy wyrażenia wariantywne, a wyboru dokonuje użytkownik języka. Z punktu widzenia gramatyki mamy dwa schematy składniowe: „być w Ukrainie”, „jechać na Ukrainę”. Obasą poprawne. Możemy użyć albo przyimka „w”, albo przyimka „na”. Przyjęło się, że w przypadku Ukrainy, Słowacji i jeszcze kilku innych krajów częściej używamy przyimka „na”. Ale to kwestia wyboru.

Skoro żadna z tych form nie jest błędna, czy możemy używać tej, która zwyczajnie bardziej się nam podoba?

Jestem zwolennikiem wolności językowej i zasady, że priorytet powinny mieć formy preferowane przez mówiących danym językiem. W takim przypadku mówimy o kryterium uzualnym poprawności językowej – to jest dobre, co jest w powszechnym użyciu. Stosuję to kryterium w wersji nieco zmodyfikowanej: *usus modernus excultus*. W praktyce chodzi o współczesny zwyczaj mówienia ludzi wykształconych. Zwyczaj potrzebuje czasu, by się ukształtował. W sprawie użycia przyimków „w” oraz „na” dyskusja trwa już od przynajmniej stulecia, głos zabrało wiele autorytetów, ale kwestię rozstrzygnął swoim tekstem „Przyimki »na«, »w« oraz »do« przed nazwami państw, krajów i krain. Historia i współczesne wahania normatywne” prof. Marek Łaziński z Uniwersytetu Warszawskiego. Pan profesor zwrócił uwagę na cztery czynniki, które decydują o wyborze przyimka. Pierwszy to położenie kraju: wyspiarskie, historycznie peryferyjne wobec Polski lub dzielnicowa w ramach jednego organizmu państwowego faworyzuje przyimek „na”. Drugi to status polityczny: odrębność nowych państw bywa – nie tylko w pol-

szczyźnie – podkreślana przez częstsze użycie przyimka „w”. Trzeci czynnik to tradycja odzwierciedlona w tekstach kultury, a czwarty to tendencje ogólnosłowiańskie oraz łączliwość „w” i „na” w językach tych państw, których problem łączliwości przyimków w polszczyźnie dotyczy. Zdaniem prof. Łazińskiego „jechać na Ukrainę” jest zgodne ze zwyczajem, a być „w Ukrainie” to odpowiedź na zmieniające się realia społeczne. Problemu – moim zdaniem – nie ma tak długo, jak długo mówiący mają prawo decydowania.

Podobno jeden z portali narzucił redaktorom formy „jechać do Ukrainy”, „być w Ukrainie”. Gdyby tak było, tobym protestował, dlatego że w tej sytuacji nie mielibyśmy do czynienia ze zwyczajem ludzi wykształconych, którzy dbają o piękno języka, tylko raczej z fanaberią decydenta

Mówi pan o wolności decydowania, a ja mam wrażenie, że od wybuchu wojny i agresji Rosji na Ukrainę narzucana jest jednak forma „w Ukrainie”. Jako ta podkreślająca niezależność tego państwa.

Słyszałem, że tak jest, że niektóre redakcje narzucają konkretną formę. Podobno jeden z dużych portali narzucił redaktorom formy „jechać do Ukrainy”, „być w Ukrainie”. Gdyby tak było, wówczas bym protestował, dlatego że w tej sytuacji nie mielibyśmy do czynienia ze zwyczajem ludzi wykształconych, którzy dbają o piękno języka, tylko raczej z fanaberią decydenta, który zarządza redakcją.

Zdarzały się sytuacje, że nauczyciele poprawiali uczniów, by nie używali formy „na Ukrainę”, to bowiem przejaw polskiego imperializmu.

Jeżeli wyboru przyimka dokonuje się pod wpływem emocji mówiącego, to jest on naturalny, każdy może zdecydować, jakiego przyimka chce użyć. Jeżeli nawet nauczyciel, pod wpływem emocji i własnej refleksji, nie nadużywając swojej urzędowej przewagi, ale pod wpływem własnych odczuć poprawi ucznia, także nie widzę problemu. W moim odczuciu problem zaczyna się wtedy, gdy ktoś, np. redaktor naczelny czy po prostu redaktor, wykorzystuje służbową przewagę i narzuca pewien sposób mówienia. Wtedy nie możemy mówić o naturalnym działaniu procesów i tendencji językowych. Spontaniczna reakcja ludzi jest jak najbardziej naturalna i akceptowalna, przymus użycia jakiejś formy – nie. Władzę nad językiem powinni mieć mówiący. Tej kwestii językowej w ogóle byśmy nie zauważyli, gdyby nie wybuch wojny. Dyskusja na temat toczy się od lat, lecz nie brała w niej udziału szersza publiczność. Gdy emocje związane z wojną opadną, wówczas się okaże, czy nowy zwyczaj się ukształtował, czy nie. Konstrukcje jechać „na Ukrainę” oraz być „na Ukrainie” są stosunkowo świeże, rozszerzyły zakres swojego występowania w drugiej połowie XIX w. Wówczas zostały zadekretowane, upowszechnione przez wydawnictwa normatywne. Do końca XVIII w. częściej mówiliśmy „w Ukrainie”, „w Litwie”, a nawet „w Węgrzech”. Jednak zwyczaj językowy nie jest absolutny i się zmienia. Często z dnia na dzień i tego nie zauważamy. Dopiero w takich momentach dziejowych, przełomowych jak wojna zaczynamy zwracać na to uwagę.

A co z emocjami tych, o których mówimy, w tym przypadku Ukraińców? Spotkałam się z opiniami, że dla nich ważna jest forma „w Ukrainie” właśnie

ze względu na podkreślenie niezależności kraju.

We wspomnianym artykule prof. Łaziński pisał o społecznej interpretacji systemu gramatycznego. Mamy dwie paralelne konstrukcje gramatyczne. Z punktu widzenia językowego one są równorzędne, z tym że jedna jest skonwencjonalizowana i utrwalona, a druga nie. Obecnie ta właśnie społeczna interpretacja wskazuje nam, że wyrażenia „na Ukrainę”, „na Ukrainie”, to przejaw wyższości, megalomanii. To interpretacja po polskiej stronie. Po stronie ukraińskiej także mamy do czynienia ze społeczną interpretacją konstrukcji gramatycznych. Były ambasador Ukrainy w Polsce Dmytro Pawlyczko napisał kiedyś artykuł i mówił o tym, że Juliusz Słowacki, który używał wyrażenia „w Ukrainie”, uznał jej niezależność. Moim zdaniem to lekka nadinterpretacja systemu gramatycznego. I teraz wśród Polaków pojawia się takie poczucie, że zmiana formy to rodzaj zamachu na naszą niezależność językową, a po stronie ukraińskiej mogą się pojawić interpretacje związane z zamachem na państwowość ukraińską. Powtórzę jeszcze raz: pozwólcmy dokonać wyboru mówiącym. Struktury gramatyczne konwencjonalizują się i żyją dłużej niż rzeczywistość, do której się odnoszą. Przykładem takiej sytuacji jest wyraz bielizna. Nikogo dziś nie dziwi zestawienie kolorowa bielizna, choć przecież bielizna nie powinna być kolorowa, bo wyraz wywodzi się od przymiotnika biały. W „Panu Tadeuszu”, gdy tytułowy bohater widzi Zosię po raz pierwszy, czytamy „dziewczyna w bieleżną ubrana”. Chodzi oczywiście o kolor stroju, biel sukienki, a nie o te części garderoby, które kobiety noszą pod ubraniem. Wyraz zmienił znaczenie wbrew swojej genezie. Podobnie idąc do piwnicy, nie myślimy, że schodzimy do magazynu na piwo. Mówimy dziś „jadę na Ukrainę” i nie zastanawiamy się nad tym, czy to państwo, czy kraina geograficzna. Dopiero gdy zaczynamy myśleć, mogą się pojawić wątpliwości.

Skoro to mówiący podejmuje decyzję, może w takim razie wyjść

naprzeciw oczekiwaniom tego, do kogo mówimy i spełnić jego oczekiwania?

Jako wolny człowiek mam prawo wyboru języka i sposobu korzystania z niego, wyboru środków językowych. Jednak w komunikacji językowej liczy się nie tylko nadawca, lecz także odbiorca. Jeśli zgadzam się, że mój roz-

**Sam częściej używam wyrażen „na Ukrainie”, „na Ukrainie”.
Możliwe, że starsze pokolenie pozostanie przy dawniejszej normie, a młodsze będzie używało formy „w Ukrainie” oraz „do Ukrainy”**

mówca ma takie samo prawo wyboru, to świetnie. Ale z prawa wyboru kodu językowego i kulturowego, którym ja się posługuję, nie wynika obowiązek słuchania mnie, akceptacji wybranych przeze mnie środków językowych. Jeśli użyję form niestosownych, to wywołam reakcję. Musimy więc wybrać taki sposób mówienia, który nas satysfakcjonuje, a jednocześnie nie narzuca rozmówcy konieczności dostosowania się do nas. W każdej sytuacji komunikacyjnej i na nadawcy, i na odbiorcy ciąży obowiązek doboru takich środków, by nie urazić drugiej osoby, nie dyskryminować jej etc. Potrzebny też jest kompromis, bo czasem nie ma prostych rozwiązań. Czasem możemy się dostosować do drugiej strony. Byłbym jednak zgorznięty, gdyby ktoś się na mnie obraził za użycie formy „na Ukrainie”, „na Ukrainę”, bo jego zdaniem narusza ona integralność Ukrainy. Jeśli moją intencją nie jest urażenie kogoś, ale użyta forma wynika z wieku (przynależności pokoleniowej) i przyzwyczajenia, to nie powinno być problemu i nikt mnie nie powinien za to atakować. Zwłaszcza jeśli obie formy są w polszczyźnie normą.

Czy przyimek „na” może obrażać?

Żaden wyraz nikogo nie obraża. Obrażać mogą ludzie, którzy posługują się wyrazem. Język jest narzędziem, środkiem komunikacji. Świadoma komunikacja polega na wyborze form adekwatnych do sytuacji komunikacyjnych. Struktury nie obrażają. Ale jeżeli jakaś struktura jest powtarzana w konkretnych kontekstach, wówczas się konwencjonalizuje. Jeśli kontekst jest negatywny, wówczas dana struktura zaczyna nabierać zabarwienia bądź znaczenia negatywnego. Należy więc tak budować wypowiedź, by intencja była czytelna. Struktury „na Ukrainie”, „na Ukrainę” nie mają negatywnego nacechowania. Możemy jednak zapytać, czy nie warto byłoby wyjść naprzeciw ukraińskim słuchaczom. Bez żadnego przymusu. Pamiętam, że gdy studiowałem, gdzieś w latach 80. XX w., w „Tygodniku Powszechnym” prof. Marek Rostworowski bronił struktury „na Ukrainie”, „na Białorusi”, bo wcześniej Artur Sandauer wystąpił z publikacją, że ta struktura to szowinizm i przejaw megalomanii. Ta dyskusja toczy się więc od lat. My tu mówimy o trzech aspektach z czterech wymienionych przez prof. Łazińskiego, czyli o położeniu i statusie politycznym oraz tradycji, która odzwierciedla się w tekstach. Ale mamy jeszcze szerszy, słowiański kontekst. W wierszu Tarasa Szewczenki „Testament” w dosłownym tłumaczeniu padają słowa: „Jak umrę, to pochowajcie / mnie na mogile / pośród stepu szerokiego / na Ukrainie milej”. W języku ukraińskim też bowiem pojawia się problem wyboru przyimka i też struktura języka ulegała zmianom. W XIX w., chyba pod presją języka rosyjskiego, popularność zyskiwał przyimek „na”. Problemem nie jest gramatyka, tylko jej społeczna interpretacja i gotowość do ewentualnej zmiany. Tocząca się dyskusja pokazuje, że w Polsce nie jesteśmy do końca gotowi na porzucenie wyrażen „na Ukrainę”, „na Ukrainie”. Ja nie uważam, że jeśli zmieni się sposób mówienia, to zmieni się nastawienie do Ukrainy i Ukraińców. Chcę, by relacje polsko-ukraińskie dobrze się rozwijały, dość często bywam na Ukrainie (!), mówię – jak sądzę – po ukraińsku nie naj-

gorzej, uważam, że mamy historyczną szansę, by odrzucić stereotypy z przeszłości. Na pewno gramatyka nie jest przeszkodą na tej drodze. Jeśli zwyczaj językowy zmieni się spontanicznie, nie będę protestował, sam natomiast częściej używam wyrażenia „na Ukrainie”, „na Ukrainę”. Możliwe, że starsze pokolenie pozostanie przy dawniejszej normie, a młodsze będzie używało formy „w Ukrainie” oraz „do Ukrainy”.

Czy jeśli zmieni się sposób mówienia o Ukrainie, to czy ulegną też zmianie inne struktury, np. „na Węgrzech”, „na Słowacji”, „na Litwie”?

Nie sądzę. Dyskusja nie dotyczy ani Węgier, ani Słowacji. Jeśli chodzi o język słowacki, to on jest dość podobny do polskiego, podobna jest też jego struktura. Z Ukraińcami łączy nas przeszłość i dużo emocji. Jeśli zaś chodzi o Węgry, to język węgierski jest tak różny od polskiego, że my, słuchając mówiących po węgiersku, nie możemy stwierdzić, jakich struktur używają Węgrzy, gdy mówią o Polsce. I odwrotnie. Z tego powodu nie wzbudza to emocji. Jest taka tendencja w języku, by upraszczać system i używać w podobnych kontekstach takich samych struktur, ale zmiany są długofalowe. Zmiana mówienia o Ukrainie nie musi pociągnąć zmiany sposobu mówienia o innych krajach.

A jak to jest z ruskimi pierogami? Wszędzie zmienia się nazwę na pierogi ukraińskie. Tylko czy to nie wynika z błędnego rozumienia etymologii słowa ruskie?

Powodem niechęci do wspomnianych pierogów jest przymiotnik ruski, który wywodzi się od nazwy własnej Ruś. W znaczeniu strukturalnym ruski to „odnoszący się do Rusi”, a więc do Rusi Kijowskiej, na której wyrosła współczesna Ukraina, Rusi Moskiewskiej, której spadkobiercą jest Rosja, Rusi Białej etc. Inaczej – ruski to nie rosyjski. Przymiotnik rosyjski natomiast wywodzi się od dawniejszej nazwy Rosji w języku polskim – Rosja. Ruski to nie rosyjski, a pierogi ruskie to nie są pierogi rosyjskie, lecz raczej pierogi ukraińskie, bo stamtąd, jak się przypuszcza, tę po-

trawę zapożyczyliśmy. Pamiętajmy o tej ukraińskiej genezie ruskich pierogów, lecz nie walczmy z nazwą, gdyż jest ona częścią naszego niematerialnego dziedzictwa historycznego. Jednak należy unikać – nawet w odmianie potocznej języka polskiego – używania przymiotnika ruski w znaczeniu „rosyjski”, „sowiecki”. Pierogi ruskie, lecz język rosyjski obok ukraińskiego i białoruskiego; kultura rosyjska, nie ruska etc. Nie wrzucamy wszystkich Słowian Wschodnich do jednego worka. Najczęściej słowo „ruski” budzi pejoratywne skojarzenia. Jeśli wyrzucimy „ruskie pierogi”, to zabijemy też „moskalika”, czyli śledzia w occie, który w przeszłości nosił także nazwę „sardynka rosyjska”.

Ruski to nie rosyjski,
a pierogi ruskie to nie są
pierogi rosyjskie, lecz raczej
ukraińskie, bo stamtąd, jak
się przypuszcza, tę potrawę
zapożyczyliśmy. Nie walczmy
z tą nazwą, gdyż jest ona częścią
naszego niematerialnego
dziedzictwa historycznego

Wspomniał pan, że w rozmowie z daną osobą warto brać pod uwagę jej wolę. Czy to znaczy, że jeśli rozmawiam z osobą niebinarną i ona życzy sobie używania wobec niej zaimków neutralnych płciowo, to powinnam to robić ze względu na wyrażoną wolę rozmówcy?

Zasada audiatu et altera pars musi mieć pewne granice. W wypadku, o którym pani mówi, to nie jest tylko kwestia zaimków. W języku polskim całe zdania są nacechowane rodzajowo, rzeczowniki mają rodzaj. Stół np. jest rodzaju męskiego, tablica żeńskiego, a krzesło nijakiego. Nie ma rzeczowników niebinarnych. Mamy tu dwa wielkie nierozwiązywalne problemy. Pierw-

szy to pochodzenie form rodzajowych w języku polskim, językach słowiańskich i indoeuropejskich. Nie znamy genezy form rodzajowych, nie wiemy także, dlaczego doszło do ich seksualizacji. Druga sprawa to wspomniana społeczna interpretacja systemu. Osoby uważające się za niebinarne dokonują interpretacji polskiej gramatyki, podkreślając brak miejsca dla siebie. Moim zdaniem to zła interpretacja. Nie ma języków neutralnych. Zmiana sposobu mówienia nie zmieni myślenia i postrzegania osób niebinarnych. Rzecz nie jest w języku i w konstrukcjach językowych, które utrwalają się długo. Sama konwencja językowa na ogół trwa dłużej niż rzeczywistość społeczna. Dlatego nie można

z dnia na dzień dokonywać rewolucji, bo mogłoby się okazać, że trzeba język stworzyć od nowa, by spełnić oczekiwania kolejnych osób i grup domagających się zmian. A poglądy na relacje płciowe w obrębie społeczności nie są ostateczne, mogą się zmienić, historia się nie skończyła. I znów będziemy wówczas reformować język? Zwyczaj językowy da sobie z tym radę. Istnieje wiele sposobów, by rozmawiać z osobami, które nie widzą dla siebie miejsca w binarnym systemie rozróżniania płci, tak by nikogo nie urazić, nie tworząc jednocześnie nowego języka. Spójrzmy na zdanie: „On kupił samochód”. Zaimek „on” wskazuje na mężczyznę. Na płęć wskazuje także forma czasownika. Jeśli zmienimy to zdanie na płciowo neutralne,

to powinniśmy powiedzieć: „Ono kupiło samochód”. Ale nadal rzeczownik „samochód” jest rodzaju męskiego. Powinniśmy więc zgłosić postulat, by zamienić męski „samochód” na neutralne (niebinarne) „auto” itd. Takie trendy przenoszą się do polszczyzny z języka angielskiego, gdzie rodzaj gramatyczny jest szczątkowy i Nieliczne nacechowane rodzajowo konstrukcje łatwiej usunąć. W języku polskim byłoby to o wiele trudniejsze. Inżynieria językowa na poziomie ingerowania w strukturę języka nie jest czymś, co uważam za dobry pomysł. Nie nam wyznaczać kierunku rozwoju języka. Dbanie o jakość dyskursu jest słusznym postulatem, ale można to robić bez zmiany struktur.

Te ataki nas nie złamią



Nikomu nie można pozwalać na łamanie elementarnych praw podmiotowych, podstawowych praw człowieka. Nie można przechodzić do porządku dziennego nad zabójstwami przeciwników politycznych, nad likwidacją wolności słowa, nad działaniami agresywnymi w stosunku do sąsiadów. A Rosja wszystko to czyniła już od wielu lat

Fot. Andrzej Wiktor

Jacek Karnowski
rozmawia
z Julią Przylebską,
prezes Trybunału
Konstytucyjnego

Pani prezes, rozmawiamy po ponad dwóch miesiącach od rosyjskiej agresji na Ukrainę. To wydarzenie, które zmieniło bardzo wiele w naszym kraju, wpłynęło na nas wszystkich w sposób być może głębszy, niż dziś sądzimy. Czy dla pani 24 lutego 2022 r. też jest ważną cezurą?

Julia Przylebska: Niezależnie od tego, jaką funkcję pełni, czym się zajmujemy, codziennie myślimy o wojnie, o sprawach z nią związanych. Każdy z nas, także ja, przeżywa to bardzo mocno. Szczególnie wstrząsające są doniesienia o zachowaniu rosyjskiego agresora wobec ludności cywilnej. Wiemy o zbrodniach, które w mojej ocenie można w sposób uzasadniony określić jako ludobójstwo. Płyną z tego szersze wnioski.

Jakie?

Nikomu nie można pozwalać na łamanie elementarnych praw podmiotowych, podstawowych praw człowieka. Nie można przechodzić do porządku dziennego nad zabójstwami przeciwników politycznych, nad likwidacją wolności słowa, nad działaniami agresywnymi w stosunku do sąsiadów. A Rosja wszystko to czyniła już od wielu lat. Bardzo bezwzględnie, cynicznie i niestety również skutecznie.

Zło, które dziś widzimy na Ukrainie, zaczęło się znacznie wcześniej?

Oczywiście. Rosja ma dziś formalnie wszystkie instytucje demokratyczne, ale są one w istocie fasadowe. W centrum współczesnego świata musi stać człowiek. Nie można pozwalać takim państwom jak Rosja na deptanie ludzkiej godności. Zachód powinien był reagować znacznie wcześniej, do czego zresztą Polska od dawna nawoływała.

Wojna to także już ponad 3 mln uchodźców, którzy przekroczyli pol-

ską granicę. Polacy przyjęli ich bardzo serdecznie, wielu z nas podzieliło się z nimi swoimi domami, w pomoc zaangażowały się miliony ludzi. Świat jest w szoku, bo miał o nas inne wyobrażenie. Czy dla pani to też było zaskoczenie?

W żadnym wypadku. W moich oczach Polacy zawsze byli właśnie tacy: empatyczni, solidarni, wrażliwi na krzywdę innych. Ale też umiejący rozróżnić prawdziwych uchodźców od tych, którzy nimi nie są, od młodych mężczyzn, którzy zostawili swoje rodziny. Teraz przyjeżdżają przede wszystkim matki z dziećmi oraz starsi ludzie. A młodzi Ukraińcy masowo wracają do swojej ojczyzny, by walczyć z najeźdźcą.

Wiemy, że wiele budów w Polsce opustoszało, bo pracownicy z Ukrainy wrócili do siebie i włożyli mundury.

Tak. Ta straszna wojna pokazała też, z jaką determinacją ukraińskie społeczeństwo broni swojej suwerenności.

Pani dobrze zna Niemcy i Niemców, choćby z racji pracy w dyplomacji pani męża, prof. Andrzeja Przylebskiego. Czy zgadza się pani z opinią, że „mocarstwo moralne”, jak nazywano naszego sąsiada, okazało się „moralnym karłem”?

Zachowanie władz niemieckich mnie nie zaskoczyło. Pamiętamy wiele wypowiedzi naznaczonych niemiecką butą. W mojej dziedzinie wypowiadał się w taki sposób choćby prezes niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego Andreas Voßkuhle, który snuł opowieść o Niemcach, jako doskonałych demokratów ludziach politycznych i moralnie dojrzałych, którzy mają prawo pouczać innych, zwłaszcza Polaków.

Wiem, jak protekcjonalnie traktowano Polaków, także Polonię w Niemczech. Naszczęście zobaczyliśmy ostatnio, że jest w Niemczech wielu ludzi, wiele środowisk, które potrafią dobrze rozeznaczyć sytuację. Widać procesy, które mogą doprowadzić do otrzeźwienia, do zmiany polityki. Pojawiła się oddolna presja, przeciwna kontynuowaniu polityki prorosyjskiej, przeciwna kunktatorstwu i strategii kalkulowania nawet w obliczu zbrodniczej agresji.

W takich sytuacjach trzeba umieć wznieść się ponad rachunki strat i zysków, trzeba umieć stanąć po stronie dobra, po stronie człowieka. Kto tego nie umie, nie zdaje bardzo ważnego egzaminu.

Czy kompromitacja Berlina, którą obserwujemy, skończy wieczne pouczenie Polski w każdej sprawie, także w sferze naszego systemu prawnego?

Nie powinniśmy przesadzać z optymizmem. Sporo winy leży niestety również po naszej stronie. Dopóki polskie środowisko naukowe nie uwierzy, że jest równoprawnym partnerem w dziedzinie prawa, filozofii, politologii, nauk społecznych, dopóty to się nie zmieni. Środowiska naukowe, intelektualne, muszą nabrać pewności siebie. Nie jesteśmy jakimiś pariasami Europy, ale ważnym narodem, który ma swoją tożsamość konstytucyjną, prawną, dziedzictwo kulturowe, który przetrwał bardzo ciężkie próby, który zawsze, jak powiedział śp. marszałek senior Kornel Morawiecki, niósł Polskę „jak żagiew, jak płomienie”. To my jako naród musimy nabrać pewności siebie, musimy uwierzyć w siebie. To jest klucz do wszystkiego. I musimy dbać o nasze państwo. Słusznie jesteśmy dumni z reakcji społeczeństwa na kryzys uchodźczy, ale trzeba zaznaczyć, że w tle są też ramy tych działań, które skutecznie stworzyło nasze państwo.

Ale ten proces nabierania pewności siebie mimo wszystko postępuje. Jeżeli porównamy obecny czas z latami 90. ub.w. czy z pierwszymi latami tego wieku, widzimy, że np. polajanki z Zachodu przestały wywoływać drżenie rąk u większości społeczeństwa.

Idziemy w dobrą stronę, ale wciąż nie brakuje mikromanii, a nawet działań idących dalej. Ci Polacy, którzy atakują, poniżają, deprecjonują Polskę czy też demokratycznie wybrany rząd, tak naprawdę działają przeciwko sobie, przeciwko własnemu narodowi. Niestety, jest to nurt obecny w naszych dziejach już od XVIII czy nawet XVII w. Bardzo szkodził i wciąż szkodzi Polsce.

Putinowska Rosja napadła na Ukrainę, dopuszcza się strasznych zbrodni, morduje, gwałci, niszczy całe miasta. Tymczasem w Polsce słyszeliśmy, i nie słęty wciąż słyszymy, że tak naprawdę obecne polskie władze to też rodzaj „putinizmu”, że to w istocie „reżim”, podobny w swej naturze do tego rosyjskiego. Jak można odpowiedzieć tym, którzy głoszą takie tezy?

Tak może myśleć tylko człowiek, który wytworzył sobie alternatywną rzeczywistość, który żyje w jakiejś bańce, który nie rozumie rzeczywistości. Państwo polskie jest prawdziwą, żywą, może najżywszą w Europie demokracją, jest państwem prawa z niezwykle szerokimi prawami jednostki, jest państwem wyjątkowo mało represyjnym w stosunku do obywateli. Zarzuty, które pan przywołał, to są chore fantazje, to albo dramatyczny brak zdolności oceny tego, co wokół nas, albo celowa manipulacja. Te zakłamane tezy będą niestety wracały, bo po tym, gdy Polska zyskała tak dobrą opinię na świecie, wiele środowisk będzie chciało ją zohydzić, i w kraju, i za granicą. A co do Rosji: słusznie mówimy, że to reżim, ale trzeba dodać, że mający jednak poparcie wielu Rosjan. Widzimy wyraźną zgodę części rosyjskiego społeczeństwa na tę agresję.

Wiemy, że ofensywa sądów konstytucyjnych Europy Środkowo-Wschodniej, w tym polskiego TK, sprawiła, że Rosja musiała wycofać się z Konferencji Europejskich Sądów Konstytucyjnych, zawiesić swoje uczestnictwo. Dlaczego nie doszło jednak do wyrzucenia Rosji z tej instytucji?

O wyrzuceniu Rosji z gremiów prawniczych od wielu lat apelował były już prezes litewskiego trybunału Dainius Žalimas, wskazując na liczne naruszenia praw człowieka w tym kraju i na naruszanie prawa międzynarodowego. Wspieraliśmy jego działania. Prezesi innych trybunałów nie byli jednak w stanie podjąć jednoznacznej decyzji o usunięciu Rosji z tego gremium.

Stwierdziła pani wcześniej, że to, co robi Rosja, to ludobójstwo. Czy Rosję można osądzić za te zbrodnie w ramach tych instytucji, które już

działają, czy też należy powołać jakiś nowy trybunał międzynarodowy?

Prawo międzynarodowe jest dynamiczne; jeżeli okazałoby się, że instytucje dotychczas funkcjonujące nie byłyby skuteczne, można powołać nowe ciało. Trzeba być na to otwartym. Prawna ocena tego, co robi Rosja, jest dużym wyzwaniem, przed którym stoi świat prawniczy. Na razie, również

Państwo polskie jest prawdziwą, żywą, może najżywszą w Europie demokracją, jest państwem prawa z niezwykle szerokimi prawami jednostki, jest państwem wyjątkowo mało represyjnym w stosunku do obywateli

w Polsce, nie dostrzegam poważnej debaty wokół tego zagadnienia. A trzeba już dziś myśleć, jak doprowadzić Putina i jego współpracowników na ławę oskarżonych.

Wojna potwierdziła, że tylko własne, silne państwo, oczywiście w ramach NATO, jest w stanie zapewnić Polakom bezpieczeństwo. Unia Europejska nie jest i nie będzie dystrybutorem twardego bezpieczeństwa. A sojusz Berlina z Moskwą też nie wzmacnia argumentu za głębszą integracją w ramach Unii. Historia przyznała rację tym, którzy budowali „tarczę konstytucyjną”, choćby orzekając o wyższości prawa krajowego nad unijnym?

Naszą tarczą jest nasza konstytucja. Są w niej zapisy jednoznacznie chroniące polską suwerenność. Orzeczenie z października 2021 r., o którym pan wspominał, było w istocie także powtórzeniem zapisu konstytucyjnego. Nie był to wyrok przeciwko Unii Eu-

ropejskiej; był to wyrok przypominający, gdzie leżą granice umów międzynarodowych, podpisanych przez nasz kraj. Jeżeli ktoś odczytuje ten werdykt inaczej, to albo ma złą wolę, albo nie doczytał dokładnie, albo nie ma elementarnej wiedzy prawniczej. Dyskusja, która przetoczyła się przez Europę, potwierdziła, że ci, którzy mają dobrą wolę, zrozumieli to bez problemu. Nie

zakwestionowaliśmy przecież pozycji Polski w Unii, zakreśliliśmy jedynie warunki naszego członkostwa. Podstawowym aktem prawnym, podobnie jak w całej Europie, jest przecież konstytucja, co potwierdzają orzeczenia Trybunałów Konstytucyjnych w innych państwach.

Dla Komisji Europejskiej to jednak był krok za daleko. Wszczęła procedurę przeciwko Polsce, wysuwając zarzut, że „orzecznictwo TK narusza ogólne zasady niezawisłości, nadrzędności, skuteczności i jednolitości stosowania prawa unijnego oraz wiążących skutków orzeczeń TSUE”. To rodzaj retorsji?

Tej decyzji Komisji nie rozumiem, bo jest ona całkowicie bezzasadna. Zapraszam więc do dialogu, do dyskusji, ale takiej, w której wzajemnie słuchamy swoich argumentów. Sędziowie, którzy jeżdżą za granicę na różne spotkania, konferencje, mówią, że powoli coś się rusza, że zaczyna się prawdziwa rozmowa, pewna otwartość na nasze argumenty. Wcześniej sama dostrzegałam, że często nawet nie czytano naszych opracowań. Stąd poważne braki argumentacyjne, merytorycznie nieuzasadnione tezy, niezajdujące potwierdzenia w stanie faktycznym i prawnym.

W Trybunale Konstytucyjnym trwa też postępowanie w sprawie mechanizmu warunkowości, który grozi odbieraniem Polsce należnych jej pieniędzy. Węgry już tego doświadczają. Kiedy możemy spodziewać się werdyktu?

Przyjęłam zasadę, że nie wypowiadam się w sprawach, które rozpoznaje Trybunał Konstytucyjny. Mogłoby to bowiem skutkować wnioskami o wyłączenie z postępowań. Takich wniosków było bardzo dużo. Chwilami wyglądało to wręcz na nękanie. Aktywność niektórych uczestników postępowania w tej sferze była zdumiewająca.

A Izba Dyscyplinarna? Czy kwestię odpowiedzialności zawodowej sędziów da się w końcu rozwiązać? I czy proponowany przez prezydenta test bezstronności i niezawisłości sędziego temu zaradzi? Czy to nie grozi destabilizacją systemu prawnego państwa?

Mogę tylko powtórzyć to, co powiedziałam przed chwilą. Sędzia wypowiada się poprzez orzeczenia. A w kwestii odpowiedzialności zawodowej sędziów zawsze miałam jedną zasadę: choćbyś sądził w sprawie drobnej, wydawałoby się mało ważnej, to zawsze pamiętaj, że rozstrzygasz o życiu innych ludzi. Więc bądź uczciwy. Tyle.

Ale są też dobre wieści. Trybunał Sprawiedliwości UE już po wybuchu wojny orzekł, że polski sędzia nie może kwestionować statusu innego sędziego. Jednoznaczny werdykt, choć sprzeczny z wcześniejszą linią TSUE. Można powiedzieć, że niebezpieczeństwo anarchii zostało zażegnane?

Rozstrzygnięcie, które zapadło, jest jednoznaczne i to dobrze. Czy groziła nam anarchia? Mamy na tyle silne państwo, że nie dopuściłoby do takiej sytuacji. Sądownictwo nie może sprawać wrażeń, że istnieje samo dla siebie. Bycie sędzią to przede wszystkim służba, mandat wykonywany w imieniu społeczeństwa i z nadania społeczeństwa. Sędziowie muszą pamiętać o tym, co jest ich zasadniczym powołaniem.

Ale i w Trybunale niektóre sprawy czekają na werdykt latami.

Trybunał Konstytucyjny nie jest częścią wymiaru sprawiedliwości. Rozpoznaje najważniejsze sprawy ustrojowe Rzeczypospolitej. Trzeba wiele czasu, by wypracować większościowe stanowisko. Tu pośpiech jest często wręcz niewskazany. Wiemy, że werdykty

będą atakowane, i to bardzo ostro, muszą być więc starannie przemyślane i uzasadnione.

Trybunałowi, którym pani kieruje, opozycja zarzuca, że wydaje werdykty podszyte polityką.

To są zarzuty nieprawdziwe, niesprawiedliwe, krzywdzące. W poprzednich dekadach nie brakowało przecież wyroków, które też odczytywano jako polityczne. Dziś proszę, by szanować jedną z najważniejszych instytucji w państwie, bo przecież jest to nasze wspólne państwo. Niektóre ataki na prawdę przekraczają granicę tego, co można i co wypada.

Sędziowie Trybunału są też atakowani na płaszczyźnie prywatnej. Ostatnio niektóre media opublikowały informacje, że kupiła pani nowy dom pod Warszawą. Zrobiły

Ślusznie jesteśmy dumni z reakcji społeczeństwa na kryzys uchodźczy, ale trzeba zaznaczyć, że w tle są też ramy tych działań, które skutecznie stworzyło nasze państwo

to w taki sposób, że właściwie podały adres zamieszkania. To wygląda jak wezwanie do organizowania demonstracji, do różnych szykan. Jakie jest pani stanowisko w tej sprawie?

To jest taki typ publikacji, który w mojej ocenie łamie zasady uczciwego i rzetelnego dziennikarstwa. Jest to działanie, którego celem jest zniszczenie czyjegoś życia. Doświadczam tego od lat. To są ciągle próby pozbawienia prawa do choćby minimalnej sfery prywatnej. Tego nigdy nie robiono wobec sędziów, tego się nie robi wobec polityków. Owszem, jestem osobą publiczną, ale nie jestem celebrytą. Jaki jest cel publikowania zdjęć czy nagrań z prywatnego wyjazdu z wnuczką na wakacje? Takich

sytuacji było więcej. Wiele publikacji ma charakter podżegania do agresji.

W przypadku pani domu media argumentują jednak, że wniosła pani o utajnienie oświadczenia majątkowego za zeszły rok. Czy to nie był błąd?

Jawność oświadczeń majątkowych nie oznacza, że wszystkie szczegóły związane z prywatną transakcją zakupu nieruchomości mają być jawne. Oświadczenia majątkowe składamy po to, by odpowiednie służby mogły sprawdzić, czy dana osoba nie wzbogaciła się w podejrzany sposób. Nie chodzi o ujawnianie tego, gdzie mieszka sędzia czy dokonał trafnego wyboru przy zakupie nieruchomości. A dziś, na podstawie bezprawnie ujawnionych danych, można do tego dojść. To dlatego poprosiłam o utajnienie mojego oświadczenia. Chodziło o ochronę prywatności. Miałam do tego podstawę, bo przecież

od lat trwa swoiste polowanie. Były ataki na rezydencję ambasadora w Berlinie, były agresywne demonstracje pod siedzibą Trybunału, były inne incydenty. Teraz też to wszystko wygląda dwuznacznie, to nie były ani zwykłe, ani przypadkowe publikacje.

Dlaczego?

Ujawniono bezprawnie informacje z aktów notarialnych, informacje dotyczące adresu, szczegółów kredytów, które są objęte ochroną. One nie są

również podawane w jawnych oświadczeniach majątkowych.

Dodajmy, że po ujawnieniu pani miejsca zamieszkania poprosiła pani o odtajnienie oświadczenia majątkowego. To może powiedzmy, czy rzeczywiście kupiła państwo willę pod Warszawą?

Sprawa jest prosta. Mieliśmy dom w Poznaniu, który sprzedaliśmy i kupiliśmy dom częściowo finansowany kredytem na wsi w okolicach Warszawy. Poza tym – dom nie jest nowy, wybudowany został 23 lata temu, podobnie jak ten, który zostawiliśmy w Poznaniu. Jak jednak widać, w naszym przypadku każdy pretekst do ataku jest dobry.

Media opozycyjne budują wokół pani domu aurę miejsca tajemniczego, w którym spotyka się elita polityczna. Ile w tym prawdy?

Mój dom to zawsze było miejsce, w którym toczy się życie intelektualne. Mój mąż jest przecież profesorem filozofii, mamy wielu przyjaciół w kręgach akademickich, literackich, artystycznych. Nie jest to miejsce spotkań politycznych.

Ale pani prezes gotuje dla gości?

Gotuję, lubię gotować, sprawia mi to przyjemność. I to nie tylko przypisywaną mi zupę pomidorową, ale wiele różnych dań.

Jakich? Co jest pani daniem, powiedzmy, reprezentacyjnym?

Zrazy wołowe z pyzami drożdżowymi i chłodnik litewski. Z chłodnika jestem naprawdę dumna. Gdy pracowałam w ambasadzie w Berlinie, a nasi synowie chodzili do niemieckich szkół, przygotowaliśmy na Festiwal Kultur Świata w Berlinie właśnie chłodnik litewski. Nasze danie wzbudziło największe pozytywne zainteresowanie.

Gotowanie jest dziś bardzo modne, ale w pani przypadku jest elementem ataku.

Tak, nagle okazuje się, że zawód kucharza czy też kucharenie to sprawy tak bardzo dyskredytujące. Nie przejmuję się tym. Wręcz przeciwnie, łączę obowiązki domowe z zawodowymi. Jestem nie tylko prezesem TK, ale również żoną, matką i babcią. Mam zamiar łączyć te obowiązki do końca mojej kadencji, tak aby rodzina w jak najmniejszym stopniu odczuła moje obciążenie zawodowe.

Do końca kadencji sędziego czy prezesa TK?

Zostałam powołana na stanowisko prezesa TK 21 grudnia 2016 r. na podstawie przepisów przejściowych, a czas wykonywania obowiązków prezesa nie został określony w postanowieniu prezydenta powołującym mnie na tę funkcję. W ówczesnym stanie prawnym nie było w ogóle takiego terminu jak kadencja prezesa. Oznacza to, że będę pełniła funkcję prezesa do momentu, w którym wygaśnie moja

9-letnia kadencja sędziego Trybunału Konstytucyjnego, tak samo jak wszyscy moi poprzednicy. Nastąpi to w roku 2024. Ustawa wprowadzająca kadencyjność funkcji prezesa TK weszła w życie po moim wyborze, 3 stycznia 2017 r., czyli będzie dotyczyła mojego następcy. Najmłodszy adepci nauk prawnych wiedzą, że prawo nie może działać wstecz. W sferze prawnej sprawa jest oczywista. Sądzę natomiast, że próba wykreowania w istocie pustej dyskusji o rychłym końcu mojej kadencji nieprzypadkowo zbiega się z kolejną fazą ataków na mnie i moją rodzinę.

W kwestii odpowiedzialności zawodowej sędziów zawsze miałam jedną zasadę: choćbyś sądził w sprawie drobnej, wydawałoby się mało ważnej, to zawsze pamiętaj, że rozstrzygasz o życiu innych ludzi. Więc bądź uczciwy. Tyle

W jakim sensie?

To są próby zaszczucia, zmuszenia do odejścia. W istocie można to czytać jako próbę nielegalnego usunięcia prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Były także próby skłócania sędziów trybunału, kreowania nieprawdziwych informacji o przebiegu ważnych narad i o stanowiskach zajętych przez poszczególnych sędziów. Publikowanie wymyślonych informacji o jakichś wewnętrznych kręgach.

Ludzie, którzy przychodzą ze świata naukowego, akademickiego, zderzają się z bardzo brutalną rzeczywistością medialną. Już za pani kadencji przedwcześnie zmarło trzech sędziów Trybunału Konstytucyjnego. Czy te tragedie miały związek z presją, która wywierana jest na sędziów obecnego TK?

To jest kontekst, który rzeczywiście trzeba brać pod uwagę. Sędzia prof. Henryk Cioch zachorował już w trakcie pełnienia funkcji sędziego. Sędzia prof. Lech Morawski miał ciężkie przejścia z mediami, goniono go pod własnym mieszkaniem. Sędzia prof. Grzegorz Jędrejek był młodym człowiekiem, jednym z najwybitniejszych polskich prawników; jego śmierć była mocno przedwczesna. Planujemy zorganizowanie konferencji poświęconej jego dorobkowi.

Co pani prezes uważa za swój największy sukces w czasie pełnienia funkcji prezesa TK?

Naszym – bo przecież nie chodzi tylko o mnie, ale o wszystkich sędziów i wszystkich pracowników – największym sukcesem jest to, że mimo tak silnych nieuczciwych ataków, Trybunał Konstytucyjny przetrwał, utrzymał swoją niezależność i niezawisłość, i orzeka na wysokim poziomie. Może nawet paradoksalnie, im ataki ostrzejsze, tym większy sens naszej walki. Jesteśmy też bliscy ludziom, płyną do nas skargi konstytucyjne składane przez zwykłych Polaków.

Co będzie pani najważniejszym celem w okresie, który pozostał do końca kadencji?

O Trybunał jestem spokojna. Osobiście chciałabym, żeby skończyły się ataki osobiste, personalne. Żeby mogła wyjść z wnukami na spacer do Łazienek, żeby uszanowano moją prywatność. Chcę, by ludzie traktowali mnie tak, jak ja traktuję innych. Każdy człowiek ma godność i zasługuje na szacunek.

Skoro pani o tym marzy, to przeciwnicy i wrogowie zrobią wszystko, by to marzenie się nie spełniło. Zaatakują jeszcze mocniej.

Jestem osobą głęboko wierzącą, więc wiem, że każdy ma swój krzyż i każdy musi go nieść. Takie jest nasze życie. Więc nikt nie powinien liczyć na to, że te ataki nas złamią. 

Trzaskowski hibernatus

Prezydent Warszawy najlepiej czuje się poza stolicą. I wtedy, gdy nie sprawuje funkcji gospodarza stołecznego miasta. Wprawdzie Warszawa to na razie jego główna polityczna „zdobycz”, cenniejsza niż bycie wiceprzewodniczącym Platformy Obywatelskiej, ale znacznie poniżej ambicji. Pytanie tylko, czy Rafał Trzaskowski może zaspokoić swoje ambicje, jeśli okresy jego nieaktywności są częstsze niż aktywności. A kiedy przez jakiś czas jest widoczny i zaangażowany, to potem musi coraz dłużej odpoczywać. A właściwie nie tyle odpoczywać, co poszukiwać nowej formy działalności wykraczającej poza administrowanie największym miastem w Polsce, czego właściwie nie robi od początku swojej prezydentury.

Trzaskowski angażuje się tylko w sprawy nadzwyczajne, ale one bardzo rzadko należą do obowiązków prezydenta miasta. Tyle tylko, że jeśli w tych nadzwyczajnych działaniach napotyka przeszkody lub doświadcza niepowodzenia, musi potem długo dochodzić do siebie, a wręcz zapada w swego rodzaju hibernację. Im niepowodzenie bardziej spektakularne, tym dłuższa hibernacja. Tak było po wyborach na prezydenta Polski, a w mniejszym stopniu po porażce wspieranego przezeń kandydata węgierskiej opozycji na premiera Pétera Márki-Zaya. Podobnie było po spektakularnym wyeliminowaniu go z walki o funkcję przewodniczącego Platformy.

W czasie hibernacji, często połączonej z frustracją, Trzaskowski nie jest w stanie podejmować żadnych decyzji i tylko formalnie sprawuje swoje funkcje. Zresztą urzędnicy warszawskiego ratusza za największą wadę swojego

*Największa
nadzieja Platformy
Obywatelskiej
i opozycji staje
się dla nich
największym
kłopotem. Dlaczego?*



STANISŁAW JANECKI

szefa uznają właśnie niedecyzyjność. I tłumaczą ją lękiem przed negatywnymi skutkami jednoznacznych działań, gdyż te osłabiałyby jego wizerunek nadziei polskiej polityki, najbardziej przyszłościowego opozycyjnego polityka, choć skończył już 50 lat.

Trzaskowski łatwo się frustruje po niepowodzeniach, a gdy już się na coś zdecyduje, to wtedy również musi odpoczywać. A niepowodzenia nawet bardziej go „zamrażają” niż zmęczenie po okresach aktywności. Na poziomie miasta Rafała Trzaskowskiego mogą bez większego problemu wyręczyć jego zastępcy, najczęściej robi to Renata Kaznowska. Na poziomie państwa

takie zastępstwa są niemożliwe, a wręcz byłyby szkodliwe, bo od przywódców państw wymaga się przede wszystkim decyzyjności, a Trzaskowski jest niedecyzyjny nawet wtedy, gdy urzęduje. Najbardziej w okresach hibernacji. A jeśli nie ma wtedy żadnej specjalnej misji do wykonania, po prostu znika.

MINISTER SPRAW ZAGRANICZNYCH OPOZYCJI

Od czasu napływu uchodźców wojennych z Ukrainy (przez stolicę przewinęło się 700 tys. Ukraińców, a zostało 300 tys., w tym 100 tys. dzieci) Rafał Trzaskowski mógł wreszcie robić coś, co zapewnia mu znacznie większy rozgłos niż zajmowanie się administrowaniem stolicą. Dlatego stał się samodzielnym ministrem spraw zagranicznych. Nie tylko własnej partii, ale całej opozycji. To mu się zwyczajnie bardziej opłaca i zdecydowanie mniej go męczy. Przekonał się o tym podczas wizyty prezydenta USA w Polsce. To on, a nie Donald Tusk spotkał się z Bidenem. Obok premiera Mateusza Morawieckiego oprowadzał amerykańskiego prezydenta po punkcie nadawania numerów PESEL uchodźcom. A rola samodzielnego ministra spraw zagranicznych opozycji tak mu się spodobała, że potem podejmował (w sprawach uchodźców) przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen. Już na początku marca 2022 r. występował zresztą w tej roli wobec Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców – Filippo Grandiego.

Nieprzypadkowo najlepiej się poczuł, gdy pod koniec kwietnia 2022 r.



polecił do USA. Tej wizycie poświęcił znacznie więcej miejsca w swoich mediach społecznościowych niż czemukolwiek innemu. Oficjalnie udał się za ocean załatwiać pomoc dla uchodźców, ale faktycznie cała wizyta została pomyślana jak wielka kampania promocyjna samego Trzaskowskiego. USA nadają się obecnie do tego najbardziej, bo państwo to skupia uwagę świata w czasie agresji Rosji na Ukrainę. Trzaskowski w czasie pokoju byłby niezauważony, ale w czasie wojny wpisuje się w najbardziej dyskutowany i jednocześnie najbardziej dramatyczny problem współczesnego świata. Dlatego przed wylotem pisał o globalnej strategii, globalnej solidarności, o wymiarze globalnym mobilizacji i działań.

Trzaskowski przedstawił się jako ten, który od tygodni rozmawia z partnerami z instytucji europejskich, z organizacji międzynarodowych, z zaprzyjaźnionych miast z całego świata. A jeszcze w USA czekali na niego przedstawiciele amerykańskiego rządu i Kongresu, liderzy czołowych think tanków i organizacji pozarządowych. Wszystko po to, aby polskie i warszawskie spojrzenie – zarówno w kwestii trwającej wojny i związanych z nią problemów, jak i innych kwestii, trafiło do świadomości amerykańskiej opinii publicznej. Dlatego umówił się na wywiady z CNN, MSNBC, NBC czy pismem „Foreign Affairs”, na wykłady w Georgetown University i Yale University, na spotkanie w Columbia University. Wszędzie tam występował jako lepsza wersja polskiego polityka. Na tyle lepsza, żeby nie tracić z pola widzenia kwestii naruszania praworządności w Polsce. I tylko dzięki takim politykom jak Trzaskowski Polska ma szansę stać się najsilniejszą demokracją w regionie, a nie krajem, w którym PiS niszczy niezależne instytucje, próbuje ograniczać wolne media, spycha mniejszości na margines. Nie wolno pozwolić, aby nasi partnerzy w USA, słusznie doceniający postawę polskiego społeczeństwa wobec naszych sąsiadów, o tym zapomnieli. Innymi słowy – Rafał Trzaskowski polecił do USA, żeby jątrzyć i podważać specjalny sojusz

Polski z USA, bo on marginalizuje opozycję i jego samego.

Problemem jest to, że w Ameryce szczególnie niechętnie przyjmuje się polityków zniesławiających własny kraj, tym bardziej w czasie wojny trwającej w najbliższym sąsiedztwie tego kraju. I w czasie, gdy administracja prezydenta Joeego Bidena uznaje Polskę za najważniejszego sojusznika w zapalnym regionie, bez którego nie mogłaby realizować swoich najważniejszych przedsięwzięć. Trzaskowski pewnie uważa, że przedstawiał się jako alternatywa, podczas gdy faktycznie występował w roli de-latora. I powtarzał (w CNN) starą śpiewkę, że pieniądze powinny trafić bezpośrednio do uchodźców, organizacji pozarządowych i samorządów. Tyle że podważanie roli i intencji własnego państwa w czasie wojny jest akurat w USA samobójcze, nawet gdy chodzi o lewicowe elity. I nie zamazało tego nawet przyznanie, że Władimir Putin i Aleksander Łukaszenka próbowali poprzez ten kryzys [na polsko-białoruskiej granicy] zdestabilizować Europę, przekonując uchodźców [faktycznie imigrantów] do przybycia na granicę.

WYCZERPANY

Trzaskowski musiał się wyrwać z Warszawy do USA, gdyż po początkowym okresie aktywności związanej z uchodźcami nie widział możliwości dyskutowania tej sprawy w Polsce i jej stolicy. A wręcz męczył się codzienną aktywnością, dlatego decyzje musieli podejmować za niego zastępcy. Nawet gdy formalnie w ratuszu urzędował. Po raz kolejny zaistniał problem frustrowania się urzędniczą rutyną. Dlatego musiał się wyrwać w wielki świat, gdzie te sprawy nie mają żadnego znaczenia. On sam musi mieć jakieś formalne umocowanie, które ma, ale w USA nie przecenia się roli samorządowców z dalekiej Europy, może z wyjątkiem Borisa Johnsona jako włodarz Londynu. Ale już Jacques Chirac jako mer Paryża (przez 18 lat) nie robił większego wrażenia, więc tym bardziej nie czyni tego prezydent Warszawy.

Liberalno-lewicowe media po prostu wykorzystują takich jak Trzaskowski do potwierdzenia własnych ideologicznych wyborów – także w nastawieniu do Polski rządzonej przez prawicę – i niczego więcej. Mało kto kojarzy go jako kontrkandydata Andrzeja Dudy w walce o prezydenturę Polski. Plat-formie zagraniczne eskapady Rafała Trzaskowskiego dają pozór aktywnego uczestniczenia w wielkich międzynarodowych grach politycznych po tym, jak całkowicie zmarginalizowany został Donald Tusk. O ile Tusk w ogóle unikał wysiłku, o tyle Trzaskowskiego taki wy-

Na poziomie miasta Rafała Trzaskowskiego mogą bez większego problemu wyręczyć jego zastępcy. Na poziomie państwa takie zastępstwa są niemożliwe, a wręcz byłyby szkodliwe, bo od przywódców państw wymaga się przede wszystkim decyzyjności, a Trzaskowski jest niedecyzyjny nawet wtedy, gdy urzęduje

silek bardzo wyczerpuje. A zmęczenie i popadanie w hibernację są dowodem na to, że Rafał Trzaskowski nie nadaje się na odpowiedzialne funkcje państwowe. Dlaczego?

Przed wszystkim dlatego, że jego reakcją na kryzys czy wyzwania jest ucieczka – albo dosłowna, albo w taki rodzaj aktywności, który ze sprawowaną funkcją ma niewiele wspólnego. Choć w sondażach jest uważany za lepszego lidera PO niż Donald Tusk, to realnie nie można na niego liczyć. Tym bardziej po tym, jak łatwo, a wręcz upokarzająco Tusk wyeliminował go z walki o przywództwo w partii. Opozycja wobec Tu-

ska chciała tworzyć wokół Trzaskowskiego alternatywny ośrodek decyzyjny w partii, lecz prezydent Warszawy po początkowych deklaracjach nie podjął żadnych działań. Czyżby się wystraszył? Nic dziwnego, że nie udało mu się stworzyć własnego zaplecza w partii.

Niewiele wynika z tego, że w rankingu zaufania do polityków przeprowadzonego przez CBOS, a opublikowanego 1 kwietnia br., Rafał Trzaskowski znalazł się na drugim miejscu, tuż za prezydentem Andrzejem Dudą (42,6 proc. wobec 41,6 proc.). Nic też specjalnego nie wynika z tego, że w badaniu United Surveys z 6 kwietnia br. Trzaskowski jest trzecim najlepiej ocenianym politykiem za swoje działania w okresie wojny na Ukrainie: 25,9 proc. wskazań wobec 37,8 proc. Andrzeja Dudy i 34 proc. Mateusza Morawieckiego. Na Donalda Tuska wskazało zaledwie 9,8 proc. badanych (ankietowani nie wybierali nazwisk z listy, tylko sami je wskazywali). Także wśród wyborców PO Trzaskowski był lepszy od Tuska.

W jednym z zamówionych na wewnętrzne potrzeby sondaży na temat najlepszego kandydata PO na prezydenta Polski w wyborach w 2025 r. prawie 70 proc. wskazało Trzaskowskiego, a tylko ok. 25 proc. Tuska. Były premier przegrywa nawet z kandydatem spoza PO, byłym RPO Adamem Bodnarem. Tyle tylko, że Trzaskowski sam te dobre sondażowe wyniki marnuje. Przede wszystkim przez długie stany hibernacji

oraz permanentne zmęczenie. One powodują, że koncepcja ponownego startu obecnego włodarz stolicy w wyborach prezydenta Polski w 2025 r. ma coraz mniej zwolenników. A jego zagraniczne wojaże, w tym kwietniowe do USA, są postrzegane jako zdecydowany falstart ewentualnej kampanii. Nie można jej prowadzić, gdy wybory są dopiero za lata, a bieżących problemów jest coraz więcej. Ale Trzaskowski najlepiej czuje się wtedy, gdy nie musi rozwiązywać aktualnych kwestii. Tylko że w ten sposób wielka polityczna nadzieja PO i opozycji staje się dla nich największym problemem.

Pytanie o los kameleona

Emmanuel Macron zgarnia we Francji całą pulę – dziś wygrywając przekonywająco prezydenturę, a jutro (czyli w czerwcu) zyskując zapewne pełnię władzy w efekcie wyborów parlamentarnych. Ale pomimo tego jego pozycja polityczna jest krucha, zdolność skutecznego rządzenia stoi zaś pod znakiem zapytania



JAN ROKITA

Triumfujący w wyborach obóz Macrona znajduje się w coraz silniej zaciskających się kleszczach pomiędzy rosnącymi w siłę dwoma wyrazistymi nurtami francuskiej polityki: twardą prawicą spod znaku Marine Le Pen i twardą lewicą Jean-Luca Mélenchona.

PREZYDENT LUDZI BOGATYCH

Francuscy politycy i obserwatorzy sceny politycznej nad Sekwaną prześcigają się teraz w opisywaniu ryzyka i niepewności, przed jakimi stoi zarówno Francja po zwycięstwie postliberalnego, bezideowego obozu Macrona, jak i jej nowy/stary przywódca. Pogląd wyrażony tuż po rozstrzygnięciu wyborów przez Lionela Jospina – historycznego przywódcę socjalistów i byłego premiera – jest w tej mierze dość typowy. „Macron zgromadził za sobą heterogeniczny konglomerat bez tożsamości” – mówi Jospin. I dodaje: „Zrobił wszystko, aby odtworzyć ostateczne spotkanie twarzą w twarz ze skrajną prawicą, gdyż uważał ją za la-

twiejszą do pokonania. Ale Francja jest dziś krajem sfrustrowanym, podzielonym i niespokojnym”.

Z jednej strony zwycięstwo Macrona jest efektowne i jednoznaczne, wskazuje na to procentowy rezultat głosowania: 59:41. W metropoliach – takich choćby jak Paryż, Lyon, Tuluza, Nantes czy Bordeaux – przewaga Macrona jest miażdżąca. Jak pokazują statystyki powyborcze, w dużych miastach wygrywa on w proporcji 73:27. Macron utrzymuje tradycyjnie sporą przewagę w regionach zachodniej i centralnej Francji – w krajach Loary, Akwitanii, Owernii, w stołecznym Île-de-France, a przede wszystkim w nadoceanicznej Bretanii. Nawiasem mówiąc, fakt iż to Bretania jest bastionem oporu wobec prawicy, nigdy nie był dla mnie zrozumiały, zważywszy na bohaterską tradycję antyrewolucyjnej chłopskiej szuanerii w tym regionie.

Na Macrona głosuje aż 85 proc. francuskich muzułmanów, wobec tylko 55 proc. katolików. Może to wyglądać na zabawny paradoks, iż to islam stanowi podporę postliberalnych rządów we Francji, ale fakt ów ma oczywiście racjonalne uzasadnienie: francuska prawica ma dziś odcień silnie „endecki” (jakbyśmy powiedzieli z polską). Macron umocnił swoją pozycję prezydenta ludzi bogatych – wygrywa miażdżąco w gminach o najwyższych dochodach i pośród najbogatszych Francu-

zów. I co charakterystyczne, jednocześnie zyskuje aż 2/3 głosów twardej lewicy, które dwa tygodnie wcześniej padły na komunizującego Mélenchona. Dzięki temu wygrywa m.in. w Strasburgu czy na ubogich, imigranckich północnych przedmieściach Paryża – Saint-Denis.

Jednak summa summarum Macron traci w stosunku do wyborów sprzed pięciu lat aż 2 mln wyborców, podczas gdy jego konkurentka zyskuje 2,5 mln. Jeśli popatrzeć na wynik w miastach prowincjonalnych, to przewaga obecnego prezydenta wyraźnie maleje do poziomu 54:46, na francuskiej wsi Macron i Le Pen idą zaś lew i lew: 50:50. Dlatego właśnie przywódczyni prawicy mogła odnieść sukces aż w połowie wszystkich okręgów wyborczych. Ciekawa powyborcza mapa pokazuje, że Le Pen zyskała wyborców w całym kraju, a zwłaszcza w regionach tradycyjnie przeciwnych narodowej prawicy (np. we wspomnianej Bretanii), zwiększając zarazem przewagę w swoim politycznym macieczniku, czyli przemysłowych regionach północno-wschodniej Francji (Pas-de-Calais, Pikardii, Szampanii, Lotaryngii), a także na południu – w Prowansji. W sensie społecznym Marine Le Pen jest więc prezydencką kandydatką francuskiej wsi, drobnomieszczaństwa i starego przemysłu ciężkiego.

„Żółte kamizelki”, imigranci, lumpenproletariat i zubożała inteligencja



– to elektorat komunizującego Mélenchona, który paradoksalnie w drugiej turze w $\frac{3}{4}$ pozyskał Macron, reprezentant wielkomiejskich elit i bogatej burżuazji. Taki efekt polityczny dają współczesne linie francuskich podziałów politycznych zestawione z tamtejszym systemem wyborczym.

WIELKI SPÓR O FRANCJĘ

Widać, że balansujący gdzieś w centrum francuskiej polityki obóz Macrona cofa się w przyspieszonym tempie zarówno wobec rosnącej w siłę nowej narodowej prawicy, jak i wobec nowej lewicy, o wiele bardziej radykalnej społecznie niżli miękka i rozlazła w ostatnich latach stara partia socjalistyczna. Jeśli w dzisiejszej Francji toczy się jakiś poważny angażujący Francuzów, a zarazem zawzięty spór o przyszłość kraju, to jest to oczywiście spór (ujmując go symbolicznie) pomiędzy Le Pen i Mélenchonem. Le Pen proponuje Francuzom powrót do odnowionej i wzmocnionej wersji gaullistowskiego nacjonalizmu, wedle którego Francja jest ważniejsza od Europy, patriotycznie nastawiony lud od kosmopolitycznej elity, państwo i jego administracja ważniejsza od rynku, narodowa kultura i tradycja nie mogą zaś zostać unieważnione przez panoszącą się islam imigrantów oraz europeizm bezrefleksyjnie przejmowany od Niemiec i Brukseli.

Z kolei Mélenchon domaga się zniesienia V Republiki jako państwa burżuazji i finansjery, uchwalenia nowej konstytucji opartej na wartości pracy i restrykcjach dla kapitału, 100-proc. podatku dla miliarderów oraz tego, co (za karaibskim poetą Édouardem Glissantem) określa mianem „kreolizacji” francuskiej kultury, tak by stała się ona idealną multikulturową mieszańką, która stworzy dopiero w przyszłości nowego Francuza.

Jak na dłoni widać, że pomiędzy tymi stronami toczy się wielki spór o wszystko, co istotne w dzisiejszej Francji. Ale też jeśli uświadomić sobie sens i głębię tego sporu, łatwo zrozumieć, dlaczego mainstream francuskiej polityki, uosabiany dziś przez figurę Macrona, rękami i nogami broni się przed naporem obu nurtów, opatrując je dyskredytującym mianem skrajnej prawicy i lewicy, faszyzmu, populizmu. Łatwiej też pojąć wtedy przyczyny promacronowskiej nerwacji i psychozy, której mogliśmy ostatnio, z niejakim intelektualnym rozbawieniem, przyglądać się w unijnej Europie zarówno wśród establishmentowych polityków, jak i mediów – od „Le Monde” poczynawszy, a na „Gazecie Wyborczej” skończywszy.

Macron zyskuje dziś władzę nad Francją tylko dlatego, że między tymi dwoma rosnącymi w siłę nurtami prowadzi zręczną grę. Jest świadom tego,

iż dwójka protagonistów – mając do wyboru pomiędzy swym głównym ideowym wrogiem a nim samym oraz jego bezideową stworzoną na bazie urzędników partią LaREM – wybierze jednak (co prawda z obrzydzeniem) jego właśnie oraz LaREM. Tak właśnie uczynił w tych wyborach Mélenchon, który w pierwszej turze zdobył aż 22 proc. głosów. Nie poparł co prawda otwarcie Macrona, ale kilkakrotnie za to zarzekał się, iż żaden głos lewicowego Francuza nie może paść na nacjonalistkę Le Pen. Efektem stało się (wspomniane już) paradoksalne zwycięstwo Macrona w bastionach lewicy, takich jak Strasburg albo wiecznie zrewoltowane paryskie przedmieście Saint-Denis.

Obóz postliberalny korzysta zatem na tym, iż ciągle jeszcze jest minimalnie silniejszy zarówno od nowej prawicy, jak i nowej lewicy, więc jeden na jednego wygrywa z każdym z wielkich ideowych protagonistów. Cały francuski system wyborczy sprzyja takiej grze prowadzonej przez Macrona, gdyż zarówno dwuturuowa procedura wyboru głowy państwa, jak i 577 jednomandatowych okręgów w wyborach do Zgromadzenia Narodowego sprawiają, że w każdym głosowaniu, czy to sam Macron, czy też kandydujący z jego ramienia macroniści zawsze stają w obliczu końcowego starcia z jednym z przeciwników. Ten drugi

z rezygnacją zaś woli wygraną macronisty aniżeli swojego prawdziwego politycznego wroga.

Ten mechanizm sprawi zapewne w czerwcu, że LaREM triumfalnie wygra po raz drugi wybory parlamentarne. Na to zresztą wskazują aktualne sondaże, wedle których macroniści powinni w drugiej turze wygrać co najmniej w 326 spośród 577 okręgów.

Mélenchon chciałby tymczasem, aby poparła go cała, zarówno ta nowa i twarda, jak i ta stara mocno wyleniąta, lewica; marzy mu się bowiem sformowanie w Zgromadzeniu wielkiej lewicowej większości, która wyniosłaby go do funkcji premiera, a tym samym nałożyła Macronowi pęta na ręce. Jeszcze przed drugą turą nieoczekiwanie wezwał Francuzów, aby – jak mówił – „skoro nie chcieliście mnie na prezydenta, to proszę, wybierzcie mnie na premiera”. Mélenchon wymyślił koncept lewicowej Unii Ludowej, która miałaby zjednoczyć komunistów, socjalistów, zielonych, anarchistów, tzw. „żółte kamizelki” i Bóg wie kogo jeszcze, po to, aby Macrona zmusić do wprowadzenia po czerwcowych wyborach najsilniejszego polityka lewicy do Pałacu Matignon, a tym samym do akceptacji mocnego skreślenia na lewo całej francuskiej polityki.

Na to się jednak nie zanoszą, tym bardziej że wśród niezliczonych francuskich partijek, których kandydaci nie przekroczyli nawet 5 proc. w wyborach prezydenckich, trwają uparte zabiegi o obronę tożsamości, co jako żywo Polakowi musi przypominać polskie partyniactwo lat 90. ub.w. W przegranych partiach kłóć się wszyscy ze wszystkimi, a im mniejsi i bez realnego znaczenia, tym bardziej podniosłe wydają publiczne deklaracje. Starzy republikanie (ci powołujący się na tradycję de Gaulle’a) przegłosowali właśnie na przekór swemu dawnemu liderowi Sarkozy’emu, że będą „bronić niezawisłej prawicy, nie pogrążając się ani w macronizmie, ani w lepenizmie”. Ich kandydatka zdobyła tymczasem 4 proc. głosów, ale zaciągnęła za to 5 mln euro długów, więc teraz rozpaczliwie apeluje każdego dnia tylko o to, aby jej darować jakieś pieniądze. Starzy socjaliści (ich kandydatka zdobyła poniżej 2 proc. gło-

sów), komuniści i zieloni są może trochę bardziej chętni do kooperacji z Mélenchonem, więc zaczynają w tej materii rozmowy. Ale nawet gdyby jakimś cudem coś z tych rozmów wyszło, to takiej zjednoczonej Unii Ludowej sondaże dają zwycięstwo w 73 jednomandatowych okręgach. Daleko za mało, aby prędko miały się ziszczyć plany Mélenchona. Efekt „jeden na jednego” musi działać.

Znacznie lepszą pozycję po czerwcowych wyborach mogłaby zyskać narodowa prawica, jeśli zjednoczyłaby swe siły pod przywództwem Le Pen. Sondaże dają jej w takich warunkach zwycięstwo co najmniej w 147 okręgach wyborczych. Oczywiście i tak nie daje to szans na władzę, a na

Francja jest dziś krajem politycznie rozdartym pomiędzy dążnościami narodowej prawicy i komunizującej lewicy. To ten podział głęboko angażuje polityczne emocje milionów Francuzów, nad którymi nie ma władzy Macron

prawicy nie ma takich złudzeń, jakie rodzą się w głowie Mélenchona. Być może właśnie dlatego Le Pen nie zależy na takim scenariuszu i w związku z tym ostentacyjnie ignoruje apele Érica Zemmoura, twórcy nacjonalistycznej rekonkwisty, o to – jak mówi – „byś przyjęła rękę, którą do ciebie wyciągam, aby dać ci jedyną szansę na wyrwanie się z kordonu sanitarnego, który od 40 lat eliminuje szanse obozu narodowego”. „Zrób to nie dla nas, ale dla Francji” – dodaje Zemmour z charakterystycznym dla siebie patosem.

Wygląda jednak na to, że liderka prawicy jest śmiertelnie obrażona na swego konkurenta wyborczego, który nie dość, że w pierwszej turze odebrał jej sporo, bo aż 7 proc. wyborców, to jeszcze przeciągnął na swoją stronę Marion Maréchal – wpływową siostrzenicę Le Pen i popularną na prawicy celebrytkę. Z tego co

mówią bliscy współpracownicy Le Pen, być może w ogóle widzi ona po tych wyborach swoją rolę jako przyszłego ponadpartyjnego lidera całej prawicy, a więc politycznego alter ego urzędującego prezydenta. Dlatego pewnie nie chce żadnych układów z Zemmourem, a i ponoć nie będzie się już ubiegać o formalne przewodnictwo swojej partii o nazwie Zjednoczenie Narodowe (RN).

PEŁNIA WŁADZY I ZDOLNOŚĆ MIMIKRY

Macron zgarnie zatem dla siebie najpewniej pełnię władzy. Z jego partii płyną informacje, iż w najbliższych dniach prezydent osobiście mianuje swojego kandydata w każdym z 577 okręgów do wyborów parlamentarnych. Wodzowskie przywództwo partyjne staje się, jak widać, obowiązującą polityczną modą nie tylko w Polsce, ale i w całej Europie. Sam też, jednoosobowo wymyślił nowego premiera; w partii LaREM i w mediach krążą na ten temat niezliczone spekulacje, ale wszyscy wiedzą, że lubiący nasładować Napoleona Macron w ostatniej chwili wyjmie nieoczekiwanie jakąś figurę z kapelusza. Całkiem możliwe, że będzie to ktoś symbolicznie bardziej trochę na lewo od dotychczasowych dwóch premierów Macrona.

Sam prezydent, świętując w wyborczy wieczór swoje zwycięstwo pod wieżą Eiffla, zapewniał Francuzów, że „nastąpi teraz nowa era i nie będzie ciągłości poprzedniego pięcioletniego okresu”. Już wcześniej w trakcie kampanii Macron mówił, że „chce się zmienić dzień po wyborach”. Kameleon musi cały czas zmieniać kolor skóry, o ile w ogóle chce przetrwać.

Ale Francja jest dziś krajem politycznie rozdartym pomiędzy dążnościami narodowej prawicy i komunizującej lewicy. To ten podział głęboko angażuje polityczne emocje milionów Francuzów, nad którymi nie ma władzy Macron, ale raczej Madame Le Pen do spółki z Jean-Lukiem Mélenchonem. Najciekawsze francuskie pytanie brzmi dziś zatem: jak długo kameleon jest w stanie przetrwać w tak nieprzyjaznych dla siebie społecznych okolicznościach?

A portrait of Olaf Scholz, the German Chancellor, wearing a dark blue suit, white shirt, and red tie. He is looking slightly to the right with a neutral expression. In the background, several flags are visible, including the German flag and others of European countries.

Zdeklarowany marksista z Hamburga

Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

Partnerzy koalicyjni SPD, Zieloni i FDP popierają dostawę ciężkiego uzbrojenia dla walczącej z rosyjskim agresorem Ukrainy. Kanclerz Olaf Scholz się przed tym długo wzbraniał. Gdy w okresie zimnej wojny Związek Sowiecki groził Europie nowymi pociskami średniego zasięgu, Scholz protestował. Ale przeciwko Stanom Zjednoczonym i NATO



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Lata 70. XX w. Apogeum zimnej wojny. Nad światem wisi widmo konfliktu nuklearnego. W lipcu 1975 r., po dwuletnich negocjacjach, 35 państw – w tym USA i Związek Sowiecki – zobowiązuje się w Helsinkach do respektowania granic i pokojowego rozwiązywania konfliktów. Podpisanie aktu końcowego Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie budzi wielkie nadzieje. ZSRR jednak szybko łamie zawarte porozumienie. W 1977 r. Moskwa rozlokowuje w Europie Wschodniej nowoczesne rakiety średniego zasięgu typu SS-20. Ówczesny socjaldemokratyczny kanclerz RFN Helmut Schmidt proponuje odpowiedź Zachodu w postaci własnych rakiet średniego zasięgu, które miałyby bazę w Niemczech Zachodnich. Dwa lata później szczyt NATO podejmuje w Brukseli tzw. podwójną decyzję (Doppelbeschluss). Proponuje ZSRR rozmowy rozbrojeniowe, jednocześnie grożąc, że w razie ich fiaska do końca 1983 r. USA rozmieszczą w Europie swoje rakiety. Moskwa nie chce negocjować. 24 grudnia 1979 r. sowieckie oddziały wkraczają do Afganistanu.

NIGDY WIĘCEJ WOJNY!

Zachodnioniemiecki ruch pacyfistyczny jednak nie tym jest oburzony, tylko strategią odstraszenia NATO. Jak pisze na łamach tygodnika „Focus” były dyrektor Miejsca Pamięci Narodowej Berlin-Hohenschönhausen, niemiecki historyk dr Hubertus Knabe, rzecznikiem protestów przeciwko polityce NATO był wówczas Olaf Scholz. Stare zdjęcia pokazują, jak demonstruje przeciwko amerykańskiemu pociskom w Bonn. Scholz studiował wtedy prawo w Hamburgu i działał w młodzieżówce

SPD – JuSos (Jungsozialisten, młodzi socjaliści). „Walczył zacięcie z amerykańskim imperializmem oraz – jego zdaniem – »prawicowym« przywództwem SPD” – podkreśla Knabe.

23 maja 1980 r. ówczesny przewodniczący JuSos Gerhard Schröder przyjął po raz pierwszy z wizytą szefa komunistycznego związku młodzieży w NRD (FDJ) Egon Krenza. Uzgodniono, że FDJ i młodzi zachodnioniemieccy socjaliści nawiążą współpracę. Dwa lata później Scholz został wiceprzewodniczącym JuSos. Natychmiast zainteresowały się nim władze NRD, w końcu – jak przekonuje Knabe – „on i jego koledzy byli z punktu widzenia Moskwy bardziej wiarygodni niż braterskie organizacje komunistyczne w Niemczech Za-

Scholz chętnie dał się wykorzystywać przez propagandę NRD. Podczas kolejnych podróży był traktowany niemal jak ważny gość państwowy

chodnich”. A Scholz nie tylko szczerze agitował przeciwko NATO, ale należał także do lewicowego, marksistowskiego skrzydła JuSos. A była to wówczas frakcja jak najbardziej wpływowa. W 1982 r. dzisiejszy kanclerz pisał na łamach „Sozialistischer Politik und Wirtschaft”, że „należy przeciwstawić się globalnej imperialnej strategii USA”. Strategii wojny i zniszczenia. Związkowi Sowieckiemu o to właśnie chodziło – ukazać, że misją ojczyzny światowego proletariatu jest powstrzymanie wybuchu wojny. Zachodnie organizacje pacyfistyczne i antymilitarystyczne idealnie nadały się do krzewienia „walki o pokój”. Były one finansowo i kadrowo wspierane przez KGB i Stasi. Momentami na ulice wychodziło nawet pół miliona osób. Starania Moskwy padły na podatny grunt. Niemcy zaczęli właśnie jako społeczeństwo, wraz z ruchem ’68,

wiwisekcję swojej niechlubnej nazistowskiej przeszłości. „Nigdy więcej wojny!”, „Zakończyć podżeganie do wojny!” – skandowano na marszach wielkanocnych.

INSTRUMENT ENERDOWSKIEJ PROPAGANDY

Kraj, który wywołał dwie wojny i je przegrał, nie mógł popierać kolejnej. Nie, na to nie pozwalała historyczna odpowiedzialność. Niemieccy socjaldemokraci byli jednym z filarów ruchu pokojowego i do dziś mają trudności z odcięciem się od polityki appeasementu wobec Rosji. Nie tylko Olaf Scholz marzy o „pokojowym współistnieniu z Rosją”, ale także spora część jego partyjnych towarzyszy, jak Rolf Mützenich, szef frakcji SPD w Bundestagu, czy poseł Ralf Stegner, który dzień po agresji Rosji na Ukrainę napisał na Twitterze, że „przegrali ci, którzy stawali na odstraszenie, a nowy wyścig zbrojeń nie tylko zniszczyłby porządek pokoju w Europie, ale zużyłby środki, które przydałyby się choćby do walki ze zmianą klimatu”. Minęło wiele dekad, a towarzysze stoją wciąż tam, gdzie stali.

W biografii kanclerza („Olaf Scholz. Droga do władzy”) autorstwa Larsa Haidera, redaktora naczelnego „Hamburger Abendblatt”, brakuje wzmianki o licznych podróżach polityka SPD w latach 80. XX w. do NRD. O spotkaniach m.in. z Egonem Krenzem, sekretarzem generalnym KC SED, sądzonym po upadku komunizmu w sprawie śmierci uciekinierów na granicy wewnętrznioniemieckiej. W 1997 r. został skazany na sześć lat więzienia za zabójstwo. Odsiedział cztery. W 1983 r. był członkiem politbiura i rzecznikiem SED ds. bezpieczeństwa – numerem dwa w państwie, po Honeckerze. Był także działaczem młodzieżowym, choć miał wtedy już ponad 40 lat. Wtedy Scholz udał się po raz pierwszy do NRD. W sumie odwiedził Niemcy Wschodnie do 1988 r. aż dziewięć razy. Stasi starannie protokolowała jego wizyty.

Według dr. Knabe z zachowanych dokumentów wynika, że był „traktowany preferencyjnie” na granicy. Gdy Bundestag udzielił w 1983 r. zgody na

stacjonowanie amerykańskich rakiet średniego zasięgu typu pershing II w RFN, Scholz chciał tę decyzję cofnąć. Za pomocą masowych protestów. Krenz i Co. mocno go do tego zachęcali. Towarzysze jednocześnie ustalili, że należy Amerykanom „postawić kolejne rakiety przed nosem”. Te skierowane na Europę Zachodnią nie wystarczają. Później Scholz pojawił się w energicznym telewizyjnym programie propagandowym „Aktuelle Kamera”. Na koniec wizyty Jusos uczestniczyli w rozmowach w Instytucie Międzynarodowej Polityki i Gospodarki, który był przykrywką dla Hauptverwaltung Aufklärung (HVA) – wydzielonej struktury organizacyjnej politycznego wywiadu zagranicznego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego NRD. Pracował tam polityk SPD z Hamburga Kurt Wand, tajny współpracownik Stasi pod pseudonimem „IM Kugel”. To on m.in. nadzorował Scholza. Część jego raportów trafiała bezpośrednio do KGB.

ZERO AUTOREFLEKSJI

Jak odnotował „IM Kugel”, Scholz należał do skrzydła Jusos pod nazwą Stamokap (Staatsmonopolistischer Kapitalismus, Kapitalizm Państwowo-Monopolistyczny), które chciało budować socjalizm w RFN. Scholz był przekonany, że pokój i dobrobyt da się osiągnąć tylko poprzez pozbycie się kapitalizmu. Kanclerz próbował później udowodnić, że był inwigilowany przez struktury Stasi na Zachodzie, m.in. w jego rodzinnym mieście, przedstawiając siebie jako ofiarę, ale według dr. Knabe „dokumenty tego nie potwierdzają”.

Pokazują natomiast, że Scholz chętnie dał się wykorzystywać przez propagandę NRD. Podczas kolejnych podróży był traktowany niemal jak ważny gość państwowy. Podczas jego ostatniego pobytu w Niemczech Wschodnich pracownik KC SED osobiście odebrał go na przejściu granicznym Bornholmer Strasse w Berlinie. To wszystko miało miejsce ponad 30 lat temu.



Scholz należał do radykalnego skrzydła młodzieżówki SPD, które chciało budować socjalizm w RFN

Oczywiście po latach ludzie zmieniają poglądy. Dotyczy to również Olafa Scholza. Niemniej warto przypomnieć, jaką postawę przyjmował on przed laty wobec „imperializmu USA i NATO” oraz „pokojowej polityki Moskwy”. Nie zmieniła się też mentalność wielkomocarstwowa Kremla, która odmawia otaczającym państwom prawa do samostanowienia – i woła wielu socjaldemokratów do zaakceptowania takiego stanu rzeczy. Były kanclerz SPD Gerhard Schröder – który stoi na czele rady nadzorczej dwóch rosyjskich spółek państwowych, a 30 czerwca ma wejść do rady nadzorczej Gazpromu – jest symbolem tej postawy. To on jako przewodniczący Jusos rozpoczął współpracę z FDJ w 1980 r.

Podobnie jak Schröder, Scholz nie ma ochoty na autorefleksję. 22 kwietnia oświadczył w rozmowie z tygodnikiem „Der Spiegel”, że „nie widzi powodów do samokrytycznego przeglądu polityki SPD wobec Rosji z ostatnich kilku lat”. „Od czasów Adenauera pojawiały się te fałszywe i oszczerce oceny europejskiej i rosyjskiej polityki SPD, co mnie denerwuje” – podkreśli kanclerz. „Partia socjaldemokratyczna jest partią mocno zintegrowaną z NATO i Zachodem. Nie muszę słuchać takich zarzu-

tów” – dodał. Według niego dowodem na prozachodnią postawę SPD była polityka odpreżenia kanclerzy Willy’ego Brandta i Helmuta Schmidta. „To umożliwiło zniknięcie żelaznej kurtyny, pozwoliło wielu krajom Europy Wschodniej stać się demokracjami i doprowadziło do powstania zjednoczonej Europy” – zaznaczył.

POKÓJ BEZ BRONI

Taka właśnie ma być tradycja socjaldemokracji. Tradycja, przeciwko której w latach 80. XX w. sam protestował. Tydzień temu odbyły się zresztą w 120 niemieckich miastach kolejne marsze wielkanocne na rzecz pokoju. Niektórzy działacze wprowadzili agresję rosyjską na Ukrainę, ale – i tu wszyscy byli zgodni – winę za nią ponosi nie Kreml, ale USA i NATO. Berlińska Ko-

ordynacja Pokojowa (Friko) zażądała nawet w oficjalnym piśmie opublikowanym w mediach, by Ukraina poszła na kompromis z Rosją, a najlepiej stała się krajem neutralnym. Bo to byłoby rozsądne. Z punktu widzenia tych, którzy nie są zmuszeni siedzieć w piwnicy w Mariupolu. Publicysta „Der Spiegel” Sascha Lobo nazwał to „lumpenpacyfizmem”. Jak pisze „Süddeutsche Zeitung”, towarzyszom, którzy przez 40 lat protestowali przeciwko amerykańskiemu imperializmowi, świat się zawalił. Nie mogą przyjąć do wiadomości, że Rosja jest agresorem. Kurczowo trzymają się więc swojej wizji świata. Zachód jest arogancki – przekonują. Ale czy to usprawiedliwia mordowanie ludzi w Buczy? „Nie wiem” – odpowiada w wywiadzie z „SZ” działaczka pokojowa Jutta Kausch.

W latach 80. XX w. polityka odstraszania NATO okazała się skuteczna. Już w grudniu 1987 r. ZSRR i USA zobowiązuje się do likwidacji wszystkich rakiet o zasięgu między 500 a 5500 km. W 1991 r. podpisany zostaje kolejny traktat o redukcji rakiet atomowych dalekiego zasięgu. Wyścig zbrojeń, zainicjowany przez Reagana, przyczynia się do upadku ZSRR.

Proces, który łamie dogmaty #MeToo

Aktor Johnny Depp oskarża swoją byłą partnerkę Amber Heard o zniesławienie z powodu artykułu, w którym określiła siebie jako ofiarę przemocy domowej



GORAN ANDRIJANIĆ

„**C**hcę prawdy, ponieważ zabija mnie myśl, że wszyscy ci ludzie, których spotkałem przez lata... że wszyscy ci ludzie myślą, że jestem oszustem”. W ten sposób gwiazda Hollywood Johnny Depp wyjaśnił, dlaczego pozwał swoją byłą partnerkę, aktorkę Amber Heard, o zniesławienie, żądając od niej 50 mln dol.

Do zniesławienia, jak twierdzi aktor, miało dojść w artykule, który Heard napisała dla „The Washington Post” w grudniu 2018 r. Tematem tekstu była przemoc domowa, a Heard opisywała w nim siebie jako jej ofiarę. „Miałam możliwość, aby doświadczyć, jak instytucje chronią mężczyzn oskarżonych o nadużycia” – napisała.

Nikogo nie wymieniła, ale jasne jest, że chodziło o jej o byłego męża. Depp i Heard rozwiedli się w sierpniu 2016 r., po kilku latach związku i małżeństwa, które trwało zaledwie półtora roku. Rozwód był brzydki, typowy dla Hollywood, z krzyczącymi nagłówkami tabloidów, oskarżający Deppa o agresywne zachowania.

Aktor zaprzeczył tym pomówieniom, mówiąc, że nigdy w życiu nie podniósł ręki na kobietę. Rozwód został sfinali-



zowany, obie strony wydały wspólne oświadczenie ugodowe z ustaleniem podziału pieniędzy. Potem jednak pojawił się komentarz Heard w „The Washington Post”.

„Dwa lata temu stałam się osobą publiczną doświadczającą przemocy domowej i poczułam pełną siłę gniewu naszej kultury wobec kobiet, które wypowiadają się na ten temat. Wyobraźcie sobie potężnego człowieka jako statek Titanic. Ten statek to ogromne przedsięwzięcie finansowe. Kiedy uderza w górę lodową, na pokładzie jest wielu ludzi, którzy desperacko chcą załatać dziury – nie dlatego, że wierzą w statek lub nawet o niego dbają, ale dlatego, że ich własny los zależy od tego przedsięwzięcia” – napisała Heard w artykule, nawiązując do Deppa.

Trzy dni po opublikowaniu artykułu Depp został poinformowany przez Disney Studios o odmowie kontynuacji „Piratów z Karaibów” z nim w roli głównej. Jest to jedna z najbardziej dochodowych serii filmowych Hollywood w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat (z łącznym zyskiem ok. 3,7 mld dol.). Jednym z głównych znaków rozpoznawczych serii jest właśnie postać pirata Jacka Sparrowa granego przez Deppa, która jest jego oryginalnym dziełem aktorskim. Wyrzucenie aktora z projektu było dla niego wielką artystyczną i komercyjną porażką.

Trzeba przyznać, że jeszcze przed niefortunnymi wydarzeniami z Heard kariera Deppa znajdowała się w pewnym kryzysie, a kilka jego filmów doświadczyło poważnych niepowodzeń artystycznych i finansowych. Jednak po oskarżeniu jego byłej żony w „The Washington Post” sytuacja aktora naprawdę zaczęła wyglądać jak katastrofa Titanica. Niewiele brakowało, aby Depp stał się kolejnym przykładem gwiazdy, której karierę, po

błędnych posunięciach, zrujnowało #MeToo, ruch przeciwko nadużyciom seksualnym i fizycznym w strukturach amerykańskiego przemysłu rozrywkowego. Oprócz słabego PR pojawiły się też problemy finansowe aktora.

W styczniu 2017 r. Depp pozwał The Management Group, swoją agencję menedżerską, twierdząc, że stracił 40 mln dol. z powodu ich złych decyzji. Aktor, którego fortunę w pewnym momencie szacowano na 650 mln dol., znalazł się na skraju bankructwa. Oczywiście były też problemy z uzależnieniem od narkotyków i alkoholu.

Dodatkowym ciosem był nieudany proces Deppa przeciwko „The Sun”. Brytyjski tabloid nazwał aktora „żonobijcą” (wifebeater), za co Depp pozwał gazetę. W październiku 2020 r. brytyjski sąd oddalił jego pozew, orzekając, że dziennikarz miał prawo nazwać aktora w ten sposób.

Cała sytuacja nie wyglądała zatem dobrze dla Deppa na początku procesu w stanie Wirginia (tu znajduje się adres serwera, z którego opublikowano artykuł Heard, więc tu odbywał się proces). Tymczasem Heard odpowiedziała na jego pozew własnym, domagając się odszkodowania w wysokości 100 mln dol.

TOKSYCZNE MAŁŻEŃSTWO

Po ponad trzech tygodniach procesu (w sumie potrwa sześć) sytuacja zmieniła się na korzyść aktora. I to z kilku powodów.

Przed wszystkim podczas procesu, który jest regularnie transmitowany w Court TV, a stamtąd do kilku innych stacji, można usłyszeć liczne nagrania rozmów między byłymi małżonkami. Podobno zostały wykonane przy ich obojętnej zgodzie, aby zarejestrować te kłótnie.

Miliony ludzi śledzących proces mogą w ten sposób zajrzeć do złego, dysfunkcyjnego małżeństwa przepełnionego agresją i rozpaczą. Ale jednocześnie poznać dużo szerszy jego obraz, który jest daleki od uproszczonej, czarno-białej wersji, w której jedna osoba jest zawsze ofiarą, a druga zawsze tyranem.

Podczas procesu wykazano, że Heard uciekała się do przemocy werbalnej, a często fizycznej. Obrażała męża, nazywając go „starym, grubym mężczyzną”, oskarżając o to, że jest „złym ojcem, który nie może być wzorem dla swoich dzieci”. Depp powiedział przysięgłym, że kilkakrotnie przemoc werbalna przeradzała się w przemoc fizyczną.

Najgorszy incydent miał miejsce w Australii, kiedy Heard rzuciła w Deppa butelką wódki, która się rozbila, odcinając mu czubek palca. Innym razem rzuciła w niego butelką i uszkodziła mu nos. Depp opowiedział również o sytuacji, kiedy Heard uderzyła go w twarz drzwiami do łazienki.

W pewnym momencie na rozprawie można było usłyszeć nagranie, w którym Heard, po przemocy wobec Deppa, mówi: „Powiedz światu, Johnny, powiedz im: ja, Johnny Depp, mężczyzna, ja też jestem ofiarą przemocy domowej. Tylko zobacz, ilu ludzi ci uwierzy lub cię poprze”.

Na innych nagraniach słyhać, jak Depp grozi swojej żonie. Mimo tych wszystkich gróźb aktor nadal twierdzi, że nigdy nie podniósł na nią ręki. Po pokazaniu w sądzie nagranych potajemnie wideo, w którym rozbija okulary w kuchni, Depp nadal zaprzeczał, że bił swoją żonę.

Małżeństwo Deppa i Heard było piekłem na ziemi dla obojga. Opinia publiczna może teraz słuchać opowieści o wspólnym zażywaniu narkotyków, które kończyły się rozpaczliwymi kłótniami. Zeznania na procesie malują obraz, w którym po początkowym krótkim okresie wspólnego szczęścia małżeństwo przekształciło się w toksyczny związek, który niszczył małżonków i wszystkich otaczających ich ludzi.

PERFEKCYJNA OFIARA

Tu jednak pojawia się kolejne pytanie, które dotyczy nie tylko gwiazd Hollywood, ale nas wszystkich. Czy w pewnym momencie Heard nie chciała wykorzystać dogmatów ruchu #MeToo, aby przedstawić siebie jako ofiarę w toksycznym związku i tym samym czerpać, przynajmniej pośrednio, korzyści dla siebie i swojej kariery? Większość faktów, o których mówi się teraz, była znana również w czasie pozwu Deppa przeciwko „The Sun”, ale wtedy nie miały one takiego rozgłosu.

Znany jest natomiast tekst Mary Wakefield z konserwatywnego magazynu „The Spectator”, komentujący nagranie, w którym Heard mówi Deppowi, że nikt nie uwierzy, że jest ofiarą.

„Dlaczego nie zaufaliśmy Johnny’emu Deppowi?” to tytuł artykułu, w którym Wakefield pisze:

„Po wysłuchaniu tego nagrania przestałam wspierać Amber Heard. Ona miała rację. Nikt nawet przez chwilę nie pomyślał, by uwierzyć Johnny’emu, nikt nie kwestionował jej wersji wydarzeń, nie dlatego że miała wygraną sprawę, ale dlatego że była kobietą”.

Dziennikarka przypomniała, że gdy latem 2016 r. Heard oskarżyła Deppa o przemoc, umieściła na Instagramie zdjęcie, na którym ma siniaka pod okiem. „Naprawdę nie było zbyt wielu dowodów, ale Amber wyglądała jak perfekcyjna ofiara przemocy w XXI w.: piękna, delikatna, odważna. Świat ją poparł, a każdego, kto choćby rozważał kwestionowanie relacji Amber z tych wydarzeń, szybko nazwałby mizoginem”.

Słowa brytyjskiej dziennikarki znów nabrały aktualności. W szczególności po tym, jak obrona Deppa próbuje wskazać, że nie ma dowodów na jego przemoc wobec Amber Heard. Natomiast pojawiła się ekspertyza psychologa, który stwierdził, że Heard cierpi na zaburzenie osobowości. I trudno się dziwić, że znalazła duży oddźwięk wśród obrońców Deppa.

Stało się już jasne, że proces ten zredefiniuje dogmaty #MeToo i po nim ten ruch nie będzie już taki sam.

PROBLEM DEPPA

Pomimo zeznań poprzednich żon, które wzięły Deppa w obronę (Vanessa Paradis, Winona Ryder), wiadomo, że nie jest on niewinny w całej tej historii. Lata uzależnienia od alkoholu i narkotyków dały się mu się we znaki i Depp nie jest już tym dżentelmenem, którym był kiedyś. Natomiast na pewno nie jest on łobuzem, który wykorzystuje kobiety. I którego „system” chciał chronić. A tak pokazywały go media wraz z żoną.

Eksperci prawni twierdzą, że Depp będzie miał trudności z wygraniem tego procesu. Ale jedno już udowodnił. Często zdarza się, że przemoc domowa nie ma nic wspólnego z płcią, ale z tym, że jesteśmy kruchymi istotami ludzkimi.



Bez murów i granic nie ma cywilizacji

To są zapory, które chronią tożsamość i tradycje. Ich zniesienie to wykroczenie, inwazja, utrata normy. O wiele bardziej szkodliwe od budowania murów jest wznoszenie wieży Babel

Z Marcellem Venezianim,
włoskim eseistą i pisarzem,
autorem kilkudziesięciu
książek, rozmawia
Włodzimierz Rędzioch

Dziś na Zachodzie mur stał się godnym potępienia symbolem nacjonalistycznych lęków, egoizmu i pogardzanej suwerenności. Bo przecież „trzeba budować mosty, a nie mury”.

Może warto jednak przypomnieć, jakie znaczenie miały granice i mury w historii ludzkości.

Marcello Veneziani: W historii miast, narodów i cywilizacji mury zawsze stanowiły ochronę, ogrodzenie zabezpieczające, gwarancję prawa, granicę między tym, co rodzime, znajome, obywatelskie, i tym, co obce. Mur symbolizuje bardziej włączenie niż wykluczenie, wolność i prawo, a nie ucisk i odmowę praw. Mury miejskie, granice

narodu, to symbole wyznaczające przestrzeń sakralną, rodzinną i lokalną. Otaaczały kościoły, klasztory, domy, mając je chronić od chaosu, ale też od mroźnych zim i złej pogody. Niesławne mury to te, które uniemożliwiają wyjście, np. mur berliński czy mury więzień. Nie są nimi natomiast mury, które uniemożliwiają wejście. Dlatego również, że do wejścia są bramy, drzwi, mosty, które służą właśnie temu, aby umożliwić regularne wchodzenie i wychodzenie.



Budowa zapory
na granicy
polsko-białoruskiej

Mogliśmy się o tym przekonać, gdy w zeszłym roku reżim Aleksandra Łukaszenki prowadził na Białorusi dziesiątki tysięcy ludzi z Bliskiego Wschodu, zmuszając ich do prób nielegalnego przekraczania granicy Rzeczypospolitej. Plany te zniweczyła zdecydowana reakcja polskich władz, które najpierw zatrzymały atak na granicę, a następnie postanowiły zbudować tam stałą zaporę. Unia, poproszona o wsparcie budowy muru, odmówiła jednak pomocy finansowej, a w światowych mediach rozpoczął się atak na Polskę „niewrażliwą na los migrantów”. Czy należy potępić uczucie lęku przed utratą dorobku własnej cywilizacji, stylu życia i tradycji z powodu masowych migracji

ludów o zupełnie innych obyczajach, wartościach i religiach?

Strach jest fundamentem powstania miasta, głównym powodem jego narodzin. Narodziny państw również opierają się na strachu, jak nauczają Hobbes i Machiavelli. Strach w tych przypadkach to nie ksenofobia, a tym bardziej nie nienawiść i pogarda wobec ludzkości, ale miłość wspólnoty, miasta, cywilizacji, zaczynając od własnej. Z uczucia tego wypływa troska o bezpieczeństwo, o ochronę tego, co jest w środku. W murze usankcjonowane jest również poczucie limitu, granicy. Jego zniesienie to wykroczenie, inwazja, utrata normy. Mury chronią tożsamość, chronią tradycję.

Kościół katolicki zawsze cenil patriotyzm, miłość do ojczyzny. Sam Jezus, posyłając swoich uczniów na misję, powiedział: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28,19), ukazując, że naród jest rzeczywistością naturalną, nie czymś przemijającym. Jeszcze niedawno Jan Paweł II podkreślał znaczenie miłości do ojczyzny, która nie stoi w sprzeczności z powszechną miłością do ludzi. Dlaczego więc ostatnio, również w niektórych kręgach katolickich, słowo „patriotyzm” jest cenzurowane?

Papież Jan Paweł II kochał ludzkość. Jednocześnie uważał miłość ojczyzny za zdrowe i pozytywne uczucie, które wcale nie jest sprzeczne z miłością do ludzkości, ale stanowi konkretną formę miłości – to droga miłowania, ale według stopni, zaczynając od najbliższych. Słowo „naród” wywodzi się etymologicznie ze słowa „natio”, tzn. narodzenie, a zatem dotyczy naturalnego poczucia przynależności, tożsamości i odmienności. Patriotyzm nie jest więc uczuciem nienawiści do obcokrajowców, ale jest solidarnością z tymi, których łączą te same naturalne więzy języka, bliskości, wspólprzynależności do kultury, cywilizacji, również tej prawnej, tradycji i religii.

Ci, którzy potępiają ideę murów, uważają, że w dzisiejszym świecie nie powinno być „zewnątrznych” wrogów, bo wszyscy jesteśmy braćmi. Czy to jednak nie jest zbyt idealistyczne spojrzenie na naszą rzeczywistość?

Jeśli ztratimy różnicę między miejscowym a obcym, to wszyscy nie staną się przez to braćmi i rodakami, bo nikt nie powinien zostać pozbawiony tego, co mu właściwe. Żaden kosmopolityzm, jak nauczali nas pisarze, tacy jak Dostojewski czy Leopardi, nie prowadzi do miłości wszystkich ludzi, ale do samotności jednostek w świecie. Ci, którzy kochają ludzkość w sposób abstrakcyjny, nienawidzą lub są obojętni na tych, którzy są im bliscy, mieszkają obok nich, czasami połączeni z nimi więzami życia, krwi i ziemi. Humanitarny idealizm w praktyce staje się z czasem cynizmem. W społeczeństwie globalnym nie ma ludzi – są tylko atomy, które straciły więzi społeczne.

Alternatywą dla cywilizacji granic i murów ma być społeczeństwo otwarte. Jakie punkty odniesienia może mieć człowiek bez ojczyzny, obywatel świata?

Spółeczeństwa otwarte nie są wspólnotami i na dłuższą metę nie są nawet społeczeństwami, lecz skupiskami obcych sobie jednostek, które doświadczają całkowitej samotności, jak to się już dzieje w zatamizowanym społeczeństwie. Dialog, konfrontacja mogą zaistnieć między różnorodnymi tożsamościami, a nie między „niczkościami”. Bez granic, bez ojczyzn, bez tradycji jest się na łasce transnarodowych potęg globalnych. Jeśli ludzie nie są obywatelami, patriotami, ojcami, żonami, dziećmi, stają się tylko konsumentami, użytkownikami, masami wykorzystanymi przez towarowe i użyteczności chwili. Takimi ludźmi łatwo manipulować. Jak zauważyłem w mojej ostatniej książce „Kaptur. Krytyka teraźniejszości”, pandemia uczyniła społeczeństwo otwarte społeczeństwem ukrytym, zamaskowanym i sparaliżowanym zakazami, nakazami i ograniczeniami.

Jesteśmy świadkami procesu integracji europejskiej, jednoczenia się państw. Kraje, które nie akceptują federalistycznego projektu UE, co w praktyce oznacza scentralizowane superpaństwo z dominacją niemiecką, są piętnowane jako antyeuropejskie i nacjonalistyczne.

Unijne ośrodki władzy walczą z nimi wszelkimi środkami, nawet łamiąc traktaty założycielskie UE. Czy w takiej sytuacji w Europie możliwe jest zachowanie minimum suwerenności i tożsamości narodów?

Myślę, że jedynym rozwiązaniem jest stworzenie Europy jako konfederacji ojczyzn i państw narodowych, w której wewnętrzne prawa i systemy każdego państwa pozostają suwerenne. Więc europejska musi być zapewniona przede wszystkim w odniesieniu do świata zewnętrznego. W obliczu globalizacji oraz przepływu towarów i migrantów. Do tego trzeba mieć wspólną europejską obronę, system ochrony gospodarczej, wspólną politykę energetyczną i środowiskową, a także europejską granicę, której musimy bronić. Innymi słowy, suwerenność państw narodowych musi pozostać w Europie, natomiast poza Europą konfederacja powinna działać w sposób jednolity, prezentując się jako podmiot zjednoczony, zwarty lub przynajmniej zgodny. Dziś dzieje się dokładnie odwrotnie i to jest przyczyną obecnej porażki Europy.

Księga Rodzaju mówi o wieży Babel, która z jednej strony jest symbolem „braterstwa” ludzkości i globalistycznych, kosmopolitycznych ambicji, z drugiej zaś wyzwaniem rzuconym Bogu. Niedawno zobaczyłem unijny plakat z wieżą Babel. Przypominałem sobie wówczas o Stefanie Zweigu, który w 1916 r. opublikował książkę „Der Turm zu Babel”. Opowiadał w niej o Europie, która może się stać placem budowy takiej nowej wieży – metaforą jedności narodów naszego kontynentu. Jaki projekt mają, według pana, dzisiejsi budowniczowie UE?

Wieża Babel była reprezentacją tego, co już Grecy nazywali „hybris”, czyli pychą. Była znakiem dumy, woli mocy, wręcz wszechmocy. Jest to o wiele bardziej szkodliwe niż mur. Wieża była symbolem tego, co później nazwano szturmem na niebo, prometejską próbą zastąpienia Boga człowiekiem i jego techniką. Języki są bogactwem,

należy zachować ich różnorodność. Różnice leksykalne i kulturowe wzbogacają ludzką i narody. Czym innym jest nadzieja na poznanie języków naszych sąsiadów, co zawsze jest pozytywne, a czym innym jest wymazanie kultur i bogactw językowych, zastępując je językiem basic, takim jak globish, czyli globalny angielski, lub innymi formami esperanto, sztucznymi językami narzucanymi z góry.

Jeśli zatraci się różnicę między miejscowym a obcym, to wszyscy nie staną się dzięki temu braćmi i rodakami, bo nikt nie powinien zostać pozbawiony tego, co mu właściwe. Żaden kosmopolityzm nie prowadzi do miłości wszystkich ludzi, ale do samotności jednostek w świecie

Trudno za anty-Europejczyka uznać papieża Franciszka, ale to właśnie on wypowiedział niedawno bardzo ostre słowa krytyki pod adresem UE. Porównał wręcz podejmowane przez Brukselę próby wyeliminowania chrześcijaństwa ze Starego Kontynentu do działalności poprzednich reżimów, które próbowały to zrobić, takich jak napoleoński, nazistowski czy komunistyczny. „Unia Europejska musi przyjąć ideały ojców założycieli. Były to ideały jedności, wielkości. Unia musi uważać, by nie otwierać się na kolonizacje ideologiczne. Może to doprowadzić do podziału krajów i upadku



Unii Europejskiej. Unia Europejska musi szanować każdy kraj zgodnie z jego strukturą wewnętrzną. Szanować różnorodność krajów, a nie je ujednolicać”. Bardzo mocne słowa. Czy skłonią rządzących w UE do refleksji?

Niestety dotychczas pontyfikat Franciszka charakteryzował się zerwaniem z cywilizacją europejską, powiedziałbym nawet, z cywilizacją chrześcijańską, w imię gościnności i uniwersalnego filantropizmu. Franciszek zerwał ze swoimi poprzednikami, począwszy od dwóch ostatnich papieży, Jana Pawła II i Benedykta XVI, stawiając się w perspektywie trzecioświatowej i humanitarnej. Trzeba jednak przyznać, że ostatnio bronił rodziny, przyrostu naturalnego i korzeni chrześcijańskich, ale zrobił to po raz kolejny bardziej z pozaeuropejskiego punktu widzenia niż z perspektywy cywilizacji europejskiej. Problem polega na tym, że papież potępia Europę i Zachód, ponieważ utożsamia je z kapitalizmem, egoizmem i globalnym rynkiem. Prawdopodobnie sensem papieskiego przypomnienia o uniwersalnym braterstwie jest wyrzeczenie się europejskich elit odwołania do Boga Ojca Wszechmogącego i Jego Syna Jezusa Chrystusa. Wszyscy jesteśmy braćmi w Ojcu, a nie w imię ogólnego, egalitarnego i humanitarnego kosmopolityzmu. Każde braterstwo, które

zapomina o ojcu, przetrada się w bratobójstwo. Bez Boga i cywilizacji, która powstała w Jego imieniu w Europie i na świecie, braterstwo pozostaje egalitarne, socjalistyczne, maońskie lub humanitarne.

Marcello Veneziani, włoski publicysta, eseista i pisarz, stały komentator telewizji RAI, jeden z czołowych intelektualistów włoskiej prawicy, autor kilkudziesięciu książek, m.in. o globalizacji, poprawności politycznej czy Pokoleniu '68.

K

ULTURY

*Mateusz Krzykała
jest piątym zwycięzcą
polskiej edycji „The Voice
Kids”. Teraz marzy
o Eurowizji Junior.
Czy wygra na niej
jak Roksana Węgiel
i Viki Gabor?*

Do trzech razy sztuka



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Mateusz – jak sam o sobie mówi prawie czternastolatek – przypomina trochę brytyjskiego aktora Eddiego Redmayne’a. Tego, który zdobył Oscara za rolę Stephena Hawkinga w „Teorii wszystkiego” (2014), a od kilku lat łowi w hollywoodzkich produkcjach „Fantastyczne zwierzęta” (jako Newt Scamander, bohater wymyślony przez J. K. Rowling). Za sprawą okularów budzi też skojarzenie z najważniejszą postacią stworzoną przez brytyjską pisarkę – samym Harrym Potterem.

ZATOPIONY W MUZYCE

Od początku piątej edycji „The Voice Kids” Mateusz wyróżnił się na tle pozostałych uczestników. Był inny. Pozornie nieporadny, żyjący we własnym świecie i zatopiony muzyce, jednak doskonale wiedział, po co przyszedł do programu.

Na scenie czuł się znakomicie. I choć jego wykonania nie zawsze były perfekcyjne ani też idealnie nie odwzorowywały oryginalnych wersji, to jednak zapadały w pamięć. Jak zaprezentowany na etapie przesłuchań w ciemno utwór Toma Grennana „Little Bit of Love” czy zaśpiewana w finale, piekielnie wymagająca wokalnie, ballada Adele „Easy on Me”.

Mateusz wykonywał ją na własnych zasadach i podbił serca głosujących na zwycięzcę widzów. Zdobył statuetkę „The Voice Kids”, 50 tys. zł i szansę na snucie dalszych artystycznych planów. A oznacza to, jak mówi sam zainteresowany, rozwijanie muzycznej przygody, poznanie wielu ciekawych osób i możliwość występu na dużo większych scenach niż telewizyjna. Zwłaszcza przed widownią Eurowizji.

PRZYGODO, TRWAJ

Gdy pojawił się na przesłuchaniach w ciemno, deklarował, że przyszedł do programu, by się przetestować. Spraw-



Fot. Jan Bogacz/TVP

dzić, jakie ma szanse, aby stać się najlepszym dziecięcym głosem w Polsce.

Po finale, już ze statuetką w ręce, mówił: – Kiedy rodzice wysyłali moje zgłoszenie na casting do „The Voice Kids”, przez myśl mi nie przeszło, że zajdę w programie tak daleko, a co dopiero, że zostanę zwycięzcą piątej edycji show. To, jak się czuję jako zwycięzca, jest nie do opisania. Wspominam wszystkie etapy. Jak długo się do każdego z nich przygotowywałem i jak po każdym zostawałem w coraz mniejszym gronie. Czuję smutek, że to koniec przygody. Będę tęsknić, ale wiem też, że prawdziwa przygoda dopiero przede mną.

SZCZĘŚLIWA TRÓJKA

Na każdym etapie Mateusza wspierali bliscy. Poza otwartymi na marzenia syna rodzicami, także dwóch braci: starszy (o minutę) Kuba i młodszy (o minutę) Dominik.

Czy bycie trojaczkiem rozkłada na trzy osoby stres, a może go trzykrotnie wzmacnia? – Jak jesteśmy razem, nie potrafię się skupić, ale też ich obecność to wielkie wsparcie – podkreśla Mateusz.

Kuba zapewnia: – Wierzyłem, że Mati wygra. W końcu to mój młodszy brat. Przez wszystkie występy trzymałem za niego kciuki.

Dominik dodaje: – Jak usłyszałem głosy walczących w finale Alicji i Mai, zrozumiałem, że to będzie walka na najwyższym wokalnym poziomie. Mnie by nerwy puściły, ale Mati dał radę. Jestem dumny z brata, bo wiem, ile na coś takiego czekał.

W dwóch poprzednich edycjach Mateuszowi nie udało się dostać do „The Voice Kids”. Trzecie podejście zakończyło się spektakularnie: pokonał ponad 3 tys. uzdolnionych dzieciaków, które zgłosiły

się do programu, i wygrał całość. Wydaje się, że wspierany przez najbliższych będzie potrafił nie tylko udźwignąć swój sukces, ale i pójść z nim dalej.

WŁASNĄ DROGĄ

Pochodzi z ciekawej wrocławskiej rodziny. Jak już wspomnieliśmy, jest środkowym z trojaczków. Bracia (siódmo-klasiści) fizycznie są do siebie podobni, różnią się jednak zainteresowaniami. Pasją najmłodszego Dominika jest sport, zwłaszcza piłka, Kuba przejawia talenty kulinarne, a Mateusz śpiewa. I to od najmłodszych lat.

Tata chłopców, Jacek Krzykała – były koszykarz zespołu Śląsk Wrocław, obecnie szkoleniowiec drużyny – wspomina, że Mateusz już jako 5-latek zaczął przejawiać artystyczne zainteresowania. Rozwijały się one naturalnie poprzez śpiewanie w chórze, granie na gitarze i pianinie, zajęcia wokalne.

Mama Małgorzata podkreśla, że syn sam zapracował na swój sukces. – To jego talent, jego upór, jego praca. My tylko go wspomagamy.

Dla obojga rodziców najważniejsze jest, by Mateusz szedł własną drogą, był szczęśliwy, rozwijając swoją pasję, i nie zagubił naturalności, jaką dziś ma w sobie.

* * *

Od programu „The Voice Kids” zaczęła się droga do sukcesu zwycięzcy Eurowizji Junior Roksany Węgiel i Viki Gabor oraz laureatki drugiego miejsca Sary Egwu-James. Nie udało się zaistnieć poza krajem niezwykle utalentowanemu Marciniowi Maciejczakowi. Może Mateusz Krzykała wygra najbliższą edycję Eurowizji Junior? W końcu trójka wydaje się dla niego szczęśliwą cyfrą.



Dzieła plastyczne, obrazy, grafiki, plakaty, instalacje tworzone po ogłoszeniu stanu wojennego powstawały głównie poza oficjalnym obiegiem. Wyrażały ciężar czasu, sytuację polityczną i manifestowały poczucie wolności. Można je oglądać w Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie. Wystawa potrwa do 5 czerwca br.

Wystawa „Nie ocenowano” to przegląd zjawisk kulturalnych z okresu stanu wojennego aż do końca istnienia PRL. Głównie obrazów i sztuki wizualnej. – Wyrażała się ona nie tylko w akcie tworzenia, lecz również dialogu ze społeczeństwem. Poprzez wolną sztukę wobec wolnego człowieka – tłumaczy Tadeusz Boruta, kurator wystawy, a także malarz i krytyk. Sztuka niezależna działająca poza obiegiem oficjalnym funkcjonowała już przed powstaniem Solidarności w 1980 r. – Była to głównie gra z cenzurą, nie zaś oficjalny bojkot – mówi Boruta. Stan wojenny zaostrzył kurs polityczny, wzmagając cenzurę i szykanując twórców, zwłaszcza po zawieszeniu, a potem likwidacji przez władze Związku Polskich Artystów Plastyków. Zrzeszał on niemal całe środowisko, a jego legitymacja uprawniała do zakupu np. materiałów plastycznych. ZPAP przyznawał też pracownię, decydował o zakupach dzieł do muzeów i galerii.

Stan wojenny wywołał w tym środowisku pewien odruch moralny i obywatelski. W kwietniu 1982 r. wystosowano apel „Głos, który jest milczeniem”, w którym uznano za nieetyczny udział w oficjalnych wystawach organizowanych przez instytucje państwowe zarówno w kraju, jak i za granicą. Po prostu wielu artystów nie wyobrażało sobie swojej działalności w oficjalnym obiegu. Ich bojkot polegał na niewystępowaniu, niepublikowaniu i nieprezentowaniu swoich prac w instytucjach i mediach PRL.



MACIEJ WALASZCZYK

– Zwłaszcza po papieskiej pielgrzymce w 1983 r. nikt nie chciał wstępować do nowych organizacji licencjonowanych przez władze, a poza tym wzięliśmy w swoje ręce odpowiedzialność za swoje życie i stworzyliśmy alternatywny obieg – tłumaczy kurator.

Chodziło o szukanie niezależnych od komunistycznych władz i od stosowanej przez nich cenzury form dzielenia się ze społeczeństwem

swoją twórczością. Zaowocowało to olbrzymią liczbą niezależnych wystaw, w których uczestniczyło ok. 1,7 tys. twórców, powstaniem kilkudziesięciu galerii przykościelnych, drukowaniem plakatów i towarzyszących wydarzeniom katalogów oraz pism krytycznych, organizowaniem licznych sesji naukowych. Niezależny ruch wystawienniczy łączył w jedno polityczny protest i religijno-społeczne odniesienie z twórczym poszukiwaniem formy plastycznej.

Wystawy odbywały się na strychach, w pracowniach, garażach lub po prostu w prywatnych mieszkaniach. Ich zasięg był początkowo ograniczony do grona osób wtajemniczonych. Jednak większość twórców, mając poczucie solidarności ze społeczeństwem, szukała miejsc wystawienniczych otwartych dla każdego. Dlatego wydarzenia artystyczne w kościołach realizowano na dużą skalę przy obecności masowej publiczności. Co ciekawe, stanowiły one realną konkurencję dla oficjalnych instytucji wystawienniczych. Plastycy często zabierali się także do tworzenia szopek bożonarodzeniowych i grobów pańskich



w czasie Wielkanocy. W 1984 r. na dziedzińcu kościoła św. Stanisława Kostki w Warszawie Jerzy Kalina urządził najbardziej wstrząsający w wymowie żłobek. Dzieciatko było położone w wypełnionym sianem bagażniku starego fiata – takiego, w jakim przewożono uprowadzonego ks. Jerzego Popiełuszkę.

Możliwość wystawiania w przestrzeni świątyni spowodowała częstsze nawiązywanie przez twórców do symboliki chrześcijańskiej. – To były nasze oazy wolności. Tam spotykaliśmy się, dyskutowaliśmy. Czuliśmy się naprawdę wolni. Dawał nam to wszystko Kościół, a wraz z nim fundament wartości, na których staliśmy – wspomina Tadeusz Boruta. Sala zatytułowana „Znak krzyża” nawiązuje do wystawy zrealizowanej w czerwcu 1983 r. w ruinach zniszczonego w trakcie powstania warszawskiego kościoła Miłosierdzia Bożego przy ul. Żytniej. Poza obrazami można tam zobaczyć także film dokumentalny z nagraniem spektaklu „Wzlot” poznańskiego Teatru Ōsmego Dnia. Wspomniana wystawa była jedną z najważniejszych w tym czasie manifestacji kultury niezależnej i spotkania Kościoła ze sztuką nowoczesną. Towarzyszyła ona drugiej pielgrzymce papieskiej do Polski.

W kończącym warszawską wystawę kuluarze zobaczyć możemy płótno z nadrukowanym zdjęciem instalacji „Ostatnia wieczerza”, zrealizowanej w 1983 r. przez wspomnianego już Jerzego Kalinę. Przysypane gruzem stół i krzesła symbolizują zagrożoną niebytem wspólnotę. Inne prace posługują się symboliką chleba, a sam „Wieczerzik” nawiązuje wprost do sztuki Ernesta Brylla pod tym samym tytułem. Po raz pierwszy wystawiony w 1985 r. w reżyserii Andrzeja Wajdy najpierw w ruinach kościoła przy ul. Żytniej, a potem w kościele św. Maksymiliana M. Kolbego w krakowskich Mistrzejowicach jest powszechnie uznawany za najważniejszą manifestację teatru niezależnego w latach 80. Jego ponowna inscenizacja miała miejsce w 2017 r. w Oratorium przy bazylice na Kawęczynskiej w Warszawie w reżyserii Krzysztofa Tchórzewskiego. Wspomniana wystawa krakowska zorganizowana została już cztery miesiące po zamordowaniu ks. Popiełuszki i nosiła tytuł „Przeciw złu, przeciw przemocy”. Była, jak pisał w katalogu jej kurator, „symbolicznym bukietem różnorodnych kwiatów, złożonych przez artystów na jego grobie”. Generalnie dzieła artystów, nie zawsze wierzących, nawiązywały do ikonografii chrześcijańskiej, ale wyrażały tematy społeczne. – Pokazywały człowieka współczesnego, odwoływały się do motywów pasyjnych, szukania nadziei w cierpieniu. Wyrażały ciężar czasu, sytuację polityczną – mówi Tadeusz Boruta.

W CSW Zamek Ujazdowski można zobaczyć prace kilku dziesięciu artystów, m.in. Teresy Murak, Zbigniewa Bajka, Mariana Kępińskiego, Piotra Młodożeńca, Jana Rylkego, Wiesława Szamborskiego, Jerzego Tchórzewskiego, Jerzego Kaliny, Jacka Sempolińskiego, Marka Sapetty. Ten ostatni był pomysłodawcą tzw. wystaw walizkowych. Wykonane przez plastyków małe lub

zminiaturyzowane repliki dużych prac były w walizce przenoszone na nieoficjalne wystawy prezentowane głównie w mieszkaniach prywatnych. Ale nie tylko. W jednej z sal tematycznych jest potężny fotos, jednej z takich ekspozycji, która w listopadzie 1982 r. była prezentowana na murach Cytadeli Warszawskiej.

„Wszystkie nasze dzienne sprawy” to tytuł wystawy zorganizowanej w 1987 r. w krężygankach klasztoru dominikanów w Krakowie. Dzieła tam pokazane przedstawiały egzystencjalną kondycję człowieka i sceneryjny dzień codziennego PRL lat 80. Ze słynną instalacją „Dzień dobry” Jerzego Kaliny ukazującą korytarz bloku mieszkalnego (zielone linoleum klatki schodowej), gdzie pod drzwiami wejściowymi do mieszkań ustawione są butelki mleka. „Priwiet z Jałty” Jana Rylkego ukazuje Stalina, Roosevelta i Churchilla w czasie konferencji jałtańskiej, pod których butami leży białoczerwona flaga. Nawiązujący do młodopolskiej symboliki autoportret „Duszo” Leszka Sobockiego pokazuje mężczyznę w czerwonym kostiumie, człowieka ujętego w pozę odczuwającej zaduch. Jego postać skąpana jest czerwieni sięgającej mu po szyję.

Dla kontrastu w innym miejscu seria fotografii dokumentujących happeningi wrocławskiej Pomarańczowej Alternatywy z końca lat 80. wraz z filmem na jej temat. Dokument pokazuje bezradność oddziałów milicji wobec szalejących po ul. Świdnickiej tłumów młodzieży przebranej za krasnoludków lub czerwonoarmistów. Na wystawie spotykamy też prace artystów, którzy wybrali formę agresywnej ekspresji. W sali „Wściekły pies na zielonym tle”, poza tytułowym obrazem Pawła Kowalewskiego z 1982 r. (pies jest oczywiście czerwony), zobaczymy m.in. monstrualnych „Zdobyców Moskwy” Zbigniewa Macieja Dowgiałły. Obraz z kobietami strzelającymi do czerwonych postaci z karabinów maszynowych po raz pierwszy pokazano w 1987 r. na wystawie „Co słyhać”, zorganizowanej w dawnej Fabryce Norblina w Warszawie.

– Maluję obrazy walki. Chciałem w ten sposób pokazać, że nadchodzi ich koniec, że to koniec komunizmu, którego autentycznie nienawidziłem i z którym walczyłem – tłumaczy malarz, który jest też autorem obrazu „Smoleńsk” powstałego już po 2010 r. – Mnie nie chciano wystawiać już po 1991 r. Lewacy przejęli wszystkie galerie. W żadnym muzeum mnie nie wystawiano – mówi Dowgiałło.

Dochodzimy do miejsca, w którym trzeba powiedzieć, że nieoczekiwanie grupa 12 plastyków odmówiła wystawienia swoich prac na tej ekspozycji. Powodem nieoficjalnym jest ich bojkot, tym razem demokratycznie wybranych władz Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski. Piotr Bernatowicz, dyrektor tej placówki, tłumaczył w specjalnie wydanym oświadczeniu, że to pochodna emocji politycznych, które dzieli polskie społeczeństwo. „Rozumiem te emocje, sam przecież jako obywatel mam swoje poglądy polityczne, natomiast nie zgadzam się na to, by spoglądać na sztukę, zwłaszcza minionych dekad, przez ich pryzmat” – wyjaśnił.



ROZMOWA

Mieliśmy dosyć pozorów wolności

W stanie wojennym plastycy odmówili wystawiania swoich prac w państwowych galeriach. To była świadoma odmowa układania się z władzą. Byliśmy zdesperowani, bo mieliśmy świadomość, że w takim stanie obłudy, kłamstwa, pozoractwa, bylejakości nie można dalej żyć

Z Jerzym Kaliną, rzeźbiarzem, scenografem, twórcą instalacji, jednym z pierwszych performerów w Polsce, rozmawia Maciej Walaszczyk

Po co jest ta wystawa w CSW Zamek Ujazdowski?

Jerzy Kalina: Co za pytanie? To przecież 13 grudnia 1981 r. junta Jaruzelskiego przerwała Kongres Kultury Polskiej. Należało przywrócić pamięć, przerwać milczenie o tym, czym był ten czas dla środowiska twórczego. Pewnie można zapytać, po co są muzea, np. powstałe po wielu latach Muzeum Powstania War-

szawskiego czy Muzeum Katyńskie, w którym jestem autorem narracji merytorycznej i plastycznej. Tamten czas miał być wykluczony ze świadomości społecznej, obiektywnego, historycznego opisu. Na Zamku Ujazdowskim mamy głównie prace plastyczne, choć na pewno warto byłoby pokazać, co w tym czasie działo się też w filmie, teatrze, muzyce. Jest tego naprawdę pokaźna ilość,

to bardzo interesujący świat, który opisuje naszą współczesną historię i walkę o niepodległość oraz o Solidarność. Istniało bardzo wiele grup, środowisk, często wcześniej zwalczających się co do tendencji artystycznych, które w tamtym czasie zawiesiły spory.

Ówczesna odmowa wystawiania, bojkot artystów miały swoje



konsekwencje życiowe? To było świadome usunięcie się na margines?

Wielu nie mogło ani nie chciało oficjalnie pracować. Wielu artystów, ale i dziennikarzy, recenzentów po prostu zajmowało się czymś innym, np. jeździł taksówkami, inni rozpoczynali działalność chałupniczą. Ale mieliśmy świadomość, że nasz protest nie będzie jałowy, nie było taniego triumfalizmu ani zewnętrznego obnoszenia się z nim. W nas zachodziły wewnętrzne i duchowe przemiany, także religijne.

W 1982 r. reżim Jaruzelskiego w czasie stanu wojennego rozwiązał Związek Polskich Artystów Plastyków. To historia sprzed 35–40 lat. Czy nie jest trudno zrozumieć te obrazy, plakaty, instalacje, nie znając kontekstu ani realiów?

Stan wojenny jest tu oczywiście cezurą, ale nie w wymiarze takim, jak na zdjęciu spod warszawskiego kina Moskwa z reklamą filmu „Czas apokalipsy” i stojącym przed nim transporterem opancerzonym. ZPAP został zawieszony, potem rozwiązany. Był to skutek oporu środowiska plastyków wobec pewnych podchodów, by zbudować w ramach „nowej rzeczywistości” i zrzeszyć nas w organizacji nowej i kontrolowanej przez władzę. Nasz bunt narastał wcześniej. Mój kolega, już nieżyjący Jerzy Zieliński [Jerzy Ryszard Zieliński – przyp. red.], w tamtym czasie, ale jeszcze przed stanem wojennym namalował obraz „Chce mi się wyć”. Podobny motyw krzyku pojawia się także w słynnych obrazach i grafikach Muncha, Bacona, Goi. Adam Myjak stworzył cały cykl rzeźb-głów, które krzyczą, które są okaleczone. Żyliśmy całe dekady w pozorach wolności, których mieliśmy dosyć. Stan wojenny był tylko pewną kulminacją, granicą, momentem przesilenia, który musiał nastąpić. Jednak przez cały wcześniejszy okres żyliśmy w państwie, które nam narzucono, w systemie,

w którym kłamstwo dominowało w różnych sferach życia. Już nie chcieliśmy się ugiąć, wchodzić w układy.

A co wydarzyło się po 13 grudnia? Co w waszym buncie było najważniejsze?

Myśmy się przez stan wojenny określili w twórczości, w kulturze i jej wszystkich dziedzinach i przejawach. Artyści wizualiści wypowiedzieli się na temat wolności, agresji, zniewolenia, niepodległości, samostanowienia. To była świadoma odmowa układania się z władzą. Byliśmy zdesperowani, bo mieliśmy świadomość, że w takim stanie obłudy, kłamstwa, pozorantwa, bylejakości nie można dalej żyć. W epoce gierkowskiej byliśmy zalewani propagandą sukcesu, owszem rzucono nam kilka ochlapów cywilizacyjnych, mieszkanie w bloku, możliwość kupna cytryn i pomarańczy z samochodu 1 maja. Takie erzace normalności, które zresztą są wyrażone w kilku obrazach przedstawionych na tej wystawie. Chcieliśmy jednak przywrócić wagę pewnych słów bez popadania w patos, ale słowa straciły wtedy swoje znaczenie, choćby takie jak: Bóg, Honor, Ojczyzna. Słowa podstawowe, które zostały wykpione. Ma to dziś zresztą swoją kontynuację. Ale to właśnie w tamtym czasie mój profesor Stefan Gierowski maluje cykl obrazów „Dekalog”.

Poza tym istniała oficjalna cenzura. Jak ingerowała w sztuki plastyczne?

Cenzura istnieje zawsze. W czasach PRL ingerowała, ale z czasem na wiele rzeczy przymykała oko. Niekiedy była po naszej stronie, wobec plastyków nie była tak zamordystyczna. Na pewno w o wiele gorszej sytuacji znajdowali się pisarze i filmowcy. Nas traktowano z przymrużeniem oka jako bardziej bezpiecznych, takich dziwnych. Dzisiaj istnieje cenzura środowiskowa, która zastąpiła tamtą urzędową.

Niestety część autorów domagała się wycofania ich prac z wystawy „Nie oceniano” zorganizowanej w CSW. Jak pan to skomentuje?

Są twórcy, których teraz uwiera demokratycznie określona rzeczywistość. Rezygnują więc z udziału w wystawie z artystami, z którymi w latach 80. współpracowali. Czuję w tym momencie, że żyłem i obcowalem z rozpaczliwie śmiesznymi ludźmi.

Robią po prostu to, co lewica zachodnia, która po skolonizowaniu i przejęciu państwowych instytucji kultury stosuje metody bardzo bezwzględne.

To wręcz tragikomiczne, że w tej chwili ci sami artyści, którzy walczyli z cenzurą, walczą sami z sobą i wykluczali się z wystawy tak ważnej dla historii współczesnej Polski, na własne żądanie. Tymczasem jesteśmy zobowiązani dać świadectwo prawdzie i mocno podkreślić, jak znaczące, niepodważalne było zaangażowanie Kościoła w tamtym czasie w przedsięwzięcia, które przeszły do historii kultury polskiej.

Wystawy odbywały się w kościołach.

Między innymi. Najważniejszą z nich była zorganizowana w 1983 r. wystawa „Znak Krzyża”, której inicjatorami byli Janusz Bogucki i Nina Smolarz. To najgłębsze i najważniejsze osiągnięcie tego czasu.

Dlaczego?

To był ten rodzaj napięcia, który powoduje wyjątkową komunikację między ludźmi. To ważny, tak dla mnie, jak i chyba dla innych artystów, moment. Kościoły przecież nie są przystosowane do artystycznych ekspozycji. Ale tam właśnie powstawały przestrzenie tematyczne, bardzo dobrze przemyślane i przygotowane teoretycznie, dramaturgicznie, rozpisane od wejścia do wyjścia. Dla wielu ludzi, chodzi o szeroką publicz-

ność, był to wówczas pierwszy kontakt ze sztuką współczesną. Dla nas natomiast była to okazja do edukacji. Pamiętam wykłady w ośrodku dla ociemniałych w Laskach m.in. z dziedziny teologii i historii sztuki. Wtedy zresztą podjęto decyzję o zorganizowaniu wspomnianej wystawy „Znak Krzyża”. Z tym wiąże się właśnie kluczowa decyzja. Pierwotnie miała być ona eksponowana w pawilonie SARP przy ul. Foksal. Sprzeciwiłem się wtedy temu, bo skoro mamy zanegować oficjalne galerie, to poszukajmy kościoła. A nawet kościoła w budowie.

Skąd taki zamysł?

Jeśli „w budowie”, to znaczy, że się właśnie podnosimy. Wtedy fotografik i etnolog Mariusz Wieczorkowski podpowiedział, że jest taki kościół w Warszawie. Chodziło mu o remontowane po wojennych zniszczeniach mury kościoła pw. Miłosierdzia Bożego przy ul. Żytniej. Był on w tragicznym stanie, były to właściwie zgłiszcza, ruina niemal nietknięta od czasów powstania. Zaniemówiliśmy, bo nie lepszego dla nas być nie mogło.

Miało moc i wymowę symboliczną?

Genius loci tej świątyni był niezwykły. Jej proboszczem był ks. Wojciech Czarnowski, który odprawiał w niej co dzień mszę św., a my widzieliśmy, jak bardzo nam sprzyja i rosła w nas wiara, że stworzymy tu coś bardzo ważnego. Stan wojenny nasze środowisko skonsolidował, zbudował liczne więzi nieformalne, w przestrzeni zawisła inna aura. Tam mogłem zrobić to, co uważam za najistotniejsze, a co nazywa się ingerencją w przestrzeń zastaną.

Tam powstała słynna „Ostatnia wieczerza”. Jej wielkie fotos można zobaczyć w CSW.

W tej przestrzeni, gdzie znajdował się uporządkowany gruz, musiałem stworzyć wrażenie, że on wpada, wdziera się przez okna, zalewa stół „Ostatniej wieczerzy”. Nie ma tam już Chrystusa, jest pusto, pozostały tylko fragmenty obrusa, a na stole kartofle przysypane

kolorowymi pasami pigmentu. Dla mnie i chyba dla wielu Polaków kartofle w lupinacz to danie ostatniego ratunku przed głodem. Z gruzowiska wydobywała się biegnąca ku otworom okiennym biało-czerwona szarfa u góry rozerwana na dwa kolory i tworząca znak zwycięskiej litery V. W kościele odbywały się koncerty, w tym m.in. Stanisława Sojki, Przemysława Gintrowskiego, Andrzeja Mitana, i spektakle, w tym słynny „Wieczernik” Andrzeja Wajdy. Potem w wielu miejscach w Polsce powstawały podobne instalacje, łączące w sobie możliwie różne dyscypliny wizualne, zarówno w przestrzeni kościoła, jak i jego otoczenia.

Są twórcy, których teraz uwiera demokratycznie określona rzeczywistość. Rezygnują więc z udziału w wystawie z artystami, z którymi w latach 80. współpracowali. Czuję w tym momencie, że żyłem i obcowałem z rozpaczliwie śmiesznymi ludźmi

Między innymi w kościele parafialnym w Krakowie-Mistrzejowicach.

Chodzi tu o wystawę poświęconą pamięci ks. Jerzego Popiełuszki „Przeciw złu, przeciw przemocy”. Byłem twórcą narracji plastycznej tej wystawy autorstwa prof. Aleksandra Wojciechowskiego. Zaprojektowałem na nią instalację „Relikwiarz ks. Jerzego Popiełuszki”. Spotkał mnie również wielki zaszczyt zaprojektowania oprawy plastycznej pogrzebu ks. Jerzego w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie. Ks. prałat Teofil Bogucki zaproponował mi stałą współpracę, zwłaszcza że wygrałem

konkurs na grobowiec ks. Jerzego. Byłem zaangażowany z poczuciem pełnej odpowiedzialności za artystyczny ład przestrzenny kościoła i jego otoczenia, do którego przylgnęło określenie „żoliborskie Westerplatte”. Dla tego miejsca projektowałem i nadzorowałem wykonanie opraw plastycznych niemal wszystkich mszy za ojczyznę, świątecznych i rocznicowych. W 1984 r. przed kościołem powstał żłobek bożonarodzeniowy z Dzieciątkiem Jezus w bagażniku fiata 125p. W służbie ks. Jerzego pozostałem do „okrągłego stołu”.

Religijne wątki w pana twórczości były obecne już wcześniej?

W grudniu 1972 r. w galerii mieszczącej się w budynku Uniwersytetu Warszawskiego – późniejsza nazwa Galeria Repassage – zorganizowałem wigilię Bożego Narodzenia.

Jak to?

Zaprosiłem do udziału w akcji rytualnej „Wieczerza wigilijna” przypadkowych przechodniów. Na stole pojawiły się: chleb, woda, sól, wino, kartofle, cebula i jabłka. Nastąpiła adoracja chleba i stołu poprzez użycie kolorowych suchych pigmentów i zapalenie świec. Około północy rozeszliśmy się, część gości udała się na pasterkę.

Na wystawie „Nie ocenowano” pokazano jeszcze inną pańską instalację „Dzień dobry” z 1989 r. Szara rzeczywistość peerelowskiego blokowiska?

Istotnie, to gorzka refleksja nad monotonią poszarzonego, zdehumanizowanego środowiska wielkiej płyty. To przekleństwo komuny i jej beznadziejnej codzienności, w której witała nas pod drzwiami butelka mleka. Byłem blockerem, miałem długi korytarz z wykładziną PCV czy lastrykiem. Płyty z lastryka o wymiarach 2 x 1 m przykrywają wiele cmentarnych grobowców. Takie wymiary mają moje płyty z cynku. Z nich w 1984 r. powstała instalacja „Płyty pamięci”. Takie też wymiary mają drzwi w instalacji „Dzień dobry”, która ludzko przypomina więzienne ciągi korytarzowe.

Średniowieczna Antygona

Klasa: I; kaliber: 20–30 mm; typ handlowy: podłużne; kraj pochodzenia: Maroko. Nr partii: ECC: 0B216RO04316. Tak, oczywiście. Metka, pomidory.

Średniowieczna Antygona była donosicielką. Została świętą. Dziś dziesiątki tysięcy ludzi modli się za jej pośrednictwem o pomoc w sprawach bez nadziejnych. I modlitwa przynosi owoce: uwolnienie, pocieszenie, uzdrowienie. Oznacza to, że jest przy sercu Boga, że dobrze wybrała, donosząc. Kosmos, maszyna do wychowywania ludzi.

Dziś słowo wychowanie kojarzy się z opresją. Ciężka praca postmodernistów nad perwersją języka, potem robota menedżerów popkultury, celebryckich demiurgów, kreatorów idoli. „Another Brick in the Wall” i nienawidzimy szkoły. T. Rex i „Children Of The Revolution”, falseciki, pulpeciki, manekiny, cekiny.

A przecież każdy z nas jest jakoś wychowany, nie da się nie wychować. Jasiu, nie kop pana, bo się spocisz. Anarchizujące elity były w Europie już w XVI w. Wiem to, bo zainteresowałem się moim przodkiem walczącym z Habsburgami, protestanckim węgierskim księciem Mirko Thökölyem. Zasiane przez Lutra ziarno buntu, wielkiego NIE wykrzyzanego świata, prometejsko głupie odrzucenie sposobu, w jaki jest on przez Boga urządzony, ten dziecięcy sprzeciw kielkuje w narodach Europy od pięciu wieków. I mgłą powoli schodził w dół aż do familoków, miejskiego bloku, czworaków i XIX-wiecznej chłopskiej chaty.

Inteligentko zbuntowani rodzice Lechonia, Bóg – tak, Kościół – nie..., ach te spaseł klechy. I niech ktoś nie myśli, że bronię pysznych ludzi Kościoła świętego. Święci sami się obronią. Ale sprawy ducha rozstrzygają o naszym być czy nie być. A hierarchia wartości jest dzieckiem religii lub antyreligii.

W Polsce mamy gorący kult św. Rity, średniowiecznej Antygony. Margherita Mancini z domu Lotti żyła na przełomie XIV i XV w. Była prostą dziewczyną z małego miasteczka. Na życzenie rodziców poślubiła mężczyznę brutalnego i porywczego, który stał się powodem wielu jej dramatów. Znosiła to z anielską cierpliwością w całkowitym milczeniu. Męża Rity zasztyletowano w porachunkach zwaśnionych rodów. Jej synowie, z którymi już wcześniej miała potężne kłopoty wychowawcze, po śmierci ojca postanowili pomścić go zgodnie z pogańskim prawem wendety. Rita wielokrotnie usiłowała ich od tego odwieść, bezskutecznie. Bójąc się o zbawienie ukochanych synów, prosiła Boga, aby raczej zabrał ich ze świata, niż żeby mieli stać się mordercami. Bóg wysłuchał tej prośby. Jeden z synów zmarł podczas epidemii, drugi został zabity, stawiając opór przy aresztowaniu. Czy Rita złożyła donos na syna, nie wiemy na pewno. Ze znanych mi źródeł wnioskuję, że tak. Dziś jest patronką od spraw niemożliwych.

Średniowieczna Antygona donosi na syna. Walka idzie tutaj o duszę, już nie tylko o godność ciała ludzkiego, jak w przypadku sponiewieranej przez nowożytną szkołę bohaterki teatralnej. Nie chodzi o pokazanie wyższości prawa naturalnego nad prawem stanowionym. Nawet nie chodzi o to, że Sofokles, jako żywo, nie był chrześcijaninem, a rozeznał prawdziwą hierarchię wartości. Prawa hierarchia wartości jest więc czymś przedustawnym. Starszym od świata.

Średniowieczna Antygona wybrała dobrze. Dziś nazwą ją donosicielką. Pawka Morozow, te rzeczy. Shut up! Istnieje jedna prawdziwa hierarchia wartości. Fundamentem hierarchii z innego świata jest prawo naturalne. Epikur, sceptycy, Sokrates, Budda Siakjamuni,



ROBERT TEKIELI

kolejne przybliżenia na drodze do prawa i prawdy naszej cywilizacji. Cywilizacji katedr, szpitali i uniwersytetów. Najwyższego wzlotu ducha ludzkiego. A potem od czasów odrodzenia pogaństwa zjazd w kantyzm, maltuzjanizm, marksizm, postmodernizm filozoficzny czy tryumfujący singerowski utylitaryzm. Uspij niepotrzebnego staruszka.

No, a Budda, to jak Margherita Mancini z Cascia, człowiek z krwi i kości – Siddhartha Gautama z rodu Śakjów. Konkret. Szczerze i autentyczne dążenie do prawdy. A tu obraz piekielny: Margaret Sanger z Hitlerem klepią się po plecach, Peter Singer uśmiecha się, maszerując prawa, lewa pod sztandarem Stalina. Mao Tse-tung donosi do Czingis-chana na Pol Pota. Bóg wojny, książę tego świata, Dżamsran, krwawe bóstwa Azteków. Apocalypso Putina.

Prawdziwa nauka. Hierarchia wartości. Antygona znów wybrała dobrze. Oczywisty dziś skandal. Ale to prawdziwa nauka.

Małpia miłość matki przynosi tylko i wyłącznie cierpienie dziecka. Trzysta cięć żyłką na udach – to Julia, trzynastolatka, która przyjechała z matką po poradę do kościoła w Falenicy. Jesteśmy zawłaszczani. Sami siebie zawłaszczamy i próbujemy zawłaszczyć innych. Próbuje szukać mocy poza mocą Bożą, wokół siebie. Czy w ideologiach politycznych, czy w przekonaniach, teoriach socjologicznych, czy w herezjach, czy w woli mocy. Tak jak Putin i ci Rosjanie, którzy strzelają i filmują to, jak

strzelają i jak gwałcą. I jeśli pomyślisz sobie teraz: ale ja nie jestem jak ten Rosjanin, jaki ja jestem dobry, bo nie robię tego strasznego... już jesteś w pułapce. Tak samo jest ze społeczeństwami, narodami i episkopatami. Na przykład z heretyckim, niemieckim. Trzeba tym kapłanom, tym biskupom powtarzać oczywistości: „autentyczna wolność, jak naucza Kościół, jest wierna prawdzie i podporządkowana dobru i ostatecznie

świętości. Sumienie nie tworzy prawdy, sumienie nie jest też kwestią osobistych preferencji ani utwierdzania samego siebie. Właściwie ukształtowane chrześcijańskie sumienie pozostaje poddane prawdzie o ludzkiej naturze i normom sprawiedliwego życia tak, jak zostały one objawione przez Boga i nauczane przez Kościół Chrystusa. To Jezus jest prawdą, która nas wyzwala”. Tak pouczają o prawdziwej nauce biskupi

i kardynałowie synodalnych heretyków znad Renu.

Jest prawdziwa i fałszywa nauka. Aborcja, eutanazja, antykoncepcja to zło. Najważniejsze jest zbawienie duszy. Jeśli dojdziecie do wniosku, że to za trudne. Trudno. Tu nie da się ruszyć joty. Dzieci rewolucji posiały ziarno antyreligii w sercu naszej cywilizacji, naszej kultury. Mamy podążać drogą prawdy absolutnej. Po prostu Prawdy. 

WOJNA

CYWILIZACJI



POPKULTURA

Ważne

Mój Boże... teraz zajmuję się ewakuacją sierot z terenów walk na Ukrainie, dwa dni temu rozmawiałam z osobą, z którą współpracuję po stronie ukraińskiej. Opowiedziała mi o jednej ze swoich podopiecznych, zgwałconej 5-latce, po gwałcie na jej oczach zamordowano jej rodziców i resztę rodziny. Ona ocalała. Jest teraz bezpieczna. Przestała mówić. Jest w traumie.

Gniew, nienawiść, chęć odwetu... właśnie wracam ze spowiedzi. Są uczucia – prawdziwe, na które nie mam wpływu. Ale jest też rozum, który prowadzi do prawdy o miłości Boga do człowieka.

Chciałabym przyjąć. Mam nadzieję, że się uda. Dzięki za zaproszenie. DB

To odpowiedź naszej przyjaciółki na esemesa zapraszającego ją na imprezę mojego filmowego saLonu duchowego 44|44 w FilMOTECE Narodowej. Pisałem, że będzie to rozmowa o rosyjskiej duszy, o mentalności zwyczajnych Rosjan, którzy gwałcą, zabijają i torturują. Rosjan deklarujących z satysfakcją, że Polaków też nauczą „ruskowo mira”.

Mój ojczym w kwestii Putina jest zwolennikiem partii KBK AK 47. Zapowiedział, że przyjdzie zapytać najmądrzejszego człowieka, jakiego znamy, o Jacka Saliję, jak z Kochaniem mordercy można połączyć męski obowiązek zabicia agresora: w obronie ojczyzny, w obronie naszych kobiet i dzieci. Jak żyć z potworami szczęścia, czyli nawrócenia się do Jezusa Chrystusa.

Komentujące nasze wydarzenie, kremlowskie trolle tak piszą o Putinie: „Ten potwór zatrzymał covid, a przypomnijmy,

że Polski rząd odpowiada za 200 tys. zgonów »nadmiarowych«, jak to ładnie określa Wizjoner Zdrowia”. Rosyjskie algorytmy już nauczyły się czystej polszczyzny. Rosjanie zalewają nas czystym gnojem. A efektem ich wieloletniej pracy jest partia polityczna i krystalizujące się antypolskie ruchy społeczne składające się z autentycznych patriotów. Dziś wielu katolików nienawidzi papieża, czuje pogardę do imposybilnego/zamordystycznego polskiego rządu. A w ilu udało się wzbudzić paraliżujący lęk? Apokaliptyczne „objawienia”, wspaniali nieposłuszni kapłani poddani niesprawiedliwej opresji biskupów-masonów... Zadziwiająco skuteczna jest dezinformacja pompowana w net z Olgino...

Zorganizowałem tę imprezę, żeby powiedzieć Polakom, że nawet ludobójcy nie wolno nienawidzić i życzyć mu śmierci, i to nie tylko dlatego, że nienawiść niszczy nienawidzonego, a nie obiekt nienawiści. Pomagamy jak szaleni ukraińskim kobietom i dzieciom, bo tak zrobiłby Jezus z Nazaretu. Więc musimy być konsekwentni.

Mający być pretekstem do dyskusji film „Spaleni słońcem” Nikity Michalkowa – choć on sam, wspierając wojnę, zachowuje się jak padalec – jest prawdziwym obrazem zniewolenia rosyjskiego narodu. Rosjanie nie pozwolili na jego seans, uniemożliwiając nam zakup licencji. A mieli szansę pokazać światu, że ich filmy, muzyka, balet, że ich kultura są prawdziwym szukaniem piękna, dobra i prawdy. Że jest dla nich ziarno nadziei, mimo iż ten niewolniczy naród co rusz morduje i gwałci, by zdobyć nowe terytorium, bo jest pasożytem, bo sam nie potrafi się wyżywić.

Pomidory kaliber 20–30 mm. Ketchup z mózgu. Naćpani Putinem urodzeni mordercy. Naćpani wolą mocy. Nie możemy nienawidzić. Tego chcą funkcjonariusze cywilizacji, w której prawo i prawdę stanowi najsilniejszy. Na Ukrainie toczy się wojna sprawiedliwa. Racja absolutna jest po stronie Ukraińców broniących swoich kobiet i dzieci. Czy można zabić z miłością? Wielu seryjnych morderców pragnęło, by ich złapano.

Putina trzeba zastrzelić bez nienawiści. Toczymy na Ukrainie wojnę sprawiedliwą z narodem rzewnych potworów. Trzeba modlić się za morderców i gwałcicieli.

Robert Tekieli, Polskie Radio, saLon 44|44



Sam na sam z mrokiem

Ten serial niestety zniknął w natłoku premier. Szkoda, bo „Ostatnie dni Ptolemeusza Greya” są jedną z najciekawszych propozycji, jakie pojawiły się w ostatnich tygodniach na platformach streamingowych. Samuel L. Jackson w tym roku odebrał honorowego Oscara, ale to na małym ekranie stworzył rolę absolutnie wybitną.



73-letni aktor długo czekał na globalne zauważenie. Przyszło dopiero w 1994 r. wraz z przełomową rolą w „Pulp Fiction”. Wcześniej Jackson tworzył jednak wyraziste drugoplanowe role u Spike’a Lee, pojawił się w „Chłopcach z ferajny” Martina Scorsese’go i „Jurassic Parku” Stevena Spielberga. Od czasu przełomowego dzieła Quentina Tarantina (grał potem w prawie każdym jego filmie) Jackson zagrał w 150 filmach, które zarobiły łącznie 27 mld (sic!) dol.

Samuel L. Jackson stał się aktorem absolutnie kultowym i memicznym (w pozytywnym sensie tego słowa). Wypowiadane przez niego przekleństwo „mother f...r” weszło na stałe do popkultury. On zaś nie ma żadnych oporów, by grać zarówno w kameralnym kinie na podstawie sztuki Cormaca McCarthy’ego („Sunset limited”), tworzyć ikoniczne role w „Gwiezdnym wojnach” i uniwersum „Avengers”, jak i bawić się wizerunkiem w absurdalnych „Wężach w samolocie” czy „Bodyguardzie: Zawodowcu”. „Ostatnie dni Ptolemeusza Greya” są jednak dla niego wyjątkowym projektem.

Ptolemeusz Grey cierpi na alzheimera. Choroba postępuje w galopującym tempie. Ptolemeuszem opiekuje się jego siostrzeniec Reggie (Omar Benson Miller). Reszta rodziny odsunęła od siebie wymagającego wyjątkowej troski mężczyzny, który fizycznie jest silny, co w połączeniu z gasnącym umysłem daje nieraz wybuchową mieszankę. Nie przeszkadza to jednak niektórym członkom rodziny go okradać z cotygodniowych czeków, choć on żyje w coraz brudniejszym i zapuszczonym mieszkaniu w parzyswey części miasta. Wszystko się zmienia, gdy Reggie zostaje zastrzelony w tajemniczych okolicznościach. Opiekę nad Ptolemeuszem przejmuje córka zmarłej przyjaciółki jego siostrzenicy Robyn (Dominique Fishback). Tylko ona chce zająć się papą Greyem, choć nie jest z nim spokrewniona. Ona również doświadcza ciemnej strony rodziny Ptolemeusza, a wprowadzenie się do mężczyzny jest dla niej jedyną ochroną przed bezdomnością. W tym czasie Grey trafia na dr. Rubina (Walton Goggins), który proponuje mu eksperymentalną terapię alzheimera.

Streaming

Będący w dobrej formie fizycznej Ptolemeusz jest idealnym kandydatem. Gdy łyka tabletki, jego stan diametralnie się poprawia. Zagubiony, zarosnięty, brudny papa Grey zamienia się w Ptolemeusza, jakim był w przeszłości. Staje się błyskotliwym, sarkastycznym i silnym mężczyzną, który chce odnaleźć zabójców ukochanego siostrzeńca.

Tak mógłby wyglądać początek filmu akcji o jakimś samotnym mścicielu. W przeszłości Jackson tworzył przecież takie kreacje. Tutaj chodzi jednak o coś głębszego. Oparty na powieści Waltera Mosleya miniserialem jest poruszającym, pełnym empatii studium kruchości ludzkiej psychiki. Jest to też opowieść o wiozach krwi, platonicznej miłości, poświęceniu oraz problemach, jakich doświadczają ekonomicznie wykluczeni Afroamerykanie. Jest wielka aktorska chemia pomiędzy Jacksonem i Fishback. Ona odkrywa jego ogromną miłość do zmarłej żony, on widzi, jak strata matki odbija się na jej egzystencji. Oboje są żywiołami rozbitkami żyjącymi w wiecznej żałobie.

Jackson tworzy najbardziej złożoną rolę w karierze. Wciela się tutaj w zasadzie w dwóch różnych ludzi, choć mających jedno ciało. Podobną kreację stworzył w „Przebudzeniu” (1990) Penny Marshall Robert De Niro, który grał człowieka wybudzonego z katatonii. Ptolemeusz doświadcza „zmarłychwstania”, które może jednak potrwać krótko. Wszystko zależy od medykamentów. Ptolemeusz wie, że umysłowa mgła może go pochłonąć w każdej chwili. A jednak nie rzuca się na dany mu niespodziewanie dar. Poświęca niepewny czas na odnalezienie zabójców członka swojej rodziny. Rodziny, która go przecież odrzuciła w momencie najważniejszej próby.

To bardzo ważny projekt dla Jacksona, który miał bliską osobę chorą na alzheimera. Aktor przez dekadę pukał do różnych hollywoodzkich drzwi, próbując zrealizować projekt. Zielone światło dało mu w końcu Apple TV. Bałem się, że serial może okazać się popłuczynami po przenikliwym „Ojcu” (2020) Floriana Zeller’a z oscarową rolą Anthony’ego Hopkinsa. To jedyny film, który pozwala spojrzeć oczami chorego człowieka na to, czym są demencja i Alzheimer. „Ostatnie dni Ptolemeusza Greya” dopełniają tamtą opowieść, przerzucając jej ciężkość na inne obszary. „Ojciec” jest opowieścią o białej bogatej, inteligentnej, brytyjskiej klasie średniej. Ptolemeusz to przedstawiciel innej klasy społecznej w Atlancie, gdzie Afroamerykanom o wiele trudniej przetrwać w globalnym ekonomicznym systemie. Niemniej jednak wątek rasowy i klasowy nie przysłania tego, co jest tutaj najważniejsze. Nie przysłania spojrzenia na beznadziejną walkę, jaką z własnym umysłem prowadzić musi dotknięty Alzheimerem człowiek. Ostatecznie zostaje z otchłanią sam na sam. O tym jest ta przejmująca opowieść.

**„OSTATNIE DNI PTOLEMEUSZA GREYA”
SERIAL DOSTĘPNY NA APPLE TV+**



Hipnotyzująca podróż



Późno zrozumiałem, jak wybitnym i wyjątkowym reżyserem jest Michael Mann. W dzieciństwie byłem zapatrzony w jego serial „Miami Vice” (u nas jako „Policjanci z Miami”) oraz w „Crime Story”. Oba były przełomem w kryminalnych opowieściach z małego ekranu. Były dla mnie formatywne, choć raczej w ramach „telewizyjnej papki popkulturowej”, a nie filmowego dzieła sztuki. Dopiero oglądając jego „Gorączkę” (1995), gdzie pierwszy raz ekranowe starcie mieli dwaj giganci aktorstwa Al Pacino i Robert De Niro, zrozumiałem, z jak wielkim artystą kina sensacyjnego mamy do czynienia. „Informator” (1999) czy niedoceniony „Zakładnik” (2004) utwierdziły mnie w przekonaniu, że nikt w kinie sensacyjnym tak nie opowiada o „samotnych wilkach”, nieumiejących wpasować się w system. A przecież Michael Mann ma też na koncie wspaniałego „Złodzieja” z 1981 r. czy „Ostatniego Mohikanina”.

Nie wiem, czy spodoba się wam cały „Tokio Vice” (tytuł nieprzypadkowy), ale



na pewno polecam obejrzenie pierwszego odcinka, który wyreżyserował sam Michael Mann. Oparty na książce Jake’a Adelsteina serial opowiada o ciemnej stronie Tokio w latach 90. XX w. To Japonia, której dzisiaj nie ma. Japonia naznaczona percepcją Amerykanów rodem z „Między słowami” Sofii Coppoli. To Japonia z yakuzą, która też przeszła od tamtego czasu sporą reformę. Jest to jednak fascynujący obraz pracy młodego amerykańskiego dziennikarza Jake’a (znany z „Baby Driver”

Ansel Elgort), który jako pierwszy Amerykanin został zatrudniony w prestiżowym dzienniku „The Yomiuri Shim-bun”. Mimo że zdał arcytrudny egzamin, jest poniewierany przez gardzących nim zawodowo i rasowo Japończyków. Musi zdobyć ich zaufanie, bo pochodzi z dalekiego Missouri.

Wszystko się zmienia, gdy zaczyna współpracować z charyzmatycznym policjantem Hirotem Katagirim (Ken Watanabe) i wchodzi do hermetycznego gangsterskiego świata yakuzy. Są tutaj elementy amerykańskiego „buddy movie”, ale mają one inną perspektywę. Arogancja Amerykanina vs stoicyzm Japończyków. Kultura hostess i specyficznego macyzmu. W końcu zderzenie mentalności Zachodu i Wschodu – wszystko tutaj wybrzmiewa. Siłą „Tokio Vice” jest natomiast jego powolna narracja. Zupełnie inna od większości kryminalnych seriali z Hollywood. Może ona odrzucać, ale w zderzeniu z tym, jak wspaniale jest to nakręcone, mnie zaintrygowała i zahipnotyzowała.

„TOKIO VICE”

SERIAL DOSTĘPNY NA HBO MAX

The Rolling Stones tym razem nie w Polsce

*Legendarny zespół
szykuje się do trasy „Sixty”
na przypadające właśnie
60-lecie istnienia grupy.*

*Seria 14 koncertów
w 10 krajach Europy
zacznie się 1 czerwca
w Madrycie, a skończy
31 lipca w Sztokholmie*



ADAM CIESIELSKI

Tym razem tournée nie obejmuje Polski, gdzie Mick Jagger i spółka występowali pięciokrotnie. A wszystko zaczęło się od ich dwóch koncertów jednego dnia – 13 kwietnia 1967 r. w warszawskiej Sali Kongresowej.

Wizyta The Rolling Stones nie była pierwszym żywym kontaktem naszej widowni z zachodnim rock’n’rollem. Już w 1965 r. gościliśmy Cliffa Richarda z The Shadows, trasę po Polsce mieli także The Animals. Rok później oklaskiwaliśmy m.in. Gerry & The Pacemakers, The Artwood, Billy’ego J. Kramera & The Dakotas. Jednak to nie te zespoły, a owe dwa występy Stonesów najsilniej utkwiły w pamięci fanów.

Sam na tych koncertach nie byłem. Zafrapowany od młodości jazzem preferowałem Komedę, Namysłowskiego oraz amerykańskie gwiazdy na Jazz Jamboree. Owszem, lubiłem Beatlesów i Dylana, ale rock’n’rollowego bakcyła połknąłem do-

piero w 1969 r. w londyńskiej szkole językowej. Z czasem zaliczyłem dwa krajowe i tyleż zagranicznych występów Stonesów. 13 kwietnia 1967 r. jako początkujący wówczas dziennikarz „Życia Warszawy” miałem dyżur w redakcji. Nawet nie marzyłem o wejściu na występ Anglików, ale śledziłem to, co pisali o nim moi starsi koledzy po piórze.

Dzień po koncercie na dole pierwszej strony „Życia Warszawy” ukazał się reportaż zatytułowany „Mocne uderzenie... chuliganów” ilustrowany zdjęciami Jaggera przy mikrofonie oraz tłumu i milicji pod Pałacem Kultury. Autor podpisany CEN (pod tym skrótem krył się Czesław Nowicki, znany z łamów „Życia...” oraz z telewizyjnych prognoz pogody jako Wicherek) zaczął od opisu obłędu Kongresowej przed koncertami Anglików. Zauważył, że „...młodzieńcza ciekawość przerodziła się – widocznie pod wpływem kilkuset notorycznych chuliganów – w niepohamowaną agresywność, a nawet dziki wandalizm [...]”. Gdy poleciały kamienie i cegły, gdy zaczęto tłuc kłosze na kandelabrach wokół Pałacu i rozbijać szklane gablotki, milicja przeszła do energicznego kontrdziałania. W ciągu kilkunastu minut wokół Pałacu zapanował spokój i porządek. Dziesięciu najbardziej agresywnych, i jak się okazało, notowanych przez milicję chuliganów zostało zatrzymanych.

W tej pierwszej relacji o muzyce nie padło ani słowo. Oddał jej głos nazajutrz znany z ostrego pióra red. Andrzej „Ibis” Wróblewski w zamieszczonej w tym samym dzienniku recenzji zatytułowanej „Kolorowy beat”. „Występ zespołu The Rolling Stones należy do tych wydarzeń – waham się w wyborze określenia – jednak kulturalnych, o których będzie się długo pamiętać. Był to najciekawszy ze wszystkich zespołów mocnego uderzenia, które mieliśmy możliwość usłyszeć [...] Kolorowo, trochę po cyrkowemu ubrani członkowie zespołu są jednak doskonałymi instrumentalistami, a Mick Jagger



prezentuje obok ciekawego głosu, dużo wrodzonego wdzięku i walorów estradowych, że ich występ staje się interesującym i chwilami nawet zabawnym widowiskiem. Muzyka jest nasycona olbrzymim emocjonalizmem, przy czym nie bez znaczenia jest fakt, że The Rolling Stones mają potężnej mocy wzmacniacze, zdolne zagłuszyć i ogłuszyć salę”.

Wokół tych koncertów, będących dla Stonesów realizacją strategii zaistnienia za żelazną kurtyną, a dla naszych fanów okazją do posłuchania na żywo grupy światowej klasy, narosło wiele mitów. Jeden z nich, wedle którego zespołowi zapłacono wagonem polskiej Wyborowej, w niedawnej rozmowie ze mną zdementował Andrzej Marzec, znany impresario muzyczny, wcześniej wieloletni pracownik Pagartu – agencji, która w 1967 r. sprowadziła Jaggera i spółkę. Według niego kontrakt opiewał na 4 tys. dol. Z opcją połowy płatnej w złotych, jednak bez ich transferu na wódkę.

Sami Stonesi wywieźli z Warszawy chyba dobre wspomnienia, bo kilkakrotnie do nas wracali. W 1998 r. zagrali na Stadionie Śląskim, w 2007 r. na służewieckim torze wyścigów konnych, w 2018 r. na Stadionie Narodowym. Szkoda, że obecna trasa nie zahacza o Polskę. Nasi fani już rezerwują bilety na koncerty słynnych weteranów w Wiedniu, Monachium czy Sztokholmie.

1791–2022

231. rocznica Konstytucji 3 maja

SIECI
DODATEK HISTORYCZNY

WIELKIE reformowanie Polski



PARTNERZY DODATKU:



eprasa.pl 77ced6139f

„Naród nowy tworzyć trzeba”, czyli Stanisław August Poniatowski między Rosją a Prusami

Konstytucja 3 maja jest symbolem tego, że Polacy potrafili zatroszczyć się o poprawę i wzmocnienie swojej ojczyzny w trudnych czasach. Tymczasem Stanisław August dla wielu stał się symbolem klęski narodu pragnącego podnieść się z upadku. Władca, który próbował wzmocnić państwo, w czarnej legendzie, która go otacza, jest uosobieniem bierności i obojętności na los Polski, co jest niesprawiedliwym, a na pewno zbyt surowym obrazem jego postaci i panowania

Z prof. dr hab. Aleksandrą Skrzypietz

rozmawia Piotr Ślabek

Konstytucja 3 maja była „dzieckiem” króla. Ojciec szybko wyrzekł się jednak swojego potomka. Czy na pewno? Kim był Stanisław August Poniatowski, zanim został polskim monarchą? Kto wywarł największy wpływ na jego osobowość i poglądy polityczne?

Aleksandra Skrzypietz: Przyjmuje się, że odebrał wykształcenie zgodne z wyobrażeniami i modą połowy XVIII w., dosyć szerokie, ale ogólne. Podróżował po Europie, zapoznając się z polityką, jednak bez wchodzenia w szczegóły mechanizmów politycznych. Pełen ogłady umiał docenić wartość kultury i sztuki, a w przyszłości – jako monarcha – potrafił je wykorzystywać. Jego mecenat kulturalny nie budzi kontrowersji, jest postrzegany jednoznacznie pozytywnie.

Wydaje się, że na ukształtowanie młodzieńca wpływ miał angielski dyplomata Charles Hanbury Williams. Widząc w Poniatowskim potencjał, postanowił zostać jego opiekunem i mentorem, wprowadzając go w świat polityki i dyplomacji. Jako przedstawiciel Anglii działał na kilku dworach europejskich; dążył do zbliżenia między Anglią a Rosją, zdołał pozyskać przychylność wielkiej księżnej Katarzyny, przyszłej carycy. Poniatowskiego i Katarzynę połączył romans. Zrobiła na przyszłym królu wielkie wrażenie, gdyż mimo swej młodości umiała odnajdywać się w trudnych sytuacjach i potrafiła je wykorzystywać. Wpływ mieli też Czartoryscy, najbliżsi krewni Poniatowskiego, którzy młodzieńcowi powierzyli pierwsze zadania polityczne. I oni wówczas byli nastawieni prorosyjsko. W takich klimatach dorastał przyszły król.

Poniatowski swoje wyniesienie na tron zawdzięczał Rosji. Czy to właśnie dzięki Katarzynie otrzymał koronę? Na ile był od niej uzależniony?

Każdy polski elekt w tym czasie byłby kreacją Rosji, ze względu na jej wpływ w Polsce. Być może podczas pobytu Poniatowskiego w Rosji on, Williams i Katarzyna snuli jakieś plany polityczne, choć nie znaczy to, że ustalili wówczas przyszłe losy Polski; taka wersja wydarzeń byłaby przesadna. Nie znaczy to też, że Poniatowski całkowicie uległ wówczas wpływom Katarzyny i już nigdy się z nich nie wyzwolił. Niemniej zapewne ich znajomość spowodowała, że to właśnie Stanisław August został kandydatem do tronu polskiego. Być może wielka księżna dostrzegła w nim skłonność do wahań i głębokiego namysłu. Z pewnością nie był gotów do podejmowania szybkich decyzji i nierozważnych działań, dzięki czemu mógł stać się wygodnym narzędziem – w każdym razie tak mogła zakładać. Może pomyliła jego rozagę z biernością. Wiedziała jednak, że nie jest całkowicie podporządkowany jej woli, bo pisał do niej listy, choć nalegała, by zaprzestał korespondencji w chwili, gdy sięgnęła po rosyjski tron.

W swym piśmie do Fryderyka II z 17 października 1763 r. caryca pisała: „Jest rzeczą nieodzowną, abyśmy wprowadzili na tron Polski Piastę dla nas dogodnego, użytecznego dla naszych rzeczywistych interesów, jednym słowem człowieka, który by wyłącznie nam zawdzięczał swoje wyniesienie. W osobie hrabiego Poniatowskiego, stolnika litewskiego, znajdujemy wszystkie warunki niezbędne dla dogodzenia nam i skutkiem tego postanowiliśmy wynieść go na tron Polski”. Zapewne zakładała, że będzie mogła liczyć na swą znajomość z elektem, ale co ważniejsze – mimo przynależności do stronnictwa Czartoryskich

Poniatowski był młody i pozbawiony własnego zaplecza politycznego. Jeżeli mógł się na kimś opierać, to na Czartoryskich właśnie, a ci skłonni byli do współpracy z Rosją. Był to zatem kandydat wygodny, ale – jak się okazało – król nie był bierny i ślepo podporządkowany ani Czartoryskim, ani Katarzynie. Pragnął też przeprowadzić zmiany ratujące kraj z zapaści. Niemniej jako władca słabego i politycznie uzależnionego państwa nie mógł przeciwstawić się sile sąsiadów, tym bardziej że w kraju nie było jednomyślności; tak jak nie było jej ani przedtem, ani potem.

Jaką wizję Polski miał Poniatowski, obejmując tron?

Zapewne tym, co wywarło największe wrażenie na Poniatowskim, był ustrój angielski, czyli monarchia konstytucyjna. Właśnie taki ustrój chciał wprowadzić w Polsce. Opowiadał się za silną władzą wykonawczą, pozostającą w rękach króla, co było sprzeczne z wyobrażeniami szlachty, która uważała, że ograniczona władza królewska ubezpieczała ją przed utratą wolności i przywilejów. Uważano bowiem, że silny król sięgnie po władzę absolutną, zatem każdy projekt reform napotykał sprzeciw. Zatem w momencie gdy zaproponowano głosowanie większością, czyli odrzucenie liberum veto, które było największym problemem Rzeczypospolitej, pojawiły się opory zręcznie wykorzystane przez Rosję, która nie chciała reform. Tymczasem właśnie zniesienie liberum veto przyczyniłoby się do procesu pozytywnych zmian ustroju politycznego Polski, utrudniłoby także wtrącanie się w jej wewnętrzne sprawy obcym siłom, które manipulowały szlachtą i sejmem. Właśnie dlatego za duży sukces Stanisława Augusta uważa się wprowadzenie głosowania większością w sprawach wojskowych i skarbowych. Miało to wywołać zmianę w myśleniu szlachty, przyzwyczaić ją, iż jeden głos to za mało, by decydować o losie państwa.

Do których postaci historycznych odwoływał się król w czasie swego panowania i które momenty historii polskiej szczególnie podkreślał?

Stanisław August cenił króla francuskiego Henryka IV Bourbona i Jana III Sobieskiego. Henryk IV był człowiekiem ostrożnym, ale umiał skutecznie wcielać w życie swe plany. Zastał Francję w głębokim kryzysie po wojnach domowych, które zakończył. Wprowadzał reformy, korzystając z rad dobrze dobranych współpracowników. Cechowała go doskonała znajomość ludzi, więc otaczał się wybitnymi jednostkami. To największa umiejętność



dobrego polityka – nie musi się znać na wszystkim, wystarczy, że zna się na ludziach. Dobierając ich, Bourbon nie obawiał się, że zbyt utalentowani stanowią zagrożenie – to on był ich mocodawcą, działali z jego nadania.

Pamięć o Janie III Sobieskim – pogromcy Turków, Stanisław August wykorzystał w chwili, gdy pojawiła się nadzieja, że poprzez sojusz z Rosją i wojnę z Turcją będzie można zmienić sytuację Polski. Chciał – za zgodą Rosji, bo bez niej nie było to możliwe – powołać armię i przystąpić do walki. W zamiśle króla miał to być krok do stopniowego wprowadzenia reform.

Starał się więc o spotkanie z Katarzyną II jadącą na Krym. Wyruszył z orszakiem 350 osób, wizytując po drodze ok. 400 miejscowości. Na spotkanie z cesarzową czekał aż siedem tygodni, a widział się z nią kilka godzin w Kaniowie na galerze zacumowanej na Dnieprze. Złośliwy Charles de Ligne powiedział, że król wydał trzy miliony i czekał trzy miesiące, by rozmawiać z Katarzyną trzy godziny. Ten bon mot powtarzany jest często i ma świadczyć o nieudolności Stanisława Augusta. A tymczasem monarcha zdołał przekonać cesarzową do pomysłu powiększenia polskiej armii i współpracy. W wyprawie na Turcję miało wziąć udział 45 tys. wojska Rzeczypospolitej, dozbrojonego przez Rosję. Katarzyna przychyliła się do propozycji króla, choć ją zmodyfikowała. Mimo wszystko należy to uznać za jego sukces.

W dyplomacji trzeba zaproponować dużo, by uzyskać choć trochę; czasem trzeba dużych starań i wysiłków, by okupić tym niewielki sukces. Ponadto krótką rozmową z Katarzyną król zdołał zablokować zamysły opozycji, szukającej wsparcia Rosji, a pragnącej zanegowania wszystkiego, co przez 20 lat panowania Stanisława Augusta zdołano w Polsce zmienić. Toteż monarcha osiągnął wiele dla kraju i swojej pozycji. To otworzyło drogę do zwołania Sejmu Wielkiego, podczas którego król był niezwykle aktywny i wiele uczynił dla dzieła reformy.

Gdy w Warszawie zorganizowano pełne rozmachu uroczystości związane z odsłonięciem pomnika Jana III, złośliwcy atakowali Stanisława Augusta, sugerując, że to, czego Polsce brakuje, to właśnie wielkiego władcy. Charakterystyczny jest wierszyk z tamtych czasów: „Sto tysięcy kosztował, / by Stanisław skamieniał, a Jan III ożył”. Warto jednak pamiętać, że z kręgów bliskich Stanisławowi Augustowi wyszły bardzo celne odpowiedzi. Jedna z nich brzmiała tak: „Jasia wskrzesić, a Stasia chcesz żywego chować! / Wskrzeszże dawnych Polaków, Staś będzie wojować!”.

Jeden człowiek, choćby najgenialniejszy, nie mógł naprawić państwa, którego kłopoty ciągnęły się od połowy XVII w. Przez stulecie Rzeczypospolita słabła, niezdolna do reformy wewnętrznej i nie odgrywała większej roli na arenie międzynarodowej. Stawała się coraz bardziej zależna od wpływów państw obcych, prowadzących jej kosztem rozgrywki polityczne. W XVIII w. Polska dostała się pod kuratelę, najpierw faktyczną, a od 1768 r. formalną Rosji. Chodziło o to, by w kraju nic się nie zmieniło, bo w ten sposób łatwiej było sprawować nad nim kontrolę. Tymczasem walki wewnętrzne oraz spory pomiędzy stronnictwami dążącymi do władzy i wpływów nie malały. Toteż Stanisław August zakładał, że zmiany w kraju

wymagają nowych ludzi: „naród nowy tworzyć trzeba” pisał już po pierwszym rozbiore.

Projekt Konstytucji 3 maja był przygotowany przez środowiska o wyraźnych poglądach republikańskich, ale królowi bliższa była monarchia konstytucyjna. Czy więc ostateczna forma ustawy była efektem kompromisu?

Konstytucja nie była szkicem nakreślonym przez jednego autora, to efekt ożywionej pracy kilku różnych ludzi. Choćby z tego powodu była kompromisem. Kształtowanie się ostatecznej formy dokumentu polegało na dyskusjach i nanoszeniu poprawek na kolejnych projektach przygotowywanych przez przywódców stronnictwa patriotycznego i Stanisława Augusta. Zbliżyło to króla, zakładającego, że nie ma innej drogi dla Polski niż współpraca z Rosją jako siłą kontrolującą Rzeczpospolitą, i zwolenników współpracy z Prusami. Porozumieli się, co pokazuje, że król starał się być otwarty w swoich działaniach.

Problemem polskich elit był brak umiejętności obserwacji międzynarodowej sceny politycznej i zrozumienia mechanizmów, które nią rządzą. Patrzono na wydarzenia z wąskiej perspektywy. Brak rozeznania w polityce europejskiej był słabością, która mściła się okrutnie

Czy różnica między reformatorskimi stronnictwami Sejmu Wielkiego polegała nie tylko na odmiennym spojrzeniu na ustrój państwa, ale także na odmiennym pojęciu sojuszy międzynarodowych Polaków? Przecież jedni chcieli sojuszu z Prusami przeciw Rosji, a drudzy sojuszu z Rosją przeciw Prusom.

Problemem polskich elit był brak umiejętności obserwacji międzynarodowej sceny politycznej i zrozumienia mechanizmów, które nią rządzą. Patrzono na wydarzenia z wąskiej perspektywy. Brak rozeznania w polityce europejskiej był słabością, która mściła się okrutnie.

Prusy były najbardziej zainteresowane rozbiorem Polski, gdyż pragnęły kontrolować ujście Wisły. Król Fryderyk II był bardzo

niechętny wobec Polski. Jednak nie znaczy to, że Katarzyna II była jej przychylna. Wzrost znaczenia Prus, ich zbliżenie do Wielkiej Brytanii, rosnące apetyty, których wojny śląskie nie zaspokoiły, zmusiły cesarzową do liczenia się z ich żądaniami. Toteż zarówno Prusy, jak i Rosja prowadziły politykę, której ofiarą była Rzeczypospolita. Stało się tak nie tylko z powodu jej słabości wewnętrznej, ale także dlatego, że od dawna była zupełnie osamotniona na arenie międzynarodowej, a samotni są zawsze bardziej narażeni na kłopoty. Polacy nie mieli się do kogo odwołać.

Część stronnictwa patriotycznego uznała, że jeżeli coś można w Rzeczypospolitej zmienić, to wyłącznie przez współpracę z Prusami. Natomiast stronnictwo królewskie uważało, że na Prusy trzeba bardzo uważać, a jeśli można cokolwiek zrobić, to tylko w cieniu Rosji. Skoro jednak Rosja nie była skłonna zezwolić na reformy w kraju, to stronnictwo patriotyczne postanowiło zwrócić się do

Jedność jest biało-czerwona

Pokażmy, że jesteśmy Polakami.
Wywieśmy flagę **2 maja**.



#mojaflaga

niepodległa



Prus. Taka rozgrywka – szachowania jednego sąsiada przez odwoływanie się do pomocy drugiego – mogłaby się udać państwu w miarę silnemu, ale Polska była słaba i Prusy posłużyły się nią we własnej polityce międzynarodowej. Wola wzmocnienia kraju nie mogła się podobać żadnemu z sąsiadów, choć Austria przynajmniej w pierwszej chwili próbowała okazać więcej zrozumienia, gdyż odpowiadało to jej interesom.

Często uznaje się, że Stanisław August zaprzepaścił dzieło Sejmu Wielkiego, przystępując do targowicy? Czy ambitny projekt związany z reformami miał w ogóle szansę na wcielenie w życie?

To oczywiste, że sąsiadom Polski reformy nie były na rękę. Przeciwno dziełu konstytucji wystąpiły też poważne siły w kraju, którym nie podobały się wcześniejsze zmiany wprowadzane za rządów Stanisława Augusta. Gdy Katarzyna II zażądała, by król przystąpił do konfederacji targowickiej, wielu – w tym także członkowie stronnictwa patriotycznego – doradziło, by podpisał akces do niej, ponieważ zakładano, że Rosja pozostanie gwarantem nie tylko ustroju, ale i całości Polski (pozostającej po pierwszym rozbiore). Sądzone, że będzie to sposób na uniknięcie kolejnego rozbioru, a może nawet uda się po trochu wprowadzić zmiany proponowane w konstytucji. Tak się jednak nie stało.

Drugi rozbiór uruchomił nowe siły – wielu działaczy schroniło się za granicą i stamtąd zaatakowano króla. Powstała broszura polityczna (licząca 500 stron) „O ustanowieniu i upadku konstytucji polskiej 3 maja 1791”, w której tendencyjnie przedstawiono dzieło reform sejmowych, okoliczności ich przygotowania i uchwalenia konstytucji. Pismo było obliczone na obronę działań stronnictwa

patriotycznego, a winą za niepowodzenie obarczyło Stanisława Augusta. To on miał być nie dość zdecydowany w działaniu, to on pierwszy miał odwrócić się od dzieła sejmowego i skazać je na porażkę. Odebrano królowi wszelkie zasługi: „Sam stał się obojętnym tylko świadkiem tego, co sejm równie dla niego, jak dla dobra narodu przedsiębrał” – pisano. Nawet wydarzeniami z okresu wojny o konstytucję, gdy wojska rosyjskie wkroczyły do Rzeczypospolitej, obarczano monarchę. Ta nieprzychylna, a nawet krzywdząca opinia przylgnęła doń na trwałe.

Konstytucja 3 maja była i jest symbolem tego, że Polacy potrafili się zatroszczyć o poprawę i wzmocnienie swojej ojczyzny. Tymczasem Stanisław August dla wielu stał się symbolem klęski narodu pragnącego podnieść się z upadku. Władca, który próbował wzmocnić państwo, w czarnej legendzie, która go otacza, jest uosobieniem bierności i obojętności na los Polski, co jest niesprawiedliwym, a na pewno zbyt surowym obrazem jego postaci i panowania.

prof. dr hab. Aleksandra Skrzypietz

Wykładowca na Uniwersytecie Śląskim. Zainteresowania badawcze to m.in.: stosunki polsko-francuskie w XVII i XVIII w., funkcjonowanie dworu królewskiego w epoce nowożytnej, dzieje i znaczenie polityczne rodu Sobieskich, wpływ edukacji na kształtowanie postaw politycznych i obywatelskich. Wielokrotna stypendystka Fundacji Lanckorońskich.

Autorka książek: „Francuskie zabiegi o koronę polską po śmierci Jana III Sobieskiego”, Katowice 2009; „Królewscy synowie – Jakub, Aleksander i Konstanty Sobiescy”, Katowice 2011; „Rozkwit i upadek rodu Sobieskich”, Warszawa 2014; „Jakub Sobieski”, Poznań 2015; „Królowa Margot. Ostatnia perła Wależjuszów”, Warszawa 2016; „Franciszek Ludwik de Bourbon, książę de Conti – »obрани król Polski. Saga rodu Kondeuszów”, Katowice 2019.

Alfabet Sejmu Wielkiego

Symbolem Sejmu Czteroletniego jest dziś Konstytucja 3 maja. Ale tak naprawdę miała być zaledwie skromnym wstępem do radykalniejszych reform. Oto kilka postaci i haseł związanych z tym okresem



A jak armia

Wszystko zaczęło się od wojska. W drugiej połowie XVIII w. Polska dysponowała bardzo słabą armią (ok. 12 tys. żołnierzy) i będąc od 1768 r. – po podpisaniu traktatu gwarancyjnego – protektorem Rosji, nie miała żadnych możliwości, by w jakiś sposób to zmienić. „Rządzeni byliśmy od posłannika moskiewskiego na kształt zawojowanej prowincji” – pisał Franciszek Siarczyński. Stanisław August Poniatowski zdawał sobie z tego sprawę, jak mało kto, a jednak podjął taką próbę. W 1787 r. zaproponował carycy sojusz wojskowy przeciwko Turcji, w zamian za zgodę na rozbudowę armii. „[...] albowiem prawdę mówiąc, nie masz dla Rosji korzyści ani potrzeby, ażeby Polska stała się czynniejszą” – skomentowała to Katarzyna w prywatnej korespondencji.

Caryca była niechętna wszelkim reformom, ale w tym momencie prowadziła dwie wyczerpujące wojny: z Turcją i ze Szwecją, wołała więc grać na zwłokę, sprawnie żonglując dyplomatycznymi odpowiedziami. Maszyna już jednak ruszyła. Zanim Poniatowski usłyszał konkretną odpowiedź – a czekał długo – przewidując pozytywne rozwiązanie, zdążył zwołać sejm, który miał się zająć ratyfikacją ewentualnego traktatu. Nikt wówczas nie spodziewał się jeszcze, że jego obrady przeciągną się do czterech lat i wydadzą największe osiągnięcie polskiego oświecenia, Konstytucję 3 maja.

Pierwsze działania sejmowe dotyczyły armii. Najpierw odebrano dowództwo nad

nią tworowi całkowicie podległemu Rosji – Radzie Nieustającej, częściej zwanej Zdradą Nieustającą – i przekazano je sejmowej Komisji Wojskowej Obojga Narodów. W zasadzie wszyscy posłowie, i ze stronnictwa królewskiego, i z opozycji, poparli projekt zwiększenia jej liczebności do 100 tys., co zamierzano osiągnąć, znacznie zwiększając podatki: 10 proc. rocznie dochodów z dóbr świeckich i 20 proc. z kościelnych. W rzeczywistości taka liczba była w ówczesnych warunkach nierealna. Trzeźwo patrzący politycy wspominali o 67 tys. (Hugo Kołłątaj) i 45 tys. (Stanisław August Poniatowski).

Król trafił w dziesiątkę – już w sierpniu 1789 r. stan polskiej armii wynosił dokładnie tyle, ile przewidział. I nieco więcej, niż planował już w momencie swojej koronacji.

B jak Buchholtz, Ludwig Heinrich

Posel króla Prus Fryderyka Wilhelma II był jedną z najważniejszych postaci na dworze Stanisława Augusta Poniatowskiego w schyłkowym okresie I Rzeczypospolitej. Prywatnie taktowny i powszechnie lubiany był jednocześnie cynicznym i piekielnie skutecznym dyplomata, któremu udało się uwolnić Polskę spod dominacji rosyjskiej i skłonić do zawarcia sojuszu z Prusami. Oba państwa miały przyjść sobie z pomocą w wypadku zagrożenia ze strony państw trzecich – co w tym momencie oznaczało: dla Prus wojnę z Austrią, dla Polski interwencję Rosji. Nawet dodatkowy



dla Polski koszt – oddanie Prusom Torunia i Gdańska – nie wydawał się w tym momencie zbyt dotkliwy. Po pierwszym rozbiore Rzeczypospolita mogła korzystać z tych miast, ale płacąc ogromne, 12-proc. cło, które teraz miało zniknąć. Jednak, ten akurat warunek traktatu pozostawał tajny.

W zasadzie nie było wówczas w Polsce polityków, którzy potrafiliby patrzeć na podobne propozycje z perspektywy międzynarodowej. Sojusz z Polską miał dla Prus wyłącznie znaczenie straszaka – najpierw przeciwko Austrii, później przeciwko Rosji. W rzeczywistości to właśnie Prusom zależało najbardziej na rozbiore Polski, one były inicjatorami pierwszego z nich, a Fryderyk Wilhelm mówił wprost, że Polskę należy „obierać, jak karczocha, listek po listku”. Dla Katarzyny rozbiory były właściwie porażką – wcześniej miała całą Polskę, teraz musiała się nią podzielić. Nastroje antyrosyjskie były jednak tak silne, a radość ze zrzucenia zależności od Moskwy tak powszechna, że przyćmiły nawet najtęższe umysły polskich polityków. Zresztą nie miało to już większego znaczenia.

Sytuacja międzynarodowa, która zmieniła się jeszcze w tym samym roku, sprawiła, że postanowienia układu polsko-pruskiego na dobrą sprawę nie zdążyły wejść w życie. Sam Buchholtz, jak na dyplomata przystało, nie miał żadnych oporów przy ratyfikacji drugiego rozbioru Polski, czemu zawdzięczał urząd premiera Prus Południowych, czyli zasadniczo tych właśnie ziem, które Prusy odebrały Rzeczypospolitej. Całą sytuację władca rozszereżonych nagle Prus skomentował tak: „Spożyjemy [...] jedną hostię – Polskę, i jeśli nie zbawi to naszych dusz, to na pewno będzie z wielką korzyścią dla naszych narodów”.

Warto dodać, że był protestantem.

🌀 jak czarna procesja

2 grudnia 1789 r. warszawski plac Zamkowy musiał wyglądać osobiście. Po pokrytym śniegiem bruku przeszli przedstawiciele około 200 miast Rzeczypospolitej – wszyscy bez wyjątku ubrani na czarno. Na czele pochodu kroczył Jan Dekert, postać bardzo niejednoznaczna. Z jednej strony był rzecznikiem rozszerzenia praw mieszczaństwa i osiągnął na tym polu duże sukcesy, z drugiej jednak majątek zbił na niekoniecznie uczciwym wywalczeniu dostaw dla armii rosyjskiej, a także ostro występował przeciwko kupcom pochodzenia żydowskiego, doprowadzając nawet do krótkotrwałego wygnania ich z miasta.

Zorganizowana przez niego, nie bez wsparcia Hugona Kołłątaja, czarna procesja była jednak z pewnością wielkim sukcesem. Przedstawiciele mieszczaństwa złożyli

Jan Dekert na czele czarnej procesji przed Zamkiem w Warszawie



wówczas na ręce Stanisława Augusta Poniatowskiego memoriał, w którym domagali się rozszerzenia swoich przywilejów. W czasach Wielkiej Rewolucji Francuskiej podobne wydarzenia zawsze robiły na panujących duże wrażenie. Możliwe więc, że doprowadziło ono do przyspieszenia prac nad „Prawem o miastach”, włączonego później do Konstytucji 3 maja. Choć mieszczaństwo nie otrzymali prawa do udziału w rządach, zapewniono im jednak nietykalność osobistą, drogę awansu do grona szlachty, możliwość obejmowania wysokich urzędów i godności kościelnych oraz stopni oficerskich. Co może najważniejsze – mogli również nabywać majątki ziemskie.

Sam Dekert niewiele na tym skorzystał. Zmarł w 1790 r., poważnie zubożały z powodu dużych kwot, które inwestował w działalność polityczną.

🌀 jak Deputacja do Formy Rządu

To właśnie ten powołany 7 września 1789 r. nowy organ miał się zająć przygotowaniem podstaw konstytucji, choć tak naprawdę sam był formą rządu po rozwiązaniu Rady Nieustającej. W czasie gdy w Warszawie jego członkowie pracowali nad reformami, jego komisje terenowe – a było ich blisko 70 – zajmowały się praktycznie wszystkimi aspektami życia państwa. Historycy oceniają, że do sierpnia 1792 r. komisje te wykazywały niezwykłą wręcz aktywność, co oznaczało, że płynące ze stolicy reformy wcielane były w życie natychmiast. Hasło „dośćnięcia zachodniej Europy” było w okresie Sejmu Wielkiego bardzo popularne i najwyraźniej właśnie rozpoczynał się sprint.

Centralną postacią Deputacji był Ignacy Potocki – jedna z najważniejszych osób w ówczesnej Polsce, mająca decydujący wpływ na ostateczny kształt Konstytucji 3 maja. Był w jak najlepszym sensie człowiekiem oświecenia. Doskonale wykształcony, znający świat, publikujący reformatorskie artykuły, ale próbujący też sił w poezji i dramacie – swoje główne zainteresowania skierował na edukację. Był zresztą bardzo aktywnym członkiem Komisji Edukacji Narodowej. Politycznie wywodził się ze środowisk magnackich, opozycyjnych wobec Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Datą przełomową dla tej pary, a więc także dla przyszłej konstytucji, był pozornie niczym niewyróżniający się dzień 6 grudnia 1790 r. Wcześniej unikali się wzajemnie, bo to właśnie Potocki negocjował układ z Prusami, a Poniatowski wciąż starał się nie palić mostów z Rosją. Tego dnia „pierwszy raz od długiego czasu Stanisław August rozmawiał z Ignacym Potockim. A potem usiedli w wąskim gronie i zaczęli opracowywać program reform ujęty w ramy ustawy rządowej, która przeszła do historii jako Konstytucja 3 maja. Pisał ją głównie król. Tekst



Ignacy Potocki

niewątpliwie pisany jest jego ręką, ale Ignacy Potocki nanosił poprawki. Między nimi kursował Włoch Scipione Piattoli, działający jednak niekonwencjonalnie, bo blisko współpracujący zarówno z królem, jak z Potockim” – pisał Piotr Ugniewski. Do listy ojców konstytucji koniecznie trzeba dodać, oprócz tej trójki, Hugona Kołłątaja i marszałka sejmu Stanisława Małachowskiego.



K jak Konstytucja 3 maja

Ogłoszenie tego rewolucyjnego aktu bardzo mocno naciągało przepisy ówczesnego prawa. Świadomie. Podczas jego uchwalania ulice wokół Zamku Królewskiego wypełnione były wojskiem, presję na posłów wywierały tłumy wspierającego konstytucję mieszczaństwa, a w głowach mącono im dodatkowo odczytaniem starannie dobranych i wyselekcjonowanych depesz zagranicznych. Mówiąc wprost, wszystko to miało formę zamachu stanu – choć osobiłoby to zamach, skoro dokonuje się ręką legalnie wybranego króla. „Co tu dużo mówić, uchwalono ją z naruszeniem prawa. Ówczesny regulamin sejmowy przewidywał, że projekt powinien wpłynąć do komisji parlamentarnej, zostać wydrukowany, a następnie przez trzy dni posłowie mieli prawo się nad nim zastanawiać. Tu tego zabrakło – tłumaczył w wywiadzie dla Polskiego Radia prof. Władysław Kulesza.

Mimo tego, 3 maja Warszawa oszalała z radości. „Nie obeszło się bez przypadków prawie wesołych” – pisał Władysław Konopczyński. „Kiedy np. gest ręki króla pragnącego przemawiać wzięto za ślubowanie albo kiedy Sapięgę niesiono na rękach w ślad za Małachowskim, niby w triumfie, gdy naprawdę wynoszono go, żeby nie oponował”. Kiedy było po wszystkim, tłum udał się do katedry i tam, całkiem już poważnie, odśpiewano „Te Deum”.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, konstytucja wydaje się dość zachowawcza i kompromisowa. Szlachta wciąż pozostawała siłą dominującą w państwie, trochę zwiększyły się prawa mieszczan, a los chłopów nie zmienił się zupełnie. Rzadko jednak się pamięta o tym, że konstytucja nie była finałem prac reformatorskich, lecz przeciwnie – ich początkiem. Stworzeniem aparatu, dzięki któremu dalsze reformy w ogóle stałyby się możliwe. Likwidacja przekleństwa polskiego parlamentarizmu, czyli zasady liberum veto, wzmocnienie władzy wykonawczej poprzez wzrost uprawnień króla i stworzenie Straży Praw, czyli w zasadzie rządu niezależnego od obcego mocarstwa – wszystko to oznaczało ogromne zmiany.

Również w pozycji międzynarodowej Polski, bo wprowadzenie zasady dziedziczności tronu pozbawiało sąsiadów możliwości ingerowania w elekcje, co do tej pory robiły bez skrępowania.

Po 3 maja 1791 r. Sejm Czteroletni nie tylko nie zaprzestał działalności, ale odwrotnie – znacznie ją przyspieszył. „Rozpoczął się okres niezwykle dynamicznej, niespotykanej dotąd pracy państwowej. Dotyczyło to zarówno sejmu, jak i samej Straży Praw, komisji porządkowych i instancji sądowych, a także urzędów miejskich i innych” – podkreślał prof. Topolski.

Nieszczęście polegało na tym, że wszyscy mieli bardzo mało czasu. Konstytucja 3 maja obowiązywała zaledwie 14 miesięcy.



Stanisław Małachowski

jak obóz reform

Zwany też Stronnictwem Patriotycznym. Było to nieformalne ugrupowanie w okresie Sejmu Czteroletniego. Zasadniczo cele wszystkich jego członków realizowała Konstytucja 3 maja, choć drogi do jej ustanowienia i gwarancję utrzymania jej zdobyczy postrzegano inaczej. Jedni szukali oparcia we Fryderyku Wilhelmie II, inni we wzmocnieniu roli mieszczaństwa, jeszcze inni występowali przeciwko królowi, by wzmocnić władzę sejmu. Była to grupa mocno skłócona, ale wspólny cel pozwalał jej działać konsekwentnie. Obóz reform był ważny również pod tym względem, że zgromadził pod jednym sztandarem niemal wszystkich najwybitniejszych Polaków tamtej epoki.

Na pierwszym miejscu wspomnieć trzeba Hugona Kołłątaja, którego osobowość wyraźnie dominowała i odciskała piętno na niemal wszystkich działaniach polityczno-społecznych ówczesnej Polski. Studiował w Krakowie, Wiedniu i Rzymie, był doktorem filozofii, kanonikiem krakowskim. Jak na kapłana miał umysł bardzo radykalny. Pierwszą rewolucję przeprowadził w polskiej oświacie, powołując do życia Towarzystwo do Ksiąg Elementarnych oraz Komisję Edukacji Narodowej. W mniejszym lub większym stopniu miał swój udział we wszystkich reformach Sejmu Czteroletniego i Konstytucji 3 maja. Ważną postacią był także Stanisław Małachowski, marszałek Sejmu Wielkiego, który w proteście przeciwko targowicy wygłosił pamiętne słowa: „Sejm nadal trwa, a będzie zwołany, jak tylko okoliczności na to pozwolą”. Koniecznie trzeba wspomnieć też o Potockich: Stanisławie Kostce, a zwłaszcza jego bracie Ignacym, którego rolę da się porównać tylko ze znaczeniem Kołłątaja.

jak Stackelberg, Otto Magnus von

Już sam tytuł, jaki nosił ten moskiewski poseł w Warszawie, mówi wszystko o stopniu zależności Polski od Rosji. Stackelberg był mianowicie nie tylko posłem

nadzwyczajnym, ale też ministrem pełnomocnym w Rzeczypospolitej. Taki zresztą tytuł nosili wszyscy jego poprzednicy od roku 1763, czyli w zasadzie od momentu wstąpienia na tron Stanisława Augusta Poniatowskiego. Kompetencje takiego ministra niektórzy porównują ze statusem wicekrólów w hiszpańskich koloniach zamorskich, a Stackelberg miał w tym akurat bardzo duże doświadczenie – przed przybyciem do Polski był posłem rosyjskim w Madrycie.



Otto
Magnus von
Stackelberg

Do Polski przyjechał w 1773 r., a więc zdążył ze strony rosyjskiej ratyfikować postanowienia dotyczące pierwszego rozbioru Polski i zostać mózgiem Rady Nieustającej. Nie ukrywał, że jest tu po to, by wybić Polakom z głowy fantazje niepodległości, ale tak po prawdzie nie był nazbyt skutecznym dyplomatą. XIX-wieczny historyk Adam Skałkowski pisał o Radzie: „król potrafił przetkać pożytecznymi pracownikami i oddanymi mu – jak Jacek Ogródzki, sekretarz koronny do spraw cudzoziemskich, jak Józef Wodzicki, generał adiutant – takich rabusiów, jak Jerzy Marcin Lubomirski albo Władysław Gurowski czy trzej Sułkowscy. Szachował, hamował obecnością kolegów przywoitych albo i zgoła nieskazitelnych, jak Franciszek Rzewuski, jak koniuszy Jan Kicki, jak Ignacy Potocki”. Wszyscy zgadzają się, że mimo jego interwencji, protestów i gróźb, zaliczał w Polsce wpadkę za wpadką, a największymi z nich był traktat polsko-pruski i Konstytucja 3 maja.

Właśnie z powodu nieskuteczności wkrótce pożegnał się z urzędem. Za karę karierę zakończył w Szwecji.

W jak wojna polsko-rosyjska

Konstytucja 3 maja została powszechnie przyjęta przez szlachtę, większość malkontentów pogodziła się z jej reformami, nie wszyscy jednak. Część magnaterii pod wodzą Stanisława Szczęsnego Potockiego i Ksawerego Branickiego udała się do Petersburga, by prosić carycę Katarzynę o interwencję. Tam też, a nie jak wskazywałyby nazwa, zawiązano konfederację targowicką, dość szybko ochrzczonej pogardliwie targowicą. Katarzyna zdecydowała się na interwencję zbrojną, choć wojny Pol-

skie formalnie nie wypowiedziała, zadowolając się osobliwymi oskarżeniami, np. o prześladowanie Rosjan, nie-respektowanie eksterytorialności kaplicy prawosławnej w Warszawie czy spiskowanie z Turcją przeciwko Rosji. W czerwcu 1792 r. rozpoczęły się pierwsze walki.

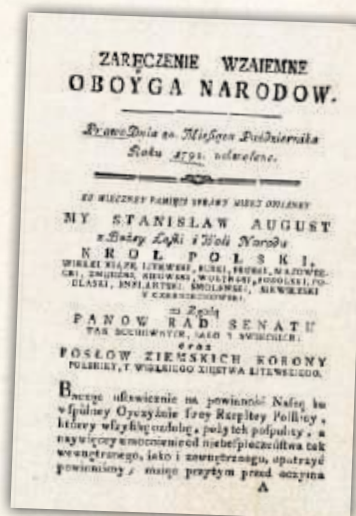
Strona polska wierzyła w swoje siły. Co prawda realnie wysłać na front była w stanie zaledwie ok. 50 tys. żołnierzy, słabo ostrzelanych rekrutów, ale posiadała całkiem niezłą artylerię, a w dodatku tak doskonałych dowódców, jak Tadeusz Kościuszko, Józef Poniatowski czy Józef Zajączek. Zważywszy na wcześniejsze ustalenia, oczekiwano też blisko 20-tys. korpusu pruskiego. Prusy jednak nie zamierzały angażować się w wojnę z Rosją, która w dodatku wystawiła przeciwko Polsce dwukrotnie liczniejszą armię, w odróżnieniu od polskiej bardzo już doświadczoną w walkach z Turcją i Szwecją. Szybko okazało się, że młode wojsko polskie jest bez szans. Jedyna zwycięska bitwa rozegrała się pod Zieleńcami, a pod Dubienką Kościuszkowi błysnął śmiałym starciem z czterokrotnie większymi siłami Rosjan i zadaniem im bardzo poważnych strat, ale reszta była już odwrotem.

Wojnę zakończyło najbardziej kontrowersyjne z posunięć Stanisława Augusta Poniatowskiego – przystąpienie do targowicy. Miało to miejsce 24 lipca. Jak na ironię, dwa dni później książę Józef Poniatowski pokonał Rosjan pod Markuszowem. Zwycięstwo to nie miało już żadnego znaczenia dla losów wojny.

Pół roku później podpisano akt drugiego rozbioru Polski.

Z jak Zareczenie Wzajemne Obojga Narodów

Był to ostatni akt prawny w dziejach Rzeczypospolitej Obojga Narodów, znacznie zacieśniający wzajemną unię. Jak dotąd oba kraje posiadały osobne wojsko i skarbowość. Zareczenie dotyczyło tych właśnie kwestii – powołano Komisję Skarbową Obojga Narodów oraz Komisję Wojskową Obojga Narodów, a w skład każdej z nich wchodziłoby tak samo liczna reprezentacja przedstawicieli obu narodów. Postanowienia te uchwalono już po ogłoszeniu Konstytucji 3 maja, 20 października. Co ciekawe, zasady te wpisano w pacta conventa, co oznaczało, że teoretycznie respektować je musieliby wszyscy późniejsi królowie Polski, a więc także rosyjscy carowie. Rzecz jasna nie takiego nie miało miejsca, a Zareczenie Wzajemne Obojga Narodów przestało obowiązywać wraz z trzecim rozbiorem Polski, było więc ważne niespełna cztery lata.



Bitwa pod Zieleńcami

Wojciech Lada

WYGRYWAMY RAZEM!

17,7 **MLD ZŁ**

**przekazane na polski
sport i kulturę.**

Łączna kwota wsparcia od 1994 roku.

TOTALIZATOR SPORTOWY

**NAJWIĘKSZY MECENAS
SPORTU I KULTURY W POLSCE**



**TOTALIZATOR
SPORTOWY**

#WygrywamyRazem

Zakończył się XIV Europejski Kongres Gospodarczy. Jedno słowo odmieniano przez wszystkie przypadki

15 tys. uczestników, w tym 9 tys. stacjonarnych i 6 tys. śledzących dyskusje online, ponad 550 przedstawicieli mediów, 150 sesji z udziałem 1 tys. panelistów – tak wyglądał w liczbach zakończony 27 kwietnia br. XIV Europejski Kongres Gospodarczy. Wśród debat, paneli i dyskusji, także tych prowadzonych w kuluarach, dominował jeden temat. Z oczywistych względów była to rosyjska agresja na Ukrainę i wszystkie jej gospodarcze, polityczne i społeczne konsekwencje dla Polski i świata



Jak przyznawali organizatorzy, XIV edycja EKG była wyjątkowa, o czym zdecydował m.in. długo oczekiwany powrót do spotkań w tradycyjnej formule oraz idące w ślad za tym frekwencja uczestników i ranga gości, którzy przyjęli zaproszenie do grona kongresowych panelistów. Wśród nich nie zabrakło przedstawicieli polskiego rządu z premierem Mateuszem Morawieckim na czele oraz samorządowców, przedstawicieli świata nauki i biznesu. Liczna była także reprezentacja przedstawicieli Komisji Europejskiej, rządów Ukrainy, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Czech i Litwy.

– Przez trzy dni kongresowych spotkań uczestnicy zgodnie podkreślali ogromną potrzebę i wagę dyskusji na żywo, której nie da się zastąpić rozmowami przez telefon ani online. To, co dało się zauważyć, to dobra energia towarzysząca pierwszemu kongresowi po osłabieniu i oswojeniu pandemii, ale też zorientowanie na działanie, tak charakterystyczne dla biznesu i przedsiębiorczości – komentował Wojciech Kuśpik, prezes Grupy PTWP, organizator i inicjator kongresu.

Organizatorzy zadbali o to, żeby agendę kongresu ustawić pod wydarzenie, które zmieniło optykę patrzenia na rzeczywistość nie tylko naszej części świata. Wojna za naszą wschodnią granicą i jej konsekwencje były oczywistym punktem odniesienia większości kongresowych debat i dyskusji. Już w inauguracyjnym EKG wystąpieniu premier Mateusz Morawiecki wskazał na konieczność budowy nowego porządku geopolitycznego.

– Pandemia była zjawiskiem mającym wpływ na gospodarcze losy świata.

Po 24 lutego przyszła wojna w Ukrainie. Mierzymy się z ogromnymi wyzwaniem: zakłócone łańcuchy dostaw, wzrost cen surowców, energii, rosnące ceny żywności. Obserwujemy przy tym małą skłonność do inwestycji. To ma zdecydowany wpływ na sytuację gospodarczą – wyliczał.

– Potrzebujemy rozstrzygnięcia na Ukrainie i opuszczenia Ukrainy przez Rosję. To zadanie stojące przed Europą i wolnym światem. Europa po II wojnie światowej potrafiła się podnieść z gruzów i utworzyć odpowiednie instytucje, by odbudować bezpieczeństwo. Musimy działać poza schematami – apelował, zaznaczając, że konieczny jest plan odbudowy Ukrainy.

Szef polskiego rządu zarysował plan, w którym wskazywał na potrzebę wzmocnienia złotego, redukcji inflacji, obniżenia podatków w Polsce i wsparcia kredytobiorców.

Premier dodawał, że rosyjska agresja na Ukrainę zmieniła optykę patrzenia świata i Europy na Polskę, co przyznawali także przedstawiciele rządu.

– Teraz jesteśmy zupełnie inaczej postrzegani jako kraj, niż było to jeszcze kilka miesięcy temu. Kiedyś Polska była traktowana w Europie jako kraj drugiej kategorii, co było widać podczas podejmowania pewnych decyzji, które głównie opierały się na dużych państwach, takich jak Niemcy, Francja, Polska była zepchnięta do narożnika – mówił Grzegorz Puda, minister funduszy i polityki regionalnej.

Także ukraińscy politycy podkreślali, że stawką ich batalii jest nie tylko wolność i niezależność od Rosji, lecz również miejsce w strukturach europejskich.

– Ukraina walczy o wartości europejskie i demokratyczne, a nasi obywatele oddają za nie życie – podkreślała Olha Stefaniszyna, wicepremier Ukrainy ds. integracji europejskiej i euroatlantyckiej.

– Nie wierzę, by Zachód chciał pieniędzy za rosyjski gaz i ropę finansować paradę zwycięstwa, jaką Putin planuje na 9 maja. Najważniejszym ukraińskim priorytetem pozostaje zwycięstwo, ale politycy myślą już o odbudowie i drodze do członkostwa w Unii Europejskiej – mówiła.

Kolejne dni kongresu upłynęły na debatach dotyczących cyfryzacji, propagandy, dezinformacji, ale także na sprawach dotyczących surowców, dywersyfikacji źródeł energii, uniezależnienia się od rosyjskiego gazu i zielonej transformacji gospodarki. Te wszystkie kwestie kolejny raz zyskały niezwykle aktualny kontekst po 24 lutego br. Podkreślali to w rozmowach licznie obecni na EKG przedstawiciele polskich czołowników, którzy przyznawali, że Polska nie była zaskoczona rosyjską decyzją o odcięciu dopływu gazu, bo od lat przygotowywała się na uniezależnienie od surowców z Rosji.

Nie ma żadnych wątpliwości, że rosyjska agresja na Ukrainę i jej długofalowe konsekwencje zdominują tematy ekonomiczno-gospodarcze na lata i będą obecne także na kolejnych odsłonach katowickiego kongresu. Wspieranie Ukrainy jest dla Polski i całej cywilizowanej części wspólnoty międzynarodowej ogromnym testem, wyzwaniem i projektem długoterminowym, który przewidziany jest nie na miesiące, lecz na lata.

Artur Ceyrowski

Orlen: Musimy zrezygnować z rosyjskich węglowodorów

Polska jest przygotowana, by zrezygnować z rosyjskich węglowodorów. Rosja zakręciła kurek z gazem, ale w PKN Orlen pierwszy kurek z ropą został zakręcony w 2006 r., gdy kupiliśmy rafinerię Możejki. Wówczas spółka musiała z dnia na dzień dostarczać ropę drogą morską, i tak jest do dzisiaj. W Polsce dzięki odpowiedniej infrastrukturze przeładunkowej i sieci krajowych rurociągów można importować ropę drogą morską z dowolnego kierunku – mówił dr Adam Czyżewski, główny ekonomista PKN Orlen, podczas Kongresu Ekonomicznego w Katowicach. Ekspert Orlenu uczestniczył w panelu poświęconym strategicznym surowcom, a dyskusja w dużej mierze skoncentrowała się na ograniczonych zasobach naturalnych, przyspieszeniu gospodarczym i skrajnej niestabilności rynków

Główny ekonomista PKN Orlen przekonywał, że polski sektor paliwowy nie jest zależny od dostaw z Rosji. – Dywersyfikacja w PKN Orlen jest konsekwentnie realizowana od kilku lat. Dzięki wcześniejszym inwestycjom koncern może przerabiać ponad sto gatunków ropy. Zatem jeśli mamy odpowiednią infrastrukturę i umiemy przerabiać różne gatunki ropy, nie mamy problemu bezpieczeństwa dostaw – mówił Czyżewski.

– Wyzwaniem jest oczywiście cena na rynkach i skala zakupów, a przede wszystkim to, czy podobnie będą zachowywać się nasi partnerzy w Europie. Nasza rezygnacja z rosyjskiej ropy nie powinna być wyłącznie kwestią naszej decyzji, ale sprawą zależną od decyzji całej Unii Europejskiej, podjętą wspólnie – dodawał główny ekonomista PKN Orlen.

Biorący udział w panelu o surowcach prezes Instytutu Jagiellońskiego Marcin Roszkowski przypomniał, że decyzje związane z zaopatrywaniem się w surowce zostały przez lata mocno zaniedbane w Unii Europejskiej i Polska jest tu chlubnym wyjątkiem prowadzącym dojrzałą politykę surowcową.

– Jako Zachód przyjęliśmy dwa paradygmaty: wyprowadzamy naszą produkcję tam, gdzie jest tania siła robocza, i importujemy surowce z krajów, w których łamane są prawa człowieka. Teraz to ulega zmianie, ale przez lata nikomu w UE to nie przeszkadzało. Politycznie problem z gazem i surowcami energetycznymi polega na tym, że Rosja nie jest jak każdy inny partner i nie może być tak traktowana w relacjach biznesowych. Moskwa uzależnia od siebie państwa za pomocą infrastruktury. Polska jest krajem frontowym i to rozumiemy, natomiast w przypadku Niemiec Rosja skorumpowała lokalną politykę dzięki biznesowi, mimo że Berlin jest w NATO i UE. Psuje to politykę europejską. Jeśli chodzi o gaz i ropę, jesteśmy bezpieczni, w przypadku innych surowców musimy się dostosować – mówił Roszkowski.

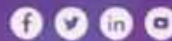
Prezes IJ dodawał, że ta wojna zaczęła się wówczas, gdy Gazprom opróżnił magazyny gazu w Europie. – Było to prze-myślane jako krok przed certyfikacją Nord Stream 2. Jeśli Rosja wybrała kierunek transformacji gospodarczej w stylu Korei Północnej, należy jej w tym pomóc. Jesteśmy w stanie odejść od rosyjskiej ropy szybko i chciałbym, by nasi sojusznicy w Europie Zachodniej szybko nabrali tej wrażliwości – powiedział Roszkowski.

W dyskusji brał udział także Piotr Dziadzio, podsekretarz stanu, główny geolog kraju i pełnomocnik rządu ds. polityki surowcowej państwa, który także przyznawał, że problemem w kwestii surowców nie jest ich dostępność, ale kwestie związane z logistyką, stąd tak ważne i kluczowe były inwestycje podejmowane przez PKN Orlen.

– Skroplony gaz ziemny jest dostarczany do naszego kraju w dużych ilościach, to jest głównie kwestia tego, jak prowadzona jest polityka dywersyfikacyjna. Spodziewaliśmy się takiego działania ze strony Rosji, stąd wieloletnie działania właśnie na rzecz dywersyfikacji źródeł i dostaw. Surowce są dostępne, problemem jest logistyka – mówił Dziadzio, odnosząc się do decyzji Rosji, która zdecydowała się na zerwanie kontraktu gazowego i przerwała dostawy do kilku państw europejskich, m.in. do Polski.

Pomimo tego że dzięki działaniom dywersyfikacyjnym Polska ma zapewnione bezpieczeństwo energetyczne, jednocześnie prowadzone są badania, które mogą w przyszłości zwiększyć dostępność surowców.

– W tym kontekście Polityka Surowcowa Państwa jest obowiązującym dokumentem. Opisane procesy i cele są realizowane równolegle z przyjęciem tego dokumentu. W naszych celach jest bezpieczeństwo energetyczne, ale równie istotnym elementem jest rewaluacja wiedzy na temat budowy geologicznej Polski – powiedział główny geolog kraju.

XIV EUROPEJSKI
KONGRES GOSPODARCZY

www

LOTOS o inwestycjach w offshore: „To sektor, który budzi nasze ogromne zainteresowanie”

O inwestycjach w infrastrukturę morskiej energetyki wiatrowej i ich znaczeniu dla powodzenia transformacji polskiej energetyki rozmawiali uczestnicy panelu „Offshore”, który odbył się w ramach Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach. W czasie panelu Grzegorz Strzelczyk, prezes zarządu LOTOS Petrobaltic, zarysował perspektywę pomorskiego giganta energetycznego w zakresie energetyki wiatrowej i OZE

Tematyka morskiej energetyki wiatrowej została przedstawiona w kontekście cywilizacyjnym jako jeden z kluczowych elementów dla powodzenia transformacji polskiej energetyki i całej polskiej gospodarki. Ekspertcy wskazywali, jak wyglądają łańcuchy dostaw dla energetyki wiatrowej na morzu. Rozmawiali o tym, czy local content to za mało i co produkują, co mogą wytwarzać polskie firmy.

Debate dotyczyła kwestii związanych z potencjałem, oczekiwaniami, praktycznymi możliwościami i współ-

pracą z potentatami. Dotknięto także tak ważnych kwestii, jak transfery kadr i technologii. Pojawiły się pytania o to, jak polskie firmy są zaangażowane w sektor offshore, jakie inwestycje w infrastrukturę są konieczne i skąd można pozyskać finansowanie. Kluczowe były kwestie dotyczące gospodarczego otoczenia sektora offshore wind: edukacja, przygotowanie kadr i zatrudnienie, finansowanie innowacji i badań, regulacje krajobrazowe, wykorzystanie potencjału polskich portów.

Do udziału w sesji zostali zaproszeni: Michał J. Kolodziejczyk, prezes zarządu, Equinor Polska; Dariusz Lociński, prezes zarządu, PGE Baltica sp. z o.o.; Anna Łukaszewska-Trzeciakowska, prezes zarządu Baltic Power, dyrektor biura Morskich Farm Wiatrowych, PKN Orlen; Michał Piekarski, partner, Baker McKenzie; Michael Prutsch, członek zarządu, Offshore Ørsted Polska, dyrektor ds. rozwoju w krajach bałtyckich; Grzegorz Strzelczyk, prezes zarządu, LOTOS Petrobaltic; Robert Szczotka, dyrektor Biznesu Systemów Napędo-

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 5/4/22/F

wych, ABB; Ireneusz Zyska, sekretarz stanu, pełnomocnik rządu ds. odnawialnych źródeł energii, Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Panel moderował red. Dominik Brodacki, analityk ds. energetycznych, Polityka Insight.

W kontekście ww. zagadnień perspektywę paliwowego giganta z Pomorza zarysował prezes Strzelczyk.

– Zdajemy sobie sprawę, że musimy dywersyfikować działalność naszej firmy. Offshore to coś, co budzi nasze ogromne zainteresowanie – mówił prezes LOTOS Petrobaltic.

Strzelczyk przypomniał, że rozpoczęta 24 lutego br. rosyjska agresja na Ukrainę w ogromnym stopniu uwypukliła geopolityczne znaczenie sektora energetycznego.

– LOTOS Petrobaltic na tę chwilę wciąż jest przede wszystkim klasyczną firmą sektora oil and gas. Z oczywistych powodów węglowodory są dziś znacznie bardziej trendy niż jeszcze dwa miesiące temu, także w kontekście wydobycia i poszukiwań nowych źródeł. Dodatkowo, jako LOTOS w roku 2020 podjęliśmy decyzję, że będziemy przekształcać firmę z klasycznej wersji oil and gas w kierunku koncernu zogniskowanego wokół pozyskiwania zielonej energii, także na Bałtyku – mówił prezes spółki LOTOS Petrobaltic, opisując aktywność koncernu w segmencie poszukiwań i wydobycia w Polsce, ale też w Norwegii oraz na Litwie.

– Dodatkowo jesteśmy w trakcie procesu integracji z PKN Orlen i budowy wielkiego multienergetycznego koncernu. Jednocześnie nieustannie podpisujemy umowy z deweloperami branżowymi w zakresie pozyskiwania kolejnych źródeł energii – dodawał Strzelczyk.

Prezes LOTOS Petrobaltic zauważył, że perspektywa rosyjskiej agresji na Ukrainę zmieniła oczekiwania i podejście biznesu także w kontekście inwestowania w energetykę wiatrową. Strzelczyk dodawał, że w tej kwestii niezwykle istotne będzie pozyskanie partnerów biznesowych, którzy mają odpowiednie know-how.

– Trzy lata temu zainteresowanie naszych partnerów było umiarkowane, dziś to myślenie przewartościowano, a inwestorzy widzą ogromny

potencjał na Bałtyku – mówił prezes Strzelczyk i dodawał, że LOTOS Petrobaltic widzi dla siebie ogromną szansę w kwestiach związanych z offshore. Jednocześnie przyznawał, że nie będzie to łatwe i firma chciałaby współpracować z doświadczonymi zagranicznymi firmami.

– Wysłaliśmy zapytania do dziewięciu kluczowych graczy na rynku, od pięciu już otrzymaliśmy odpowiedzi. Najbardziej interesuje nas transfer doświadczenia. Jesteśmy od dekad obecni w morskim wydobyciu węglowodorów i obsłudze instalacji, ale w naszym kraju nie ma firmy z doświadczeniem w morskich farmach wiatrowych – przyznawał Strzelczyk.

Prezes LOTOS Petrobaltic nie ukrywał, że dużym wyzwaniem dla rozwoju sektora offshore będą kadry.

– LOTOS Petrobaltic aktywnie współpracuje z uczelniami wyższymi mającymi specjalistyczne studia podyplomowe. Będzie się także starał, aby do kraju powrócili byli pracownicy Petrobalticu, którzy wyemigrowali i pracują w sektorze offshore poza granicami Polski – mówił Strzelczyk.

W tym kontekście o niezwykle dobrej perspektywie dla offshore mówił także Ireneusz Zyska, sekretarz stanu Ministerstwa Klimatu i Środowiska, pełnomocnik rządu ds. odnawialnych źródeł energii. Minister przyznawał, że polskie uczelnie zauważają potencjał branży i zaczynają kształcić odpowiednich specjalistów. Podobnie inne branże, które widzą dla siebie perspektywę rozwoju w kwestiach związanych z offshore.

– W ubiegłym roku, 15 września, udało się zawrzeć umowę sektorową, która ma wspierać rozwój sektora offshore w Polsce. Korzystamy z ogromnego doświadczenia biznesowego naszych partnerów, ale nie ukrywamy, że zależy nam także na rozwijaniu polskich technologii. Ostatecznym celem jest wzmocnienie polskiej gospodarki, ale realizacji tego zadania w kontekście offshore ministerstwo nie podejmuje się samodzielnie. Wykorzystujemy zaangażowanie wielu sektorów, powołaliśmy radę koordynacyjną, która weryfikuje działania szczegółowo realizowane przez różnorodne podmioty – opisywał wiceminister.

Zyska dodawał, że Bałtyk ma ogromny potencjał w kontekście energetycznym, ale nie można zapominać, że na jego terenie państwo i firmy prywatne realizują także inne cele, związane z turystyką, transportem, rybołówstwem, a także z obronnością, stąd konieczność międzyresortowych konsultacji z przedstawicielami wielu sektorów.

Wcześniej wiceminister Zyska ocenił, że w związku z wojną na Ukrainie należy na nowo zdefiniować założenia polityki klimatycznej UE, w tym pakietu Fit for 55. Podkreślił, że głównym celem powinno być teraz bezpieczeństwo energetyczne. Zwrócił uwagę, że w ostatnich kilku latach Polska wykonała ogromną pracę związaną z rozwojem OZE.

– Podwoiliśmy, a nawet więcej niż podwoiliśmy moc zainstalowaną OZE w Polsce. Dziś to jest ponad 18 GW. Jeśli chodzi o zakontraktowane moce, to jest ponad 11 GW, które zostaną wybudowane i przyłączone do krajowego systemu elektroenergetycznego do 2025 r. Oceniamy, że jest wysokie prawdopodobieństwo, że w 2025 r. moc zainstalowana OZE w Polsce sięgnie 28 GW, a może nawet więcej, a w 2030 r. przekroczymy 50 GW mocy zainstalowanej – powiedział Zyska.

Jednocześnie dodał, że Polska powinna uzyskać zgodę na uznanie węgla jako paliwa przejściowego w dochodzeniu do neutralności klimatycznej. Wiceminister dodawał, że polski rząd jest zdeterminowany, by zmieniać polską energetykę i zmniejszać zależność od węgla.

– Pamiętamy jednak, że każdy rząd musi odpowiadać za całość społeczeństwa, wszystkie obszary, by zapewnić stabilne dostawy energii do wszystkich odbiorców końcowych po akceptowalnej cenie. Jeśli doprowadzimy do sytuacji, że cena energii tak drastycznie wzrośnie, iż nie będzie akceptacji społeczeństwa do tego, żebyśmy mieli większy udział innych technologii wytwarzania energii kosztem zubożenia społeczeństwa, będą masowe protesty. Musimy brać pod uwagę wszystkie elementy, ale determinacją do transformacji energetycznej jest ogromna – podkreślał wiceminister klimatu. ▀



Barlinek – Jezioro Barlineckie

MONIKA ZAJĄCZKOWSKA*

Bałtyk, Barlinek i szczecińskie magnolie



Zawsze ciągnęło mnie do wody. Pewnie dlatego, że urodziłam się pod znakiem Ryb [uśmiech].

Od małego kocham Bałtyk i urokliwy Barlinek, w którym spędzałam cudowne wakacje u babci Maryni. W dzieciństwie co roku jeździłam też na kolonie do Międzywodzia, a w późniejszych latach wielokrotnie odwiedzałam Międzywodzie, Dziwnów, Międzyzdroje. Bywałam również w Rewalu, Pobierowie i Trzęsaczu.

Polanica-Zdrój, do której trafiłam dzięki „Sanatorium miłości”, zaoferowała mi (poza spotkaniem ze wspaniałymi ludźmi) coś dla mnie niezwykłego – piękne górskie krajobrazy. Udało mi się zrobić parę fotografii, choć program mieliśmy wyjątkowo napięty. Niektóre miejsca musiały jednak zostać uwiecznione. Zdjęcia trafią wkrótce na portal fotograficzny dla amatorów „Polskie krajobrazy”, gdzie przede wszystkim pokazuję urodę bliskiego mojemu sercu Zachodniopomorskiego.

Trzy lata temu wróciłam do Szczecina. Przyjechałyśmy do tego miasta z mamą, gdy miałam osiem miesięcy. Mieszkaliśmy w nim 40 lat. Tu urodziły się moje dzieci. W pewnym momencie zdecydowałam się jednak przenieść do miasteczka leżącego nad Jeziorem Barlineckim, które zawsze było mi bliskie.

W Barlinku spędziłam 22 lata i wciąż do niego zaglądam. Nie tylko z racji cudownych wspomnień. Byłam tu animatorem kultury, organizowałam wydarzenia plenerowe oraz im-

prezy okolicznościowe dla dorosłych i dzieci. Prowadziłam amatorski teatr i kabaret. Zostawiłam tu fascynujący kawał swojego życia. Kiedy do niego przyjeżdżam, co chwila spotykam po drodze znajomych. Poza tym Barlinek to miejscowość pełna uroku. Zadbana. Otwarta zarówno na mieszkańców, jak i turystów. Warto do niej przyjechać.

Zupełnie inny, choć też piękny, jest Szczecin – aglomeracja na wodzie. Płynie przez nią Odra ze swoimi rozgałęzieniami i rozlewiskami, które są domem dla wodnego ptactwa. Łączą się z nią jezioro Dąbie i Zalew Szczeciński. Uroda miasta przyciąga fotografów doceniających walory zarówno krajobrazu, jak i architektury wkomponowanej w gwiazdzisty układ ulic. Jest za co podziwiać i kochać Szczecin. O każdej porze roku. Teraz centrum miasta jest skąpane w kwiatach magnolii.

Notowała: Jolanta Gajda-Zadzworna

*Uczestniczka 4. sezonu „Sanatorium miłości”

Fot. Archiwum prywatne



SŁODKO-SŁONY

Zielone liście

ANNA MONICKA

Przez ostatnie lata w sklepach pojawiło się mnóstwo warzywnych nowinek – włoskich, francuskich i azjatyckich. Mnóstwo odmian dyni, fasoli, kolorowych pomidorów, rzodkwi, owoców, jadalnych kwiatów, kolorowych sałat, marchewek, buraków (są nawet pasiaste). Zwłaszcza amatorzy warzyw liściastych mają w czym wybierać – są różne szpinaki, jarmuże, kapusty i co niemiara sałat, od maleńkiej roszponki począwszy, przez rokitę, musztardowca, endywię o kędzierzawych listkach, sałatę dębolistną, lollo, rzymską, lodową, karbowaną, radicchio, cykorię... Są mniej lub bardziej kruche i mają różne ciekawe smaki. Jedne są słodkawe, inne orzechowe, jeszcze inne gorzkie lub ostre. Niektóre są tak wyraziste i pożywne, że nadają się na główne dania, a nie tylko dodatki do schabowego czy kielbasy.

Warto się zainteresować zwłaszcza kapustami pak choi i tatsoi. Są zdrowe, odporne, dobrze u nas rosną, nic więc dziwnego, że coraz częściej pojawiają się na straganach. A my nie wiemy, jak się do nich zabrać, bo na bigos raczej się nie nadają.

Pak choi i tatsoi przyrządzamy błyskawicznie na patelni. Pokrojone liście razem z łodygami rzucamy na rozgrzany olej z czosnkiem i cebulką, można dodać imbir i chili, jeśli lubicie orientalne smaki. Smażenie trwa krótko, kilka minut, żeby listki zrobiły się miękkie, ale całkiem nie straciły chrupkości. Doprawiamy odrobiną sosu sojowego lub teryaki. Podajemy ze smażonym lub grillowanym kurczakiem, lub indykiem, lub rybą, ryżem albo makaronem – najlepiej w kształcie wstążek. Blanszowane liście można też doprawić sosem z limonki, oliwy, podprażonego sezamu lub pokruszonych orzeszków arachidowych, czosnku i np. czerwonej pasty curry (najpierw na oliwie trzeba podsmażyć czosnek z chili, potem dolać sok z limonki, wymieszać listki, a na koniec posypać sezamem, orzeszkami i posiekaną kolendrą).

Pak choi pięknie wygląda na półmisku, gdy główkę przekroimy na pół i usmażymy na patelni z czosnkiem, imbirem, olejem sezamowym, odrobiną jasnej pasty miso i posiekaną ostrą papryczką albo po prostu zgrillujemy – wcześniej można ją posmarować masłem utartym z czosnkiem i odrobiną soli.



WILCZYM OKIEM

Popatrzcie na to!

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Podstawą w naukach przyrodniczych jest zaobserwowanie, zinventaryzowanie, opisanie. Żeby gospodarować zasobami przyrodniczymi, korzystać z nich i skutecznie je chronić, musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Inwentaryzacja w rozumieniu przyrodniczym to wejście w teren, zagłębienie się w ekosystemy i stworzenie opisu. Żeby zaś móc coś opisać, trzeba najpierw prawidłowo rozpoznać siedlisko, powiązania, gatunki.

Obecna pora roku jest okazją do zwrócenia uwagi na pewien malowniczy aspekt leśnej inwentaryzacji drzew. W okresie, kiedy liście dopiero się rozwijają, a u niektórych gatunków pojawiają się dopiero za jakiś czas, drzewa intensywnie kwitną. Poszczególne gatunki się wyróżniają, kolejno dając znać o swojej obecności. Bez trudu można nie tylko z daleka określić skład gatunkowy dużych partii lasu, ale nawet policzyć drzewa różnych gatunków. Na założeniach tej dawnej metody – obecnie z wykorzystaniem zdjęć lotniczych i satelitarnych – opierają się najnowocześniejsze sposoby badania i opisu lasów. Wszystko sprowadza się jednak do obserwacji, których właśnie teraz możemy dokonać gołym okiem, bez specjalistycznego sprzętu.

Trwa kwitnienie klonów. Wyróżniają się one pośród drzewostanów jako żółto-zielone odcinające się plamy. Białe plamy z kolei pokazują, jak liczne, zwłaszcza na skrajach lasów, są śliwy. Niedługo śliwy przekwitną. Na białą wyróżnią się natomiast dzikie czereśnie i czerechmy. Kiedy minie jeszcze trochę czasu, najjaśniejszymi żółtymi punktami w lesie staną się lipy.

Oczywiście drzewa z leśnej gęstwiny można z odległości rozpoznać przez cały rok. To kwestia wprawy. Każdy, kto obserwuje las, nauczy się odróżniać delikatnie bordowe gałązki buków od żółtozielonych pędów wierzbowych. Tak samo, jeżeli przyjrzeć się uważnie, zielen sosen z lekkim niebieskawoszarzym odcieniem różni się od ciemnej, wpadającej w czerń zieleni koron świerków i od głębokiej zieleni igieł jodłowych.

Obserwacje lasu warto oczywiście polecić o każdej porze roku. Właśnie teraz jednak są one najbardziej spektakularne i najbardziej pouczające. Pokazują, że przyroda nigdy nie jest nieorganizowaną masą, lecz składa się z indywidualnych osobników – różnych od siebie, lecz ze sobą doskonale współpracujących.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Prawo do broni

Pod koniec marca br. do Sejmu trafił projekt Ustawy o broni i amunicji. Wiemy tyle, że jego autorami są posłowie z PiS oraz Kukiz'15 bez wskazywania nazwisk osób najbardziej zaangażowanych w pomysł nowelizacji. Może to i dobrze, gdyż nie ma gwarancji pełnego sukcesu, skoro w PiS zwolenników i przeciwników ustawy jest podobna liczba. Dopiero gdy uda się wprowadzić nową uproszczoną procedurę pozyskiwania broni, ojców sukcesu będzie zapewne kilku.

Zastanawia brak szerszej dyskusji na temat projektu ustawy, której pełnej treści z trudem szuka się w internecie. Najważniejsza zmiana polega na wyliczeniu obiektywnych kryteriów, na podstawie których wydawane będzie pozwolenie na posiadanie broni, oraz włączenie w procedurę wydawania pozwoleń, jako drugiej po policji, instancji wojewodów reprezentujących cywilne organa władzy państwowej. Do tej pory jedynie policja decydowała o tym kto, kiedy i na jakich warunkach dostanie zgodę na broń i ze zrozumiałych względów wołała nie dzielić się tym uprawnieniem z innymi. Policja była największym hamulcowym wprowadzenia uproszczeń procedury nabywania broni, wychodząc z założenia, że chroniąc publiczny porządek, tylko jej przysługuje prawo do posiadania broni. Ponadto argumentowano, że więcej posiadaczy broni wpłynie na zwiększenie przestępczości. Z tym jest akurat odwrotnie, o czym świadczą amerykańskie statystyki. Ponadto, jak podaje zwolennik posiadania broni adwokat Andrzej Turczyn, z ankiety przeprowadzonej w więzieniach wynika, że aż 60 proc. przestępców zrezygnowało z popełnienia przestępstwa, widząc u ofiary broń, a 40 proc. zrezygnowało, tylko podejrzewając, że niedoszła ofiarą ją ma.

Dobrze, że projekt nowej ustawy zwalnia żołnierzy, w tym także WOT i innych uzbrojonych formacji, z przymusowych czasochłonnych badań i egzaminów.

Polacy statystycznie posiadają najmniej broni osobistego użytku w Europie. Na stu mieszkańców Polski przypada statystycznie 1,3 sztuki broni. To pozostałość po latach komuny, która nie ufając społeczeństwu, wołała, aby na wszelki wypadek było ono bezbronne, a użycie broni ze skutkiem śmiertelnym, nawet w obronie koniecznej, kończyło się zazwyczaj aktem oskarżenia i więzieniem. Na szczęście przepisy o obronie koniecznej mają dziś bardziej racjonalne

W polskiej tradycji posiadanie broni łączyło się z poczuciem wolności osobistej i odpowiedzialnością za los bliskich i ojczyzny

brzmienie, stąd dalszy krok w celu upowszechnienia i liberalizacji procedury posiadania broni. Nie powinno być żadnych powodów, aby odmówić pozwolenia na broń palną osobie pełnoletniej, o zdrowych zmysłach i niekaranej za przestępstwa przeciwko zdrowiu i życiu.

Jest też i aspekt ekonomiczny wejścia w życie ustawy. Przepelnione strzelnice to sygnał, że w każdym powiecie powinny powstawać nie tylko prywatne, ale i samorządowe strzelnice służące szkoleniu w posługiwaniu się bronią. Daje to dodatkowych 2,5 tys. nowych miejsc pracy. Ponadto obrót na rynku broni i wszelakich akcesoriów militarnych ma się zwiększyć o ponad miliard złotych.

W polskiej tradycji posiadanie broni łączyło się z poczuciem wolności osobistej i odpowiedzialnością za los bliskich i ojczyzny. W niejednym domu szlacheckim, mieszczańskim czy wiejskim strzelba wisiała nad progiem lub łóżkiem, a także niejedna naostrzona solidnie szabla. To, że wybuchały nasze narodowe powstania, było możliwe dzięki tym, którzy broń posiadali i – co najważniejsze – potrafili się nią dobrze posługiwać. Dlatego polski Sejm winien przywrócić Polakom utracone prawo do posiadania broni, które dawniej było uznawane za oczywiste. Na przykład w II RP broń posiadali przedstawiciele wszystkich warstw społeczeństwa, także osoby duchowne, a ówczesnym władzom zależało na podtrzymywaniu zainteresowania posiadaniem broni, z tych samych względów co w uzbrojonej i zawsze gotowej do powszechnej obrony Finlandii. Polacy powinni kierować się przykładem Finów, którzy w każdej chwili mogą powołać pod broń ponad 900 tys.

ludzi (mężczyzn i kobiet) przeszkolonych na wojskowych kursach. W Polsce powinno powstać podobne prawo, dopiero wówczas będziemy mogli powiedzieć, że czujemy się bezpiecznie. Dlatego ustawa powinna być jak najszybciej procedowana i przyjęta bez negatywnych uwag ze strony Unii Europejskiej, która w przyjętych dyrektywach wprowadza swoje niezbyt liberalne zasady kontroli nabywania i posiadania broni.

Wojna na Ukrainie przyspieszyła prace nad wspomnianą ustawą. Wzorem Ukraińców winniśmy mieć uproszczone prawo do posiadania broni, a w sytuacji zagrożenia wojną także prawo do posiadania broni długiej. Ludzie w sytuacji zagrożenia życia mają prawo i obowiązek aktywnej obrony siebie, swojej rodziny i majątku.

www.wojciechreszczyński.pl



Kogo nie ma

Sytuacja wojenna mocno nie tylko przeorała porządek europejski i światowy, nie tylko ujawniła wątłość umów i zwykłej ludzkiej solidarności, ale też mocno zmieniła scenę medialną. Warto sobie zadać pytanie, kogo dzisiaj na niej nie ma. Kto w sprawie uchodźców ukraińskich i w sprawie pieniędzy z Unii Europejskiej rekompensujących Polsce koszty związane z przyjęciem prawie trzech milionów sąsiadów zniknął i nie ma nic do powiedzenia ani tym bardziej nic nie robi?

Zacznijmy od europosłów. Gdzie są Cimoszewicz z Millerem, tak chętnie atakujący własny kraj na forum międzynarodowym? Gdzie są teraz, gdy trzeba walczyć o pieniądze, których słuszość chyba (?) również dostrzegają? Wciąż im blisko do Sowietów i ich obecnego wcielenia? Wszak czym skorupka za młodu nasiąknie... Ale od nich nigdy niczego nie oczekiwałem. To tylko żałośni wyautowani ekskomuniści, których ochronił brak dekomunizacji.

Gdzie jest Owsiak z jego wrzawą? Czy poza cynicznymi uwagami pod adresem rządu zrobił coś znaczącego w sprawie Ukraińców? Wszak ma ogromne możliwości. Człowiek, który zarabia na tym, że innych namawia do filantropii, jakby się rozplątał, prawda?

A gdzie są ekologiczni aktywiści? Ci wszyscy zielonobrunatni wrogowie dwutlenku węgla i zdrowego rozsądku? Dlaczego nie gardlują w sprawie emisji CO₂ na Ukrainie? Wszak ta wojna to emisja rządu stu lat w trakcie pokoju! No państwo zieloni, do roboty! Zapomnieliście języka w gębę?!

Agdzie są ruchy feministyczne z ich ośmioma gwiazdkami i innymi lempartyzmami? Na Ukrainie gwałcone są kobiety, dziewczynki, dzieci! To feministyczne milczenie jest jak przyzwolenie, że tam można gwałcić i sprowadzać nieszczęście na kobiety, matki, staruszki. Ejże miłe panie od wieszaków i czarnych marszy! Wyparowałyście? Skończyły się pomysły? Straciłyście głos?

Nie ma Janiny Ochojskiej, bo jest tam, gdzie była, czyli faktycznie poza świadomością, w wymyślnym świecie i stamtąd nie ma absolutnie niczego sensownego do powiedzenia. W każdym razie jej po stronie Ukraińców i ratujących ich Polaków nie ma. Pluje jadem, bo żywi się jadem. I jest mi jej po ludzku żal. Z tej Janki, którą znałem, zostały tylko strzępy fizycznego podobieństwa.



**Aleksander
Nalaskowski**

*Sytuacja wojenna
przetrasowała
medialnie polityków.
Niektórzy niebotycznie
urośli, inni skarleli*

Gdzie są aktywistkopolanki szczególnie uwrażliwione na ludzką niedolę? Tak uwrażliwione, że aż dostały się do Sejmu. Gdzie są Scheuring-Wielgus, Hartwich, Gasiuk-Pihowicz? Gdzie są, gdy trzeba wyjść poza wrzaski i tekturowe transparenty, gdy trzeba coś rzeczywistego zrobić, coś realnie zdziałać?

Sytuacja wojenna przetrasowała medialnie polityków. Niektórzy niebotycznie urosli, inni skarleli. Bo coś się dzieje naprawdę, coś, czego nie da się załatwić tupetem ani inwektywami. Zniknął i tak już zabawny Kosiniak-Kamysz, zniknęli Budka, Schetyna, Kidawa-Błońska, nie ma Śmiszka, Gduli, Gawkowskiego, Halickiego, Sienkiewiczza, Brejzy. Nie ma ich, bo tak naprawdę są nieważni. To tylko kukły, statyści, którzy w realnych sytuacjach, gdy trzeba rąk i pomysłów, a nie gardel i knucia, nie mają kompletnie nic do zaferowania.

W brukselskich kazamatkach zniknęli Kopacz i Biedroń, nie ma Lewandowskiego ani Liberadzkiego. Są teraz tak mali, że nawet cienia nie rzucają.

Niektórych wojna na Ukrainie wyrzuciła poza margines zdrowego rozsądku.

Znakomity reżyser Grzegorz Braun przepoczwarzył się w karykaturę polityka. Szkoda. Korwin-Mikke odleciał na orbitę okołorosyjską, a Leszczyńska pokazała świadomość z magła. Wszyscy oni bęcnęli o beton pobocza i już tam zostaną. Jako kurioza.

Za to wszędzie jest Tusk. Pełno Tuska na trawnikach i w blokowiskach. W święta rozmawiałem z rezolutnym 16-latkim, pasjonatem książek historycznych i fizyki. Przysłuchiwał się naszej rodzinnej rozmowie, a w końcu zapytał: „Wujek, a kto to jest ten Tusk?”. Z odpowiedzią pospieszył ktoś z dorosłych: „Nikt”. No właśnie.

Wyraźnie stracił impet jazgot tradycyjnie antyrządowych mediów. Tefaleny i inne onety jeszcze próbują szczypać, ale straciły wiarę we własną sprawczość. Tu i ówdzie puszcza jeszcze bąka, ale raczej z przyzwyczajenia niż z przekonania. Ich antyrządowe łatki wyblakły tak, jakby przestraszyli się postawy Polaków wobec uchodźców.

Niebotycznie urosły osoby prezydenta i premiera. Dwoją się i troją, aby sprostać wszystkim zadaniom. Winniśmy na kolanach iść na Jasną Górę w podzięcie, że mamy na czele takich mężów stanu, a nie Trzaskowskiego i Tuska. Tym razem bowiem byliśmy mądrzy przed szkodą. Na szczęście. ▶



JAN POSPIESZAŃSKI

W lutym 2022 r. urodziło się u nas zaledwie 23 tys. dzieci. To najniższy miesięczny wskaźnik od II wojny światowej. W tym samym miesiącu zmarło 42 tys. Polaków. Patrząc na dane za ostatnie 12 miesięcy, w Polsce przyszło na świat 326,7 tys. dzieci, a zgonów odnotowaliśmy 510,7 tys. Takiego rozdziewięku między urodzeniami i zgonami jeszcze nie zanotowaliśmy. Liczba trumien od marca 2021 r. do marca 2022 r. przewyższyła liczbę kołysek o 184 tys. Mówiąc obrazowo, to tak jakby ktoś wymazał z mapy Polski miasto wielkości Kielc czy Gliwic. Oczywiście dramatycznie wysoka śmiertelność spowodowana była kryzysem zdrowotnym wywołanym walką z pandemią, ale tak niskiej liczby urodzeń jeszcze nie notowano.

Gdy pomagamy uchodźcom i dajemy im w Polsce schronienie, gdzieś podświadomie pewnie rodzi się idea, by część zachęcić do pozostania u nas. Choć moralnie jest to mocno podejrzane; nie po to bowiem mężowie tych kobiet walczą i giną za Ukrainę, by ich dzieci zostały za granicą. Pragmatycznie jednak, w dłuższej perspektywie, to dla nas korzystne.

Zostawiając na boku dywagacje, rzeczywistość wygląda fatalnie. Przypowieść o gotowanej żabie uczy, że

Trumny i kołyski

*Jeżeli spadek urodzeń okaże się trwały,
prognozowana liczba ludności w Polsce na koniec
XXI w. wyniesie 17 mln (optymistycznie),
a realistycznie zaledwie 13,7 mln*

choć zagrożenia na razie nie widać, po przekroczeniu punktu krytycznego (jakim jest utrzymywanie się wskaźnika urodzeń poniżej 1,5) zmiany w strukturze wiekowej narodu są nieodwracalne. Cztery lata temu mieliśmy wprawdzie niewielki wzrost, gdy roczna liczba urodzeń oscylowała wokół 400 tys., bo wydawało się, że program 500+ zadziałał, jednak radość nie trwała długo.

Jeżeli spadek okaże się trwały, prognozowana liczba ludności w Polsce (bez liczenia imigrantów) na koniec XXI w. wyniesie 17 mln (optymistycznie), a realistycznie zaledwie 13,7 mln. W dyskusjach o zapaści demograficznej często podkreśla się fatalne skutki dla rynku pracy, mówi się też o nieuchronnym załamaniu się systemu emerytalnego. Ale dramat polega nie tylko na tym.

Pytanie, które nurtuje mnie od pewnego czasu i jest zasadnicze: czy chce nam się żyć? Czy Polska ma trwać? Po co w ogóle Polska? Jeżeli na powyższe pytania odpowiemy pozytywnie, należy postawić inne odważne pytanie: czy stać nas na wysiłek intelektualny, logistyczny, organizacyjny, a w końcu moralny, by katastrofalną sytuację odwrócić? Zaczynając od zaraz, trzeba sprawdzić, czy komuś w ostatnich latach udało się istotnie zatrzymać spadkowy trend urodzeń. Jeżeli tak, to należy zbadać dlaczego. Ponadto trzeba sprawdzić, gdzie, w jakich rodzinach, w jakich środowiskach przychodzą na świat dzieci. Badania spójności społeczeństwa z 2015 r. pokazały, że wyższa dzietność skorelowana jest z religijnością. Wierzące kobiety chętniej zostają matkami niż te zseku-

laryzowane. W grupie osób deklarujących praktyki religijne ponad połowa rodzin ma dwoje i więcej dzieci, wśród niewierzących zaś tylko 28 proc. Widać to szczególnie w środowiskach neokatechumenatu i tradycjonalistów. Tam rodzina z pięciorgiem dzieci to standard.

Idąc dalej w poszukiwaniach wzorców, znalazłem przykład Węgier. Już słyszę głosy oburzenia, że pisanie pozytywnie o Viktorze Orbánie to dzisiaj zdrada. Jednak właśnie prorodzinna polityka Fideszu zaowocowała wzrostem urodzeń. Z dramatycznie niskiego wskaźnika w 2010 r., wynoszącego zaledwie 1,23, po 11 latach rządu Orbána, w listopadzie 2021 r., odnotowano 1,6. Taki wzrost jest ewenementem na skalę europejską. Nad Dunajem wsparcie dla rodzin nie polega na zasiłkach. Rodzina to nie jest patologia, a dzieci to nie dysfunkcja. Pomoc obejmuje zasiłki macierzyńskie, płatny urlop wychowawczy, ulgi podatkowe dla rodzin i ulgi mieszkaniowe, ulgi podatkowe zachęcające młode pary do zawarcia małżeństwa, świadczenia urlopowe, bezpłatne obozy wakacyjne dla dzieci i wzrost średnich zarobków netto o 63,8 proc. Ale ekonomiczne zachęty to nie wszystko. Viktor Orbán jasno przeciwstawił się kolonizacji kulturowej. Z jednej strony nie przyjął imigrantów z Afryki, z drugiej pogonił z kraju wszelkie marksistowskie, genderowe fundacje dotowane przez George'a Sorosa i innych naprawiaczy świata. Choć stosunek Orbána do Putina budzi sprzeciw, mam nadzieję, że przykład węgierski nie tylko zostanie u nas zauważony, ale zostaną także zbadane jego przyczyny.

Profesor i telewizor

Sąsiad mieszkający nade mną, szef katedry fizyki molekularnej na Uniwersytecie Warszawskim, wiedząc, że mam terenowe volvo, poprosił mnie, żebym pojechał z nim do supermarketu i pomógł mu przywieźć telewizor. Na miejscu się okazało, że wydobycie go z magazynu potrwa około pół godziny, więc usiedliśmy w jakiejś kawiarni na piętrze.

Po chwili milczenia zwyciężyła moja towarzyska natura. – Nie chcę być wścibski. Absolutnie. Ale muszę zapytać, co się stało? Pamiętam nasze rozmowy, w których zażegnywał się pan, iż nie kupi nigdy „złodzieja czasu”. A tu nagle. Jeszcze taki olbrzymi ekran – zacząłem. Co gorsza, na tym nie poprzestałem. W końcu jestem przenikliwy facet. Warto, żeby sąsiad wiedział o tym – pomyślałem. I dodałem: – Pewnie chce pan obejrzeć na żywo debatę Tusk – Kaczyński.

– Przepraszam, nie jest pan już młody, a naiwny jak niemowlę – odparł nadzwyczaj grzecznie profesor. – Kaczyński jest wystarczająco mądry, żeby nie dać się wciągnąć w zasadzkę oszusta, który odgrywa tani teatr, krzycząc: „Drogi Jarosławie, nie chowaj się. Stańmy do debaty”.



**Jerzy
Jachowicz**

– Widzę, że pan nie zna kontekstu. Zaczniemy od tego, że Tusk to patologiczny kłamca. – Niemożliwe – zaprotestowałem. – Nawet w sfingowanym zaproszeniu kłamie, kiedy mówi: „Od lat namawiam cię, żebyś stanął do debaty”. Pierwszy raz zrobił to niecały rok temu w Gdańsku – poparł swoją opinię fizyk. – To drobiazg, ale pokazuje jego stałe pławienie się w kłamstwie.

– Istota leży w czym innym – wyjaśniał rzeczowo profesor. – Tusk oskarżył fałszywie Jarosława Kaczyńskiego, że ten stwierdził, iż „w USA sfalszowano wybory”. Chodzi o wybór Joeego Bidena. Kaczyński tego nigdy nie powiedział.

Zażądał więc sprostowania i wpłaty 10 tys. zł na cel dobroczynny. Zapowiedział, że jeśli Tusk nie spełni jego żądań, wytoczy mu proces. I dobrze robi. Bo metoda Tuska to bez żenady rzucić fałszywe oskarżenie. A później kręci, że nie miał złych intencji. Bezczelność i tchórzostwo to rdzeń jego natury.

– Po co mi telewizor, pytał pan. Chcę oglądać mecze Igi Świątek, a nie Tuska.

Niespodzianka w żywiole rock'n'rolla

Ryszarda Makowskiego znam od połowy lat 80. Jako śpiewającego studenta, potem wziętego satyryka, komentatora sportowego, menedżera kultury, publicystę. Wydaje też książki i płyty, ale to nie wyczerpuje jego potencjału. Bo oto zadziwia nawet starych znajomych jako twórca i wykonawca nie tylko wpadających w ucho bezpretensjonalnych piosenek, lecz i ognistego rock and rolla



**Adam
Ciesielski**

Przedsmak zaskoczenia przynosi album „Nie stawiam na lepsze jutro”, w którym obok krzepiącego przekazu wiodącego kawałka („Stawiam na lepsze dziś”) można posłuchać dziesięciu dalszych utworów o tematyce życiowo-miłosnej, przedpremierowo prezentowanych w programie telewizyjnym „Cafe Piosenka”, a potem wyczelowanych w studiu. Uwagę zwraca „Clint Eastwood, przemytnik”, pochwała nieślabnącej weny i witalności amerykańskiego artysty, jednego z idoli Makowskiego. Nie przez przypadek Rafał Paczkowski – renomowany producent, tu także aranżer i realizator nagrań – w warstwę muzyczną wplótł motywy country.



Ryszard Makowski, „Nie stawiam na lepsze jutro”, Wyd. Soliton,
Ryszard Makowski, „Dziecko rock'n'rolla”, Wyd. Soliton



Najświeższy album Makowskiego „Dziecko rock'n'rolla” to już królestwo gatunku – jak się okazuje ukochanego przez Makowskiego od młodych lat. Wokalista oddaje hołd tej muzyce zarówno wyznaniem tytułowym, jak i autobiograficznymi numerami „Dziękuję ci Elvis” czy „Rock'n'roll wiecznie żywy”. Nigdy wcześniej nie słyszałem Ryśka śpiewającego z takim młodzieńczym wigorem. Wspiera go stylowa kapela: mięsiste gitarowe riffy Bartosza Miecznikowskiego, solidny rytm perkusji Kanaadyjczyka Chrisa Aikena i basu Aleksandra Makowskiego (syna wokalisty), barwne klawisze realizatora i producenta Rafała Paczkowskiego.

Dawno nie było podobnie obiecującej niespodzianki.

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Wizja co tydzień

*W czasach przełomowych
ludzie, obawiając się
przyszłości, chętniej sięgają
po przepowiednie*

Wernyhora na łożu śmierci wieszczył Polskę potężną i wielką po wieki wieków. W wierszowanym przekazie z Tęgorzy jest mowa o Polsce od morza do morza. Fenomenem z zakresu telepatii, telekinezy, biolokacji, eksterioryzacji



**Ryszard
Makowski**

czy postrzegania aury był w międzywojniu Stefan Ossowiecki. O Polsce pisał: „Będzie, będzie jeszcze większa niż jest teraz”. Największym optymistą był o. Klimuszko: „...a kraj ten zostanie tak uhonorowany wysoko jak żaden w Europie. Będzie jakaś wojna w Europie, ale to nie przejdzie przez teren Polski”. W stanie wojennym i w latach 80. namówiono mnie parokrotnie na seanse spirytystyczne. Na pytanie: czy Polska będzie wolna? – na planszecie pojawiał się rok 1989.

Ze zjawiskami medialnymi stykam się od dziecka i choć o materii jako absolwent Wydziału Chemii PW i pracownik PAN trochę się dowiedziałem, mam przeświadczenie, że jest obok nas także sfera niezbadana. Obecnie ogromną popularnością w internecie cieszy się jasnowidz Krzysztof z Człuchowa. Jego zdolności paranormalne są potwierdzone znajdowaniem osób, zwierząt czy przedmiotów. Nagrywa ciekawe audycje i jest dobrym gawędziarzem. Natomiast czy można mieć co tydzień nową, aktualną wizję przyszłości?

Stefan Ossowiecki 20 sierpnia 1939 r. publicznie twierdził, że wojny nie będzie. Po noc o wojnie wiedział, ale uszanował prośbę Rydza-Śmigłego, by nie siać paniki. O Klimuszko bardzo niechętnie wypowiadał się o przyszłości. Mając dar jasnowidzenia, warto pamiętać, by nie robić z tego tuzinkowego performansu.

**Michał Korsun prezentuje:
Elon Musk przejmuję Twittera**



Koliz Shutterstock

Wycinki z przeszłości

Najkłopotliwsza to pora dla gospodyń w dyspozycji obiadów, bo nowalije jeszcze są drogie, a zimowe zapasy, tak piwniczne, jak spiżarniane, są po większej części już wyczerpane. To zaś, co z nich pozostało, jest niesmaczne i nawet niekoniecznie zdrowe” – czytamy w Kalendarzu Gebethnera i Wolffa na rok 1914. Co zatem podawać na stół? „W domach średniej zamożności mąka, kasza, kartofle i szpinak muszą na teraz zastąpić inne jarzyny. Na biału na targach mamy już obficie, a choć nie bardzo jeszcze tanieje, to nieraz wiele innych braków może nam zastąpić”.

Radzono też, by „zapobiegł gospodzie w tym miesiącu zaopatrzyć się w masło na jesień i zimą; wiadomo bowiem, że masło zbierane w czerwcu jest najlepsze i najtrwalsze, trzeba tylko umieć je przechowywać”. Zastrzegano tylko, by nie skupować po oselce na targu, ale kupić od razu całą partię z jednego udoju. „Takie masło dobrze z maślanki wypłukane i z wody do końca wyciśnięte, osolic mocno i trzymać w kilku kamiennych garnkach, obwiązane płótnem”.

Dziś mamy lodówki, ale ma to swoje konsekwencje: rozróżnienie smaku masła wiosennego, letniego i zimowego zagubiono całkowicie.

(mk)



Teraz, kiedy najpiękniej...

**Na Rynku usiąść
w Kazimierzu**
(piosenka)

Do Kazimierza myśl ma zmierza
Kiedy chłodny, kiedy słotny
Smutny taki czas...
Pociecha dla mnie to jest prosta
– Mnie nie trzeba nawet wiosła
Przymknę oczy
– Obraz sam podpływa
Znowu jestem tam...
Mieścina jak lupina szarozłota pośród chmur
Któż tę zabawkę tam upuścił?
Dziecko, Anioł, może Bóg?



Leszek Długosz

Tam na przystani moja pamięć
Pod spichlerzem czeka na mnie
Choćbym nie wiem skąd powracał
Tam świat czule wita mnie
– Na brzegu wiatr; wikliny szmer
Za cieniem się wylania cień
I wraca dzień z przeszłości
Z magazynów serca
– Z tych na samym dnie...
(Ach żeby tak, ach żeby znów, ach Boże mój...)

Na Rynku usiąść w Kazimierzu
Ze szczęściem jak się wiosna mierzy
Popatrzyć znów
Jak się przechadza miesiąc maj...
I w takie jasne przedpołudnie
Gdzieś na tym Rynku, przy tej studni
Zasłuchać się
Mieć za plecami cały świat
Żydowskie znów usłyszeć skrzypce
Jak gdzieś tam błądzą wśród uliczek
A serce pędzi – gdzież ono pędzi?
Za tym szczęściem?
Ech doprawdy szkoda słów...
Wierście, nie wierście – jak tam chcecie
Wszędzie jest tak jak jest na świecie
Lecz w Kazimierzu – szczęścia zawsze jakby więcej?
Więcej ciut?
Lecz w Kazimierzu szczęścia więcej...
Jeden hut?

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Lupa i odwrócona lornetka

P przed tygodniem w felietonie „Ciężko pomyleni” obiecaliśmy, że napiszemy, dlaczego demokracja liberalna pozostaje bezradna w obliczu zalewania bzdurami naszej wspólnej przestrzeni komunikacyjnej.

Pokazaliśmy, że „ciężko pomyleni” to z jednej strony władcy moskiewscy, którzy brutalnie zderzyli się z Ukrainą całkiem inną niż ta z ich wyobrażeń. A z drugiej to także zadufany w sobie demokratyczny Zachód z wolnymi ponoć mediami, sztabami analityków od geopolityki, którzy nie potrafili zapobiec okrutnej i skandalicznej – zważywszy na możliwości współczesnych państw – wojnie.

Elity rządzące po obu stronach gruntownie się pomyliły, będąc święcie przekonane o prawdziwości swoich wizji świata. Poblądzenie autorytarnej Moskwy nie dziwi: wizje budowane na czystej propagandzie i zastraszeniu prędzej czy później się zawalają. A co z Zachodem? Czyż nie budował swoich konstrukcji na szlachetnym podkładzie, jakimi są praworządność i wolność słowa mające gwarantować prawdziwy osąd i ogląd spraw?

W ZŁYM POWIĘKSZENIU

Niestety szlachetnego podkładu użyto głupio. Zjawiskom społecznie marginalnym przypisano ogromną rolę. Patrzono na nie przez lupę, jednocześnie stawiając w świetle medialnych i edukacyjnych reflektorów. Mamy na myśli w szczególności cały nurt transgenderowy, którego naturę dobrze oddaje tytuł książki Douglasa Murraya: „Szaleństwo tłumów: gender, rasa, tożsamość”. Z postaw wobec zjawisk transgenderu zrobiono próbie podstawowych ludzkich wartości.

Interesy, jakie się za tym szaleństwem kryją, pokazał Vivek Ramaswamy, Amerykanin hinduskiego pochodzenia. W książce, której tytuł w przekładzie na polski brzmi: „Przebudzeni, korporacja: Wewnątrz szwindlu sprawiedliwości społecznej”, udokumentował, że potężny nurt troski o klimat, mniejszości seksu-



Zjawiskom społecznie marginalnym przypisano ogromną rolę. Patrzono na nie przez lupę, jednocześnie stawiając w świetle medialnych i edukacyjnych reflektorów

alne, rzekomy systemowy, amerykański rasizm czy teorie błogosławionej różnorodności to w ogromnej mierze manipulacja wielkich korporacji. To w ich interesie leży, by opinia publiczna Zachodu jak przez lupę przyglądała się każdej, nawet wyimaginowanej, krzywdzie wyświadczonej grupie Afroamerykanów, ale nie zwracała uwagi na manipulacje i nadużycia wielkiego kapitału.

AUTOHIPNOZA

Zachód sam się uwiódł swoją własną, tylko bardziej wyrafinowaną niż moskiewska, propagandą. Już od dawna idea wolności, przez lans rozmontowywania – jakoby ograniczających kreatywność – wszelkich granic, przybrała postać karykatury.

Kolejne konstruowane generacje praw człowieka przysłoniły podstawowe ludzkie prawo ochrony życia – jako wartości samej w sobie (spory wokół aborcji oraz eutanazji). Krzyczenie o ratowaniu planety zwiodło społeczeństwa często pseudoekologicznymi projektami, w których tle toczy się korporacyjny business as usual.

Unia Europejska rzekomo miała chronić praworządność, ale nie znalazła prawnych rozwiązań chroniących przed projektami w istocie antywspółnotowymi, jak Nord Stream 1 i 2. Postępowi politycy unijni, walczący o wrażliwość wobec społeczności LGBT, pozwalali sobie – jak niemiecka polityk Katarina Barley – na użycie skrajnie raniących słów, że w imię praworządności krnąbrne kraje, jak choćby Polska, trzeba trochę „zagliścić”.

OPACZNE UŻYWANIE LORNETKI

A przy tym wszystkim przez odwróconą lornetkę obserwowano to, co jest kluczowe dla bezpieczeństwa: relacje między państwami; kształtujące się ponad państwami niejawne, w tym przestępcze grupy interesów; przemysłowe strumienie migracyjne; wojny kulturowe toczące się przez wieki; ukryte wpływy w obszarach zarządzania zasobami naturalnymi. Przyzwalano na epidemię dezinformacji i fake newsów.

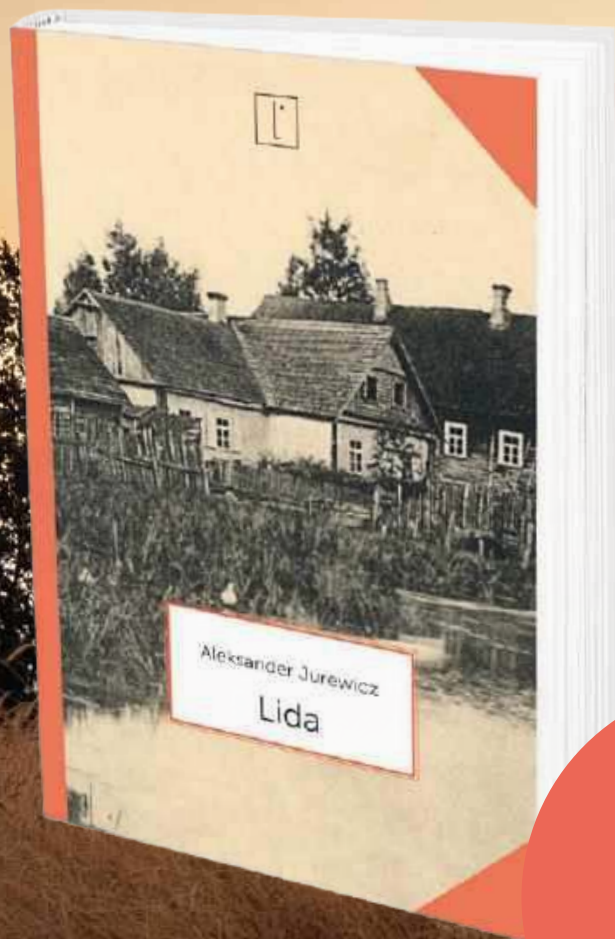
Lupa i lornetka to metafory uchwytujące błędy poznawcze demokracji liberalnej. Jej poznawanie świata przebiega tak, jakby nie było istotnej granicy między dobrem a złem. Tymczasem ona nie tylko jest, ale wymaga stałego monitorowania. Gdy ta granica zostaje rozmyta, łądujemy na epistemologicznych manowcach. Bez ustalenia, co jest złe, a co dobre, trudno oddzielić ważne od nieważnego, wreszcie mądre od głupiego. Bzdury w takim rozmyciu czują się jak pączki w masle.

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW
WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI

**wSIECI
HISTORII**



„Lida” Aleksandra Jurewicza to poetycka i pełna melancholii opowieść o „raju utraconym”, miejscu w którym autor urodził się i mieszkał jako dziecko. Całe jego życie zostało potem naznaczone tęsknotą za Lidą, w której zostawił serce i bliskich.

POETYCKA PROZA | NAGRODA CZESŁAWA MIŁOSZA

100
książek
w prezencie

Książkę „Lida” otrzymasz **GRATIS**,
zamawiając roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i magazyn **HISTORII** za **295 zł**.

Zamów już dziś na: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata



Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o.,
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz



WEJDŹ NA:

wPolityce.pl